KTO WIE JAKĄ BĘDZIEMY MIELI ZIMĘ?

STR. 14

ZAGADKA BERMUDÓW

STR. 8 i 9

„PAKBO" I INNI

STR. 6

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 44 (934) 30 PAŹDZIERNIKA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Nie bez kozery na czołowym miejscu pierwszej kolumny umieściliśmy artykuł K. Pogorzelca, który w tytule zadaje pytanie: „Ile kosztuje czas?". Ze względów społeczno-ekonomicznych jest to zagadnienie rangi podstawowej. Uważna lektura zmuszająca do rzeczowej analizy postaw ludzkich, swojej własnej postawy, może przynieść niewątpliwe korzyści każdemu z Czytelników, a także wszystkim nam jako społeczeństwu.

Jednym z obiegowych pojęć, określających nasze miasto jest: „filmowa Łódź". Nośnikiem jakich treści, jakiego dorobku i do czego zobowiązuje na przyszłość to określenie? Zainteresowanych odpowiedzią na te pytania, odsyłamy na str. 7, gdzie Bogda Madej relacjonuje dyskusję przeprowadzoną w naszej redakcji na ten temat, między ludźmi „łódzkiego filmu".

W cyklu „Portrety" prezentujemy dziś sylwetkę motorniczego MPK, Józefa Białka, który od 26 lat wozi nas łódzkimi tramwajami. Ten zasłużony pracownik i działacz polityczny jest delegatem na VII Zjazd PZPR.

Andrzej Makowiecki i Jacek Indelak proponują swoje kolejne reportaże „ze świata", natomiast Jan Czarny daje próbkę swej prozy w opowiadaniach wczasowych, zatytułowanych: „Mapa" i „Mistrz".

„PAKBO" I INNI", to czwarty już odcinek szpiegowskiego serialu przygotowanego przez Andrzeja Blajera. Bohaterami — jak Czytelnik zapewne pamięta — są członkowie komórki wywiadowczej, działający w Szwajcarii. Informacje dostarczane przez tych ludzi, przyniosły znaczne korzyści Armii Czerwonej, zarówno przed samym wybuchem II wojny światowej, jak i w czasie działań wojennych.

Inną z tajemnic fascynujących opinię publiczną, a także koła polityczne i naukowe, jest tzw. „Zagadka Trójkąta Bermudów". Do tej pory zamieściliśmy dwa artykuły z tego cyklu, dziś drukujemy trzeci i ostatni.

POLSKA–75

KRZYSZTOF POGORZELEC

ILE KOSZTUJE CZAS?

Gdyby całą tę kwestię sprowadzić do wymiarów wskaźników statystycznych, to wniosek takiego „badania" musiałby być, no, powiedzmy oględnie — mało budujący. Konkretne liczby nie upoważniają do najmniejszych wątpliwości, bo chociaż już się nie słyszy, by zdolności projektantów zatrudnionych w rozmaitych pracowniach czy komórkach, służących de nomine rozwijaniu myśli technicznej, były wykorzystywane do wykonywania gazetek ściennych czy przyozdabiania świetlic, to jednak ciągle — cytuję za „Trybunę Ludu" — „w bardzo wielu przedsiębiorstwach 40 proc. swojego nominalnego czasu pracy projektant przeznacza na czynności administracyjne, bądź zgoła nie mające nic wspólnego z projektowaniem".

Dalszy ciąg na str. 3

OBYCZAJE

ANDRZEJ MAKOWIECKI

DZWONY W ZAKOPANEM

W nocy z siódmego na ósmego spadł pierwszy śnieg. Jeszcze kilka dni temu, w końcu września, chodziłem po Łodzi w tropiku, natomiast tu, w Zakopanem, powitało mnie przenikliwe zimno — wietrzysko, błocko, góry za mgłą; nim zaczął padać śnieg, lał deszcz, jak na chwilę przestawał lać, to tylko po to, żeby zamienić się w gradobicie.

Lawinka nieszczęść stoczyła się na opustoszałe miasteczko. Dwóch turystów zabłądziło w górach. Anglik przemówił się w KOKTAILU z grupką hałaśliwych Niemców, starsza pani skręciła nogę na wybebeszonym chodniku. W kinie MORSKIE OKO, które uwłacza wszelkim wymaganiom bezpieczeństwa, w wąskim, jedynym zresztą przejściu tabun ludzi wychodzących zaczął tratować tabun wchodzących, przy czym słychać było lamenty:

— Jezus, Maria, dzieci! dzieci!

Chuligani ukradli samochód rządowy i wyrżnęli nim w uliczną latarnię. Rozlepione na słupach nekrologi, koegzystujące z reklamą koncertów Młynarskiego, obwieszczały zgon i pogrzeb wybitnej artystki estradowej.

Ponieważ rzeczywiście była to artystka wybitna, sławna dawnymi laty na całym świecie, poszedłem z kronikarskiego obowiązku na zakopiański Cmentarz Zasłużonych, dręczony przeświadczeniem, że nie zdołam wcisnąć się ani do kaplicy, skąd o wyznaczonej porze miało odbyć się wyprowadzenie zwłok, ani w bezpośrednie sąsiedztwo grobu.

Okazało się jednak, że zarówno w kaplicy, jak i na cmentarzu nie ma żywej duszy. Jakiś tubylec poinformował mnie niepewnie:

— Panie, to chyba nie tu, przecież to nie jest cmentarz rozwojowy...

W tej sytuacji przeczytałem jeszcze sentencję wyżłobioną rylcem na drewnianej tablicy: „OJCZYZNA TO ZIEMIA I GROBY, NARODY TRACĄC PAMIĘĆ, TRACĄ ŻYCIE" — i pobiegłem na ten drugi, rozwojowy cmentarz, tu jednakże również spotkała mnie niespodzianka. Spóźniłem

Dalszy ciąg na str. 12

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

JACEK INDELAK

JAK PRACOWAŁEM W MOSKIEWSKIEJ MILICJI

Zasiadamy do kolacji w jednej z dziesięciu sal restauracyjnych przedrewolucyjnego jeszcze, najbardziej ongiś eleganckiego w Moskwie hotelu „National". Ledwie chwyciłem w dłonie sztućce, a zaraz obok stołu zatrzymuje się szef restauracji, przeprasza za śmiałość, nachyla się nade mną i pyta:

— Pan jest tłumaczem?... Nie?... A kelnerzy twierdzą, że pomagał pan porozumiewać się cudzoziemcom. Może wybawi mnie pan z kłopotu... Jest u mnie telefon w bardzo pilnej sprawie...

Kierowniczka biura w kilku słowach wtajemnicza mnie w całą historię. Od przeszło godziny inspektor wydziału kryminalnego moskiewskiej milicji męczy się, usiłując znaleźć wspólny język z polską turystką. Słowiańska wspólnota językowa okazuje się psu na budę zdatna wobec wymagań śledztwa, które objeść się nie może bez jasnych i precyzyjnych sformułowań. Potrzebny jest tłumacz.

1.

Biegiem wracam do sali restauracyjnej, gdzie za suto zastawionym stołem siedzi żona, czekając aż ra-

Dalszy ciąg na str. 10

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

SESJA SEJMU

28 bm. obradował Sejm PRL na swym pierwszym w sesji jesiennej posiedzeniu.

Głównym tematem inaugurującym obrady było omówienie wyników Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. W oświadczeniu w tej sprawie złożonym z trybuny sejmowej premier Piotr Jaroszewicz stwierdził, iż rząd PRL wyraża zdecydowaną wolę przestrzegania ustaleń Aktu Końcowego KBWE i konsekwentnego działania, razem z całą wspólnotą socjalistyczną i innymi państwami, w celu wprowadzania ich w życie.

W uchwale sejmowej wyrażono pełne poparcie dla uchwał KBWE. Podkreślono, że stwarzają one warunki do utrwalenia pokojowej stabilizacji i wzajemnego zaufania, sprzyjają ugruntowaniu pokojowych stosunków w całym świecie. Sejm zaaprobował działalność delegacji polskiej w II fazie KBWE.

Na czwartkowym posiedzeniu Izba uchwaliła 5 ustaw:
— o państwowym arbitrażu gospodarczym,
— o zmianie ustawy o prawie autorskim,
— o zmianie ustawy o świadczeniach pieniężnych z ubezpieczenia społecznego w razie choroby i macierzyństwa,
— o dalszym zwiększeniu świadczeń dla kombatantów i więźniów obozów koncentracyjnych,
— o udzielaniu poręczeń państwowych.

Sejm dokonał również zmian w składzie Rady Ministrów.

PIERWSZY SZTUCZNY SATELITA WENUS

Radziecka automatyczna stacja międzyplanetarna „Wenus — 9" po pokonaniu w ciągu 136 dni odległości przeszło 300 mln km weszła 22 bm. na orbitę wokół Wenus, stając się pierwszym w historii sztucznym satelitą tej planety.

Od stacji odłączył się aparat, który łagodnie wylądował na powierzchni planety. Po raz pierwszy w warunkach atmosfery Wenus, przy ciśnieniu 90-krotnie większym niż na Ziemi i w temperaturze 485 stopni Celsjusza, uzyskano unikalny obraz powierzchni planety w miejscu lądowania.

Dwa dni przed wejściem w atmosferę Wenus, od stacji automatycznej odłączył się aparat lądujący. Po odłączeniu się tego aparatu, stacja „Wenus — 9" została wprowadzona na eliptyczną orbitę sztucznego satelity planety Wenus o perigeum ok. 1500 km.

Na sztucznym satelicie zainstalowano aparaturę naukową przeznaczoną do badania składu chemicznego oraz fizycznych cech atmosfery i struktury obłoków, pola magnetycznego Wenus i cech plazmy w strefie wiatru słonecznego.

Podczas opadania aparatu lądującego i przez 53 minuty po lądowaniu, przy pomocy zainstalowanej na nim aparatury naukowej przeprowadzono badania atmosfery i powierzchni planety, a także przekazano obraz miejsca lądowania. Sygnały z aparatu lądującego odbierane były na pokładzie sztucznego satelity Wenus a następnie przekazywane na Ziemię.

Uzyskane dane o warstwie chmur wokół planety, o parametrach atmosfery Wenus, o warunkach oświetlenia na powierzchni, a także o właściwościach fizycznych i charakterze gruntu na miejscu lądowania.

W dniu 25 bm. radziecka nauka i technika zapisała jeszcze jedną chlubną kartę w dziejach badania przestrzeni kosmicznej. W dniu tym na powierzchni planety Wenus wylądował kolejny aparat lądujący ze stacji automatycznej „Wenus — 10". Lądowanie odbyło się w odległości 2200 km od miejsca, w którym znalazł się wcześniej lądownik ze stacji „Wenus — 9". Na Ziemię przekazano panoramiczny obraz jeszcze jednego odcinka powierzchni Wenus.

ŚWIATOWY KONGRES KOBIET

W stolicy Niemieckiej Republiki Demokratycznej Berlinie zakończyły obrady Światowy Kongres Kobiet. Odbywał się on pod hasłem „Równość, Rozwój, Pokój". Udział wzięło w nim ponad 2 tysiące uczestniczek reprezentujących wszystkie kontynenty. Po obradach plenarnych, podczas których referat generalny wygłosiła przewodnicząca kongresu Freda Brown (Australia) przez trzy dni toczyła się dyskusja w komisjach problemowych.

Główna konkluzja tego spotkania sił społecznych całego świata — to konieczność dalszej aktywizacji kobiet w walce o pokój, rozwój społeczny i równouprawnienie, a więc o cele, które przyświecają akcjom Międzynarodowego Roku Kobiet. Jest to także myśl przewodnia dwóch podstawowych dokumentów końcowych kongresu: **apelu do kobiet całego świata oraz deklaracji skierowanej do parlamentów, rządów, ONZ i światowej opinii publicznej.**

Apel kongresu wzywa kobiety całego świata do jednoczenia się w walce o realizację tych celów.

FINALIŚCI KONKURSU CHOPINOWSKIEGO

W niedzielę ogłoszono w Filharmonii Narodowej wyniki trzeciego etapu Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego.

Jury konkursu i tym razem poszerzyło ramy regulaminu: spośród czternastu półfinalistów do ostatecznych rozgrywek dopuszczono nie sześcioro, lecz siedmioro młodych pianistów, którzy w poprzednich etapach uzyskali najwyższą łączną ilość punktów.

Są to: Tatiana Fiedkina — ZSRR, Paweł Gililow — ZSRR, Dina Joffie — ZSRR, Diana Kasco — Brazylia, Dean Kramer — USA, Elżbieta Tarnawska — Polska, Krystian Zimerman — Polska.

Finaliści konkursu są już jednocześnie jego laureatami. Dalsza rywalizacja toczyć się bowiem będzie tylko o kolejność nagród, a także o pozaregulaminową nagrodę za najlepsze wykonanie Chopinowskiego Koncertu z towarzyszeniem orkiestry.

WYPADKI W HANGCZOU

Oficjalny organ KPCh „Zenmin żypao" poinformował 11 września br., że wywołane „walką frakcyjną" zamieszki w Hangczou, które miały miejsce w początkach tego roku, wyrządziły wiele szkód ekonomicznemu rozwojowi tego południowochińskiego miasta.

Walka frakcyjna toczyła się w Hangczou kilka miesięcy nim przekształciła się w otwarty konflikt. Władze miejskie miały związane ręce, nie cieszą się bowiem poparciem ludności. W końcu 1974 roku poproszono o interwencję wojsko, które szybko przeprowadziło operację pospolitego ruszenia. Oznaczało to, że robotnicy w dni wolne od pracy podlegają wojskowej dyscyplinie. Stan wyjątkowy wprowadzono w większości miast chińskich, żeby położyć kres starciom zwalczających się ugrupowań.

Kiedy w konsekwencji rozszerzenia pospolitego ruszenia pojawiły się zorganizowane oddziały rywalizujących ze sobą grup politycznych, władze centralne nie mogły już ignorować zaistniałej sytuacji. Chińskie osobistości oficjalne w rozmowach z cudzoziemcami ujawniły niektóre szczegóły zajść w Hangczou. Nie zważając na obecność w mieście przewodniczącego Mao i jego żony, frakcje polityczne prowadziły tak ostrą walkę, że — jak podają źródła chińskie — maszyniści parowozów odmawiali prowadzenia pociągów przez miasto, które leży na kluczowej magistrali łączącej Szanghaj z Chinami południowymi. Wojsku, pododdziałom bezpieczeństwa publicznego i oddziałom pospolitego ruszenia poruczono ochronę linii kolejowych i mostów na tej magistrali, żeby udaremnić akty sabotażu i „zapewnić bezpieczeństwo i normalną pracę transportu kolejowego". Następnym krokiem władz, jak donoszą agencje prasowe, było przerzucenie do rejonów podmiejskich Hangczou silnych oddziałów wojska, pragnąc w ten sposób odizolować miasto od pozostałej części prowincji Czeciang. Z doniesień prasowych trudno wywnioskować, czy wojsko wzięło na siebie bezpośrednią odpowiedzialność za bezpieczeństwo wewnętrzne, czy też nie. Jednakże z informacji chińskich wynika, że rząd w Pekinie był bardzo zaniepokojony i podjął niezbędne kroki, żeby uniknąć otwartych starć między wojskiem a ludnością cywilną.

Ale najważniejszym elementem tych wydarzeń był fakt, że — zdaniem Pekinu — rozruchy w Hangczou były w swej treści przejawem walki o władzę.

Podstawą działań skierowanych przeciwko władzy są żądania robotników o podwyższenie płac oraz rosnące niezadowolenie młodzieży. Robotników zrozumieć bardzo łatwo. Wszelkie formy stymulowania materialnego, nawet czysto symboliczne premie dla uczestników współzawodnictwa pracy, jak to miało miejsce w latach 1972—73, uznano dziś za bezprawne. Od robotników wymaga się pracy dodatkowej bez zapłaty. Żądanie to przyjęto bez entuzjazmu. Wydatki robotników rosną z dwóch powodów. Po pierwsze — rozszerzenie produkcji wyrobów przemysłu lekkiego oznacza, że w sklepach pojawiło się więcej towarów codziennego użytku, które jeszcze dziesięć lat temu uważano za luksus. Dlatego wzrosło pragnienie nabycia lepszego ubrania, sprzętu domowego, a nawet więcej zabawek dla dzieci. Ale zarobki nie wzrosły na tyle, żeby móc zaspokoić te potencjalne potrzeby. Po drugie — pojawił się wolny rynek, na którym sprzedaje się owoce, ptactwo domowe, jajka i inne produkty wytwarzane przez chłopów w czasie wolnym od pracy w komunach. Robotnicy odczuwają jednak, że ich siła nabywcza maleje coraz bardziej. Wielu z nich uważa, że bardziej intensywna praca podejmowana w odpowiedzi na apele o zwiększenie produkcji powinna być natychmiast wynagradzana.

Prawie każda prowincjonalna gazeta i radio poddawały w tym roku krytyce metody stymulowania materialnego, co świadczy o nieustannych żądaniach podwyższenia zarobków. W lipcu „Zenmin żypao" wystąpiła z ostrą krytyką wynagradzania pieniężnego jako metody stymulowania. Gazeta twierdziła, że płaca za pracę była bronią spiskowca Lin Piao: „Żądając wysokich zarobków, żeby zapewnić sobie poparcie ludzi, miał on możliwość werbowania sobie sojuszników, a potem poświęcał ich życie w imię własnych interesów".

Rząd chiński znów powrócił do taktyki „rewolucji kulturalnej" w celu zlikwidowania w Hangczou starć między wrogimi sobie ugrupowaniami. Próby powołania mężczyzn do szeregów pospolitego ruszenia w drodze ogłoszenia stanu wyjątkowego w Hangczou wywołały nieoczekiwany skutek: broń trafiła do rąk różnych ugrupowań politycznych. Po izolacji miasta od reszty rejonu i osobistej interwencji zastępcy przewodniczącego Rady Państwowej, Den Siao-pina, który przybył do Hangczou w asyście silnych oddziałów wojsk bezpieczeństwa publicznego, temperatura walki politycznej spadła, zaczęły pracować transport miejski i przedsiębiorstwa.

Komentując wydarzenia w Hangczou prasa światowa podkreśla, że, zdaniem Pekinu, wypadki w Hangczou spowodowały zbyt pośpieszne próby wyrównania zarobków, co jest główną linią kampanii przeciwko „burżuazyjnym prawom".

WIELKI DZIEŃ w KROBI STAREJ

Pierwsze kadry utworu Kazimierza Muchy „Wesele w Krobi Starej" stanowią cytat z regularnego wydawnictwa filmowego „Pejzaże polskie", któremu towarzyszy zaaferowany głos komentatora. Komentator informuje, że oto właśnie jesteśmy we wsi wielkopolskiej — Krobia Stara, gdzie za chwile rozpocznie się chłopskie wesele. Wage tego niezwykłego wydarzenia podnosi fakt, iż uroczystość potoczy się wedle reguł dawnego ludowego zwyczaju, zapomnianego przed laty, a obecnie wskrzeszonego dla potrzeb rodzimej produkcji oświatowej.

Wzbudziwszy w ten sposób respekt dla swej etnograficznej dociekliwości, filmowcy przystępują do dzieła. W atmosferze spontanicznej celebry i żywiołowego marszu dwójkami rozwija się ceremonia. Państwo młodzi, nienawykli widać do kontraktacji wesel, nawet tych odświętnych i pokazowych, miny mają dziwnie skwaszone. Tylko pan młody usiłuje chwilami urozmaicić tę świąteczną monotonię, wykonując jakieś efektowne przeskoki nad stołem, straca jednak przy tym butelkę, co z każdego punktu widzenia winno zostać potępione jako marnotrawstwo. Raz po raz chłopska izba rozbrzmiewa nutkami ludowych przyśpiewek, w których mowa jest o rozterkach zaślubin spowodowanych podjęciem trudów regularnego szczęścia małżeńskiego. Co jakiś czas biesiadnicy solidarnie podnoszą do ust średniej wielkości naczynka na znak, że niezależnie od lokalnego obrzadku, czują się związani z ogólnonarodowym obyczajem weselnym. Słowem: jeszcze jeden standardowy rytuał w odpowiedzi na apel: „Wieś polska — turystom". Prosto z powielacza, prosto od krowy wykarmionej pasteryzowaną, wysokokaloryczną mieszanką „chłopskości". Nic dziwnego, że nasi autorzy filmów o wsi, nawet ci, podszywający się pod miano „etnografów", nie wyciągnęli właściwych wniosków z „Awansu" Redlińskiego — bo to właśnie „Awans", o kilka lat późniejszy od filmu Muchy wszystkie owe poczynania wystawia na działanie kpiny.

W zakresie ekonomiki twórczego myślenia utwór o Krobi Starej jest klasycznym przykładem zachwiania równowagi budżetowej — przerostu wydatków nad wpływami, kosztów nad osiągniętym efektem artystycznym. Nie ma sensu posądzać twórców filmu o mistyfikację, ni odmawiać im prawa do samouwielbienia z tytułu „unikalnej rejestracji przejawów chłopskiej kultury". Przejawy na pewno są prawdziwe, tylko typ proponowanej refleksji o nich pozostaje letniskowy, cepeliowski.

Inteligencka mentalność wypuszczająca się sezonowo w okolice kultury ludowej przywykła dostrzegać ją w zespole zjawisk niecodziennych, lecz doraźnych. Oderwana od swego pnia, pozbawiona integrującego ją rdzenia tradycja przerabia się w zbiór pocztówek bezmyślnych i nie nie znaczących, za to cieszących barwnością i niezwykłością. Rozbicie systemu organizującego świat i świadomość na pojedyncze, izolowane od siebie gesty czyni z nich kalekie i pozbawione wartości wyróżniki danej kultury. Swoiste pars pro toto: zamiast gruntownego ujęcia problemu, pokaz mody regionalnej, zamiast perspektywy opisu obrazującej jedność specyficznego zagospodarowania czasu i przestrzeni — wyniki oparte na obserwacjach powierzchownych i zatomizowanych. Fakt funkcjonowania w tzw. niższych kulturach podstawowych wzorców i zachowań kulturowych umyka ciągle uwadze filmowców wychowanych na pocztówkach z nagraniami Kapeli Łowickiej.

Proces filmowania z reguły wyzwala w filmowanych pragnienie odegrania autentyzmu, wpisania się w konwencję własnego losu. Obserwacja niby bezpośrednia i rejestracja pozornie obiektywna doprowadzają do znamiennego przesunięcia, w trakcie którego prawda filmowa ze stanu spontanicznej emanacji przechodzi w stan hibernacji, kostnienia w powszechnie oczekiwany i obdarzony zbiorową aprobatą stereotyp.

W fakcie tym reżyser nie ma zazwyczaj nawet udziału: po prostu człowiek przed kamerą aktualizuje zespół zbiorowych wyobrażeń na temat własnej roli, odbierając zawartą w nich presję, przymus identyfikacji pod groźbą unieważnienia społecznej wartości aktu kreacji. Efekty z reguły przekraczają wymogi i granice naturalnej inscenizacji wydarzeń. Oto członkowie kapeli z Jabłonki Podhalańskiej („Nuty moje nuty, skąd wy się bierzecie" — reż. Kazimierz Mucha) spowici w góralskie stroje oddają się zwyczajowemu pohukiwaniu, tupiąc przy tym rytmicznie w deski zaimprowizowanej estrady... W tym czasie starsze panie — totwarzyszki ich filmowej chwały — wyjątkowo żwawo krzątają się przy zabytkowych krosnach. Zaś tajemniczy bajarze z Niedzicy aż się prześcigają w zasilaniu polskiej produkcji sensacyjnej opowieściami o demonach i zbójnikach („Gawędy niedzickie" — reż. Wanda Rollny). We wszystkich tych wypadkach fikcja przyjmowana jest za prawdę, gwiazdorstwo — za pokaz autentycznego uczestnictwa w życiu zbiorowym.

Folklorystyczna plotka, regionalna ciekawostka dla snobujących się mieszczuchów skazana jest dodatkowo na krótkotrwałość, ulotność. Nie ma innego wyjścia dla kultury funkcjonującej na zasadzie listy przebojów. Jaki bowiem los może czekać ludowość zepchniętą do rezerwatu, wytrwała w służbie obcym konwencjom, jeśli poza ową scedzoną, zewnętrzną „innością" nie ma ona nic do zaoflarowania? Zainteresowanie bez uchwycenia istoty zjawiska musi być przelotne. Kierownik Szkoły z filmu „Nuty moje nuty" wystylizowany na ludowego grajka przemawia do swoich współziomków językiem podręcznika dialektologii, dopóki nie znajdzie się w ściśle rodzinnym gronie. Tu bowiem przechodzi na najczystszą literacką polszczyznę. I nic dziwnego: obserwacja odpustowego cacka, dziecinnej wycinanki nie może być brana serio; implikuje ona dystans wywołany przeświadczeniem o wyższości punktu obserwacyjnego.

Z morza miernoty, które tak obficie wezbrało uratować można by jeden film — Mirosławy Marcinkiewicz „Dziwnych artystów po obu stronach Babiej Góry". W sposób prosty i nieschematyczny zarazem sięgnęła autorka po znane motywy sztuki ludowej przedstawiając je od strony artystów „nawiedzonych", na poły obłąkanych, żyjących z dala od społeczności wiejskiej, ale cieszących się jej szacunkiem. To jednak nie wystarczy, aby ocalić całą etnograficzną produkcję WFO. Póki nie nastąpi w tej materii głębsze zrozumienie celów twórczych i sposobów ich realizacji, rezultaty będą nadal opłakane. Na razie cała nadzieja w tym, że mieszkańcy Krobi Starej wrócili już do swych codziennych zajęć, a wczasowicze rozjechali się do domów.

ANDRZEJ ZALEWSKI

TELEWIZJA

CZWARTEK 30.X. — Program I

20.25 w Teatrze Sensacji „Dzień SŁODKIEJ ŚMIERCI" — Janusza Głowackiego — według scenariusza i w reżyserii Jerzego Sztwiertni.

Program II

21.35 w cyklu „Wojskowy Film Dokumentalny" wyświetlony zostanie film Jana Chodkiewicza i Krzysztofa Pola „NA GRANICY"

PIĄTEK 31.X — Program I

20.20 „PORWANIE" — film rozrywkowy Telewizji Polskiej, w reżyserii Janusza Rzeszewskiego. Wystąpi zespół „Hagaw", Renata Kretówna, Andrzej Rosiewicz, Cezary Julski i inni.

23.00 w „Kinie Nocnym" wyświetlony zostanie fabularny film amerykański „CYRK STRACEŃCÓW". Jest to historia trzech skoczków spadochronowych, którzy skokami akrobatycznymi zarabiają na życie. Wśród wykonawców — Burt Lancaster.

SOBOTA 1.XI — Program I

15.45 w „Teatrze Małych Form" — „NIOBE" — Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego — wielki monodram poetycki w wykonaniu Leszka Herdegena.

20.20 „MACOCHA" — film fabularny prod. radzieckiej. Jest to dramat psychologiczno-obyczajowy o prostej wrażliwej kobiecie, która jest troskliwą matką dla sieroty. W roli tytułowej wystąpi Tatiana Doronina.

23.00 „100 pytań do Czesława Niemena" — program Publicystyki Kulturalnej.

Program II

17.15 „13.470 km od Warszawy" — film z cyklu „Pasja, przygoda, ryzyko".

NIEDZIELA 2.XI. — Program I

10.45 „CHWILA WSPOMNIEŃ" — pierwszy film z cyklu „Było nie minęło" obejmującego 4 filmy dokumentalne (lata 1971—74). Reżyserem jest Janusz Kidawa.

20.30 „RODZINA WHITEOTAKÓW" — I część trzynastoodcinkowego serialu filmowego produkcji kanadyjskiej. Film zrealizowany został na podstawie powieści kanadyjskiej pisarki Mazo de la Roch.

21.20 „NIEZAPOMNIANE MELODIE" — program rozyrwkowy, w którym przypomniane zostaną dawne przeboje

Program II

17.10 w cyklu „Filmy Jana Rybkowskiego" wyświetlony zostanie dramat pt. „SPOTKANIE W BAJCE" W rolach głównych: Aleksandra Śląska, Gustaw Holoubek, Andrzej Łapicki i Maja Wachowiak

PONIEDZIAŁEK 3.XI. — Program I

20.20 W Teatrze Telewizji „TRAGEDIA OPTYMISTYCZNA" Wsiewołoda Wiszniewskiego w reżyserii Augusta Kowalczyka. W roli prowodyra wystąpi Stanisław Mikulski.

Program II

20.20 w cyklu „Świat, Obyczaje, Polityka" — „SZWAJCARIA LEWANTU" — program o Libanie, który przeżywa dramatyczne skutki walk wewnętrznych.

20.50 w cyklu „Zagraniczny film dokumentalny" wyświetlony będzie film radziecki „KRAJ DONIECKI".

WTOREK 3.XI. — Program I

18.40 w cyklu „FAKTY OPINIE, HIPOTEZY" — mowa będzie o osiągnięciach nauki i praktyki rolniczej w zakresie zwiększenia produkcji zwierzęcej.

22.20 ALINA JANOWSKA — wystąpi w cyklicznym programie rozrywkowym „Wieczorny gość".

Program II

20.20 we „WTORKU MELOMANA" — sonaty fortepianowe Mozarta grać będzie Janusz Olejniczak

21.30 w Klubie Filmowym wyświetlona zostanie I część filmu radzieckiego „TRYLOGIA O MAKSYMIE". Jest to dramat historyczno-rewolucyjny zrealizowany w 1937 r.

ŚRODA 5.XI — Program I

20.20 w Kinie Interesujących Filmów wyświetlona będzie I część filmu radzieckiego „MYŚL I SERCE". Jest to dramat społeczno-psychologiczny reżyserowany przez Sergiusza Gierasimowa.

SPISEK ŻYCZLIWYCH

Życzliwość niewątpliwie jest potrzebna we wzajemnych stosunkach między ludźmi. Telewizyjne „Studio 2" postanowiło wyróżniać ludzi życzliwych, nagradzać ich specjalnym znaczkiem, pokazywać na małym ekranie, popularyzować. Telewidzowie podjęli rzucone wyzwanie i oto w ubiegłą sobotę, w kolejnym wydaniu „Studia 2" Edward Mikołajczyk przekazał „Trybunie Ludu" pełną listę ludzi życzliwych, typowanych przez telewidzów do nagrodzenia ich znaczkiem. Nie wiem, czy „Trybuna Ludu" będzie takie znaczki wręczała, czy tylko pisała o ludziach życzliwych, kontynuując akcję zapoczątkowaną przez trójkę ludzi niewątpliwie życzliwych, którzy co wolną sobotę goszczą w naszych mieszkaniach: Bożenę Walter, Tomasza Hopfera i niewątpliwie sympatycznego, niezależnie od tego co się o nim pisało i niewątpliwie życzliwego Edwarda Mikołajczyka.

„Studio 2" wrosło już w atmosferę wolnych sobót i kiedy człowiek staje przed wyborem, co robić z wolnym wieczorem, to najczęściej decyduje się na włączenie telewizora, zapraszając tym do swego mieszkania trójkę życzliwych ze „Studia 2". Porównanie ostatnich emisji tego programu — a właściwie wielkiego bloku programowego — z jego pierwocinami wypada niewątpliwie na korzyść ostatnich poczynań. Coraz więcej jest tu interesujących rozmów, aż czasem dziw człowieka bierze, że ludzie chcą fatygować się do Warszawy i do telewizyjnego studia na minutę, dwie rozmowy. A jeśli chcą, to tylko dobrze świadczy o autorach tego programu i o samym programie. Konkretność, rzeczowość i szybkość stają się cechami właściwymi dla „Studia 2". Program ten nabiera właściwego sobie, specyficznego stylu. A to już wiele, właściwie to już wszystko. Oby tylko utrzymali się na tym poziomie, aby tylko nie doznali spadku formy.

Życzliwość jest ludziom współczesnym bardzo potrzebna, ale jest ona też trochę niebezpieczna, jeśli życzliwość źle się zrozumie. Życzliwość nie wyklucza bowiem krytyki, gdyż krytyka — jak to powszechnie wiadomo — powinna przyczyniać się do doskonalenia naszego działania w każdej dziedzinie. Ale ludzie krytyki nie lubią. — Krytykujesz — powiedzą — jesteś nieżyczliwy! Świntuch jesteś!

Trudno, niech mnie spotka taki zarzut, ale muszę kilka przykrych słów napisać o moim ulubionym sprawozdawcy sportowym, o samym Janie Ciszewskim, a konkretnie o stylu jego sprawozdań.

Sprawozdania sportowe w telewizji rodowód swój wywodzą ze sprawozdań radiowych. Pamiętam jeszcze czasy, kiedy wielu kibiców włączało w telewizorze wizję, a w radio fonię. Sprawozdawcy radiowi stylem swoich sprawozdań bili na głowę telewizyjnych, gdyż nie tylko opowiadali, co dzieje się na boisku, stadionie, bieżni, korcie, ale też komentowali. Dziś po trosze przyzwyczailiśmy się do sprawozdawców telewizyjnych i tylko zżymamy się na ich liczne pomyłki i błędy. Niestety, myli się, biorąc Roberta Gadochę za Grzegorza Lato, również nasz ulubieniec Jan Ciszewski. A zdarza się to mu nie tylko w przypadku tych dwóch piłkarzy.

Nie o pomyłki zresztą mi chodzi, gdyż mylić się jest rzeczą ludzką, choć wolelibyśmy, aby sprawozdawcy sportowi mylili się jak najmniej, a już — jak to się zdarzyło „zmiennikowi" Jana Ciszewskiego — nie mylili bramek, do których strzelają piłkarze, bo to różnica zasadnicza. Chodzi mi bardziej o styl tych sprawozdań. A mam na myśli nie tylko różne lapsusy językowe, bo to w ferworze też może się zdarzyć, choć nie powinno zdarzać się zbyt często.

Coś mi się wydaje, że w sprawozdaniach sportowych, przynajmniej z najbardziej popularnych imprez piłkarskich, warto — tak jak i w reprezentacji piłkarskiej — pomyśleć o zmianie stylu. Niewątpliwie dużo łatwiej jest opowiadać to co dzieje się na ekranie, rozumiejąc, że ekran jest mały i widz nie rozróżnia czy piłkę teraz ma Robert Gadocha czy Andrzej Szarmach. Ale kiedy zespół buduje akcję sprawa nie jest taka ważna. Ważniejsze dla kibica jest to, kto strzela, trafia w ręce bramkarza lub nie trafia do bramki. A wtedy sprawozdawca przeważnie milczy. Ważniejszy jest komentarz, czy gra naszego zespołu przyniesie skuteczność czy nie, a jeśli nie, to dlaczego? Czy koncepcja gry na boisku odpowiada naszej drużynie, czy przeciwnikowi? I jak gra na przykład inny ulubieniec publiczności — Kazimierz Deyna? I jeśli nie ma formy, to co myśli o jego wystawieniu do tego meczu sprawozdawca, którego czasem wypada też nazywać k o m e n t a t o r e m? Ale tego wszystkiego — niestety — mamy zbyt mało. A sądzę, że kibice właśnie życzyliby sobie więcej komentarzy, mniej opowiadania, co dzieje się na ekranie, gdyż z tego opowiadania rodzą się komiczne sytuacje. Sprawozdawca powiada: piękna akcja, a telewidzowie widzą: kiks, chała i knot. I pytają się sami siebie, czy sprawozdawca jest ślepy, czy opowiada im bajki. Warto więc również w sprawozdaniach sportowych poszukiwać nowego stylu, tak jak warto poszukać go dla narodowej reprezentacji piłkarskiej.

Mimo wszystko pozostaję z całą życzliwością dla telewizji i sprawozdawców sportowych, co nie wyklucza tego, że dostrzegam jej i ich braki i błędy.

ZASTĘPCA II

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny) WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARVS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

ILE KOSZTUJE CZAS?

KRZYSZTOF POGORZELEC

Fot. Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

— Ile — zapytajmy się po raz pierwszy — kosztuje nas ten właśnie, w gruncie rzeczy zmarnowany, uwzględniając kwalifikacje i potrzeby czas?

Marnowany czas nominalnie przeznaczony na pracę może mieć rozmaite wymiary i... formy. Tak np. drogą badań stwierdzono, że czynności związane z zatrudnieniem są ciągle niezwykle czasochłonne. Średnio biorąc, owe formalności wstępne pochłaniają w zakładach przemysłowych aż 14 pełnych dni roboczych, a za sukces godny odnotowania przeprowadzający ankietę uznali osiągnięcie administracji zakładów chemicznych w Blachowni, gdzie udało się ten cały proceder skrócić z 5 do 2 dni.

Zacząłem ten komentarz ekonomiczny od problemu właściwego, a raczej ciągle wadliwego wykorzystywania czasu pracy przez ludzi o bardzo wysokich umiejętnościach, a więc i kapitale włożonym w ich wykształcenie, kierowany dosyć perfidną myślą rozciągnięcia dyskusji o społecznej i ekonomicznej wartości czasu na sfery daleko wybiegające poza problem absencji nie usprawiedliwionej bądź nawet znajdującej jakieś tam formalne uzasadnienie. Nie znaczy to oczywiście wcale, bym lekce sobie ważył i ten aspekt zagadnienia o wymiarach rzeczywiście wymagających szybkiego i możliwie skutecznego przeciwdziałania. Liczby mają tutaj bowiem wymowę jednoznaczną — a pozwolę sobie przytoczyć je znowu, posiłkując się **„Trybuną Ludu"**. Otóż w roku ubiegłym przeciętny robotnik zatrudniony w przemyśle uspołecznionym **pracował o 72 godziny krócej,** aniżeli miało to miejsce w roku 1973. Podejrzewam jednak, że ta sucha liczba nie przemawia, nie ma odpowiedniej nośności i stąd też może warto przedstawić nieco inny jeszcze rachunek. A więc te 72 godziny to nic innego, jak praca krótsza — w wymiarze rocznym — o pełnych 9 dniówek nie licząc oczywiście świąt czy też urlopu. I znowu — z tych 72 godzin, 48 jest rezultatem konsekwentnego wcielania socjalnego programu partii — (stopniowego skracania nominalnego czasu pracy), przyjętym jako nadrzędna zasada na VI Zjeździe PZPR. No dobrze, ale pozostaje jeszcze wcale niebagatelna „reszta" — 24 godziny, co z nimi?

W tym przysłowiowy sęk.

Chcąc być w zgodzie z obiektywną prawdą wypada mi w tym miejscu zauważyć, że mimo wielu trudności różnorakiej natury, udało nam się zmniejszyć w latach 1970—1974 czas przestojów produkcyjnych, wynikających choćby z wadliwej organizacji pracy, o średnio 7 godzin, znowu licząc na jednego zatrudnionego w sferze produkcji przemysłu uspołecznionego, co znaczy nic innego jak to, że zarobiliśmy całą jedną dniówkę, to znaczy tak, jakby cały przemysł pracował o jedną dniówkę w roku więcej, a przecież było inaczej, przecież przybywało nam wolnych sobót. Nie zamazujmy jednak problemu, bo postęp — postępem, jednak kiedy na kilka tygodni przed VII Zjazdem partii dyskutujemy o sprawach, które wymagają racjonalizacji, udoskonalenia, to nie przymykajmy, wstydliwie oczu i na to, że na każdego robotnika grupy przemysłowej wypadało także 5 godzin nie przepracowanych i to bez najmniejszego uzasadnienia.

Gdybyśmy te liczby potrafili „przesiać", gdybyśmy potrafili określić, ile spośród 20 godzin przypadających w roku 1974 na każdego robotnika, a składających się ze zwolnień chorobowych — ma swoje uzasadnienie w stanie zdrowia, a ile z chęci wygospodarowania dodatkowego wolnego czasu za „frajer". Gdybyśmy...

Nie chodzi jednak teraz o takie „gdybanie". Pora — i to najwyższa — zastosować skuteczne lekarstwo na ten rodzaj społecznego schorzenia, bez czego trudno będzie nam pokonać następne bariery rozwoju, przyśpieszenia gospodarczego, zamożności i dostatku materialnego.

No, ale padło tutaj słowo lekarstwo — trzeba więc być konsekwentnym, przy czym chciałbym dodać, że odnoszę to pojęcie nie tylko do tej grupy zatrudnionych w naszej gospodarce, którą statystycy klasyfikują jako „robotników przemysłowych". Ależ nie! Czas ma swoją wymierną wartość wszędzie i da się bardzo precyzyjnie wyliczyć w złotówkach, gdy np. chodzi o praktyczne „wdrożenie" do przemysłu zakupionej za ciężkie dewizy licencji. Potrzebujemy na to ciągle 4—5 lat, a w poszczególnych przypadkach i ten okres jest za krótki (sic!).

Cudownych lekarstw na właściwe spożytkowanie czasu, szczególnie przeznaczonego na pracę tak w zakładzie jak i w domu — nie ma. Decyduje systemowe podejście, które uwzględnia rozmaite czynniki takie jak właściwa organizacja i urządzenie miejsca pracy co nazywa się ergonomią, dyscyplina, a wreszcie kultura techniczna i osobista. Ważnym czynnikiem są również bodźce materialnego zainteresowania, rozmaite formy wyróżnień.

Problem właściwego spożytkowania czasu — powiedzmy sobie otwarcie abyśmy się przypadkiem nie poczuli w roli szczególnie upośledzonych w tym względzie — nie jest tylko naszym zmartwieniem.

Co jest podstawą właściwego wykorzystania czasu — w każdej jego postaci? Naukowcy i praktycy odpowiadają: zyskać na czasie w sensie ekonomicznym można tylko poprzez wzrost wydajności, tempo zaś tego wzrostu zależy od organizacji pracy, czynności wykonywanych w najszerszym tego słowa rozumieniu. Celem takiego organizacyjnego działania powinno być uzyskanie „mechanizmu", którego części będą idealnie współgrały z sobą.

Odbiegam od tematu? Ależ nie, chodzi mi bowiem o przedstawienie zjawiska społecznej i ekonomicznej wartości czasu w całej złożoności, w różnorodności funkcji, jakie on wypełnia.

Inna nieco sprawa z rezerwami czasu, tkwiącymi głębiej, stanowiącymi owe trudniejsze rezerwy gospodarcze, o których tyle mówi się w Tezach na VII Zjazd PZPR.

Ale — czy to znaczy, że właśnie ta wyżej ustawiona „poprzeczka" nie jest do „wzięcia"?

Jeśli tak agituję — nie boję się użyć tego słowa — swoich ewentualnych Czytelników za tym, by wraz ze mną szerzej spojrzeli na zjawisko lekceważenia wartości czasu w skali daleko szerszej, aniżeli wynikałoby to z liczb i wskaźników statystycznych, to czynię to z myślą zasiania pewnego konstruktywnego niepokoju, ale i także przeforsowania i ugruntowania opinii, że to, co w tej dziedzinie warto i trzeba zrobić, nie jest.. mierzeniem sił na zamiary. Może nawet całkiem odwrotnie?

No bo jakże: potrafiliśmy zbudować liczący się w świecie przemysł okrętowy, umieliśmy błysnąć w wielu dziedzinach najbardziej skomplikowanej produkcji, a nie umiemy...

No właśnie — że się zapytam po raz wtóry — **czego rzekomo nie potrafimy?**

Może się wydawać, że nie umiemy uporać się z takim problemem, jak organizacja pracy, **ale nie tylko w wymiarze branży czy zakładu, lecz stanowiska produkcyjnego, na którym projektant nie wykonuje tylko czynności jemu przypisanych wykształceniem i zarobkami, członek fabrycznej załogi może sobie formalnie traktować dyscyplinę „dobijając"** na kontrolnym zegarze swoją „wejściówkę" powiedzmy o 6, kiedy to powinien przystąpić do pracy, choć dobrze wie, że z portierni na stanowisko przy maszynie trzeba jeszcze strawić 10—15 minut.

Nie tak dawno wpadł mi do ręki artykuł zamieszczony na łamach **„News and World Report"**. Powiem otwarcie: jest to zabawny, ale równocześnie wielce pouczający wywód. Prof. Mackenzie zauważa dla przykładu, że tylko bardzo niewielu ludzi nauczyło się rządzić własnym czasem, przy czym nie chodzi tutaj o brak czasu, ale o jego właściwe spożytkowanie. Opowieści o „głowach rodziny", które poznały swoje dzieci w dniu ich ślubu nie są znowu, przy tempie, w którym żyjemy tak bardzo fantastyczne.

Ale przejdźmy do rzeczy, to znaczy do wywodu owego naukowca. Stwierdza on więc m. in., że istnieje co najmniej **100 przyczyn marnowania czasu** przeznaczonego nominalnie na pracę, a wśród nich za najważniejsze uważa **nieumiejętność wyznaczania celów, głównych zadań, ścisłych terminów,** a także... **niepotrzebne zamyślania się, odkładanie spraw na później, lub też po prostu brak zdolności do powiedzenia jakiemuś petentowi twardego „nie".**

Z tej setki czynników, które wpływają na niewłaściwe wykorzystanie czasu przez specjalistów i organizatorów funkcjonowania wielkich przedsiębiorstw i organizacji gospodarczych można też wydzielić pewne decydujące czynniki, a wśród nich pierwsze miejsce zajmują: **niewłaściwe wykorzystanie telefonu, niezapowiedziani przybysze oraz zebrania.**

Komuś może się to wydać dziwne, że właśnie aparat telefoniczny jest „zjadaczem" czasu nominalnie przeznaczonego do pracy. Przecież w założeniu swoim powinien on ułatwić działanie, wykonywanie rozmaitych czynności, przede wszystkim komunikowania się i informowania. Powód takiego stanu rzeczy leży jednak nie w samym aparacie, a w nieumiejętnym jego wykorzystywaniu. Bardzo często bowiem kierownicy i szefowie uważają, że powinni być zawsze dostępni i unikać urażania osób, które do nich telefonują. Wreszcie bywa i tak, że wielu spośród kierowników przedsiębiorstw po prostu nie umie w sposób właściwy za pomocą telefonu przekazywać poleceń do wykonania swoim podwładnym. Prof. Mackenzie stawia nie tylko diagnozę, ale i podsuwa rozwiązanie:

„Telefon jest i powinien być skutecznym pomocnikiem, ale przed nim powinna się znajdować sekretarka będąca pierwszą linią obrony i właśnie ona może i powinna dać sobie radę z co najmniej połową wszystkich telefonów, tak by nikt nie był urażony, wiele spraw od ręki załatwionych, a szef miał czas na wykonywanie innej koncepcyjnej pracy, a nie na dialogi telefoniczne".

Jednak najpoważniejszy problem — okazuje się, że nie tylko u nas, w naszym kraju — to zebrania i konferencje. Z badań przeprowadzonych przez wspomnianego już naukowca wynika, **że na 10 kierowników wielkich organizacji gospodarczych dziewięciu uważa, że połowa czasu poświęconego przez nich rozmaitym konferencjom i naradom jest stracona.** W Stanach Zjednoczonych przeciętny szef spędza 10 godzin tygodniowo na konferencjach, tak więc opierając się na tezie prof. Mackenzie można powiedzieć, że co najmniej **5 godzin tygodniowo tracą oni bezużytecznie.**

Oczywiście nie jest to nasze zmartwienie, ale chyba i my możemy z badań tych wyciągnąć pouczające wnioski. Warto w tym miejscu przypomnieć dwa prawa Parkinsona, z których pierwsze brzmi:

„Ilość pracy rośnie tak, aby zapełnić będący do rozporządzenia czas".

Drugie — moim zdaniem nie mniej ważne — mówi natomiast:

„Gdy inne czynniki nie grają roli, czas będzie zużywany na dyskutowanie tematów w stosunku odwrotnym do ich ważności".

Upraszczam? Ależ nie. Organizacja łączy się z dyscypliną, choć ten pierwszy czynnik niejako automatycznie narzuca drugi. Tutaj pozwolę sobie na pewną dygresję, ale tylko pozornie odbiegającą od zasadniczego tematu, chodzi o wartość czasu. No więc mamy kłopoty z ludźmi, wiele zakładów, instytucji boryka się z niedoborami kadrowymi. Daje o sobie znać demografia, pewne zjawiska socjologiczne, ba — nawet kulturowe, obyczajowe. No, ale faktem też jest i to, że w sporej części nowo wybudowanych zakładów operujących już techniką na poziomie światowym liczebność załóg nie uległa wyraźniejszym zmianom, jak więc w tym świetle rozumieć słuszną przecież tezę, że technika zastępuje ludzi? W dodatku — bardzo droga technika, a może właśnie dlatego tak kosztowna?

W taki to sposób w tryby skomplikowanego mechanizmu dostaje się piasek. Niekiedy zresztą i tam, gdzie ani śladu skomplikowanych technologii ze wszystkimi ich konsekwencjami. Wielu z nas jakże dobrze wie, choćby z autopsji, ile czasu wymaga załatwienie w niektórych urzędach czy instytucjach choćby najbardziej banalnej sprawy. Nie tak dawno sam przeżyłem coś takiego w jednej z łódzkich placówek handlowych oczekując — najpierw po wystawienie rachunku około 1,5 godziny — a następnie w kolejce przed okienkiem kasowym dalszych 30 minut, gdy w tym samym czasie kilka osób z obsługi, tyle że siedzących przy innych biurkach po prostu nudziło się śmiertelnie. Nominalnie — pracując.

Ile wart był ten czas, który mi zmarnowano, a który mógłbym przeznaczyć np. na odpoczynek?

Ano właśnie: **ile kosztuje nas czas?**

NIE TYLKO HISTORIA

KLIMAT DLA AMBICJI

W styczniu 1973 r. Bronisław Gołembiowski zainicjował na łamach Trybuny Ludu dyskusję na temat zagadnienia kariery w warunkach polskiej socjalistycznej rzeczywistości. Artykuł „Kariera czy awans społeczny", w którym autor upominał się o rewaloryzację pojęcia kariery w naszym życiu, przeciwstawiał się nadawaniu mu jedynie sensu pejoratywnego, okazał się przysłowiowym kijem włożonym w mrowisko: posypały się listy i wypowiedzi ze wszystkich stron kraju, z najróżniejszych środowisk społecznych i zawodowych, rozwinęła się autentyczna dyskusja, trwająca niemal dwa lata, w której nieraz dochodziło do starcia się odmiennych poglądów. Dobrze się stało, że pokłosie tej jakże istotnej, ważnej społecznie dyskusji zebrano w publikacji książkowej. Pod nagłówkiem Trybuny Ludu ukazał się bowiem wydany przez Książkę i Wiedzę spory tom pt.: „Kariera. Bohater naszych czasów" (Warszawa 1975), w którym oprócz dyskusji o karierze znalazły się materiały związanej z nią innej dyskusji prasowej, zainicjowanej w kwietniu 1973 r., a dotyczącej modelu współczesnego bohatera pracy socjalistycznej.

Inicjując dyskusję o karierze Trybuna Ludu wypowiedziała wojnę niepokojącemu zjawisku, którego obecność w naszym życiu społecznym ma niewątpliwie oddziaływanie hamujące na tempo naszego rozwoju społecznego i ekonomicznego. Nasz czołowy dziennik wystąpił mianowicie przeciwko kultowi przeciętności. Chodzi bowiem o to, że socjalistyczny egalitaryzm nie może być rozumiany jako swoiste równanie w dół, zgodnie z przypomnianą przez dyskutantów anegdotą o diabelskich kotłach. Uczestnicy dyskusji (W. Ołdak) dając wyraz swojemu niezadowoleniu z rozplenienia się tego rodzaju postaw odsłaniali zjawisko „agresywnej formy niechęci do ludzi zdolniejszych, aktywniejszych", piętnując je jako „obronę własnej bierności, z której ci „równi" chcą zrobić cnotę, wzór postępowania w zespole". Pisarz Z. Załuski — przytaczam słowa jego oponenta T. Żochowskiego — „wystąpił z godną najwyższego uznania żarliwością przeciwko zjawiskom stagnacji, bezruchu, martwoty, egoizmu, wspartych kultem — jak pisze — „przeciętniactwa", „ideologią" poprzestawania na małym, byle się nie odróżniać od innych". Intencje te bezdyskusyjnie zaaprobował również jego oponent. Walka z kultem przeciętności, do której włączyło się wielu dyskutantów, nie wiodła jednak automatycznie do pełnej rehabilitacji pojęcia kariery. Najsłuszniej zwracano bowiem uwagę na to, że gdy mowa o karierze we współczesnej świadomości społecznej, ciągle funkcjonują pozostałości dawnych pojęć, a złożona rzeczywistość, fakty karier społecznie nie akceptowanych, przytaczane przez różnych dyskutantów, ujawniają że nie w pełni piękne ideały znajdują odpowiedniki w rzeczywistości. E. Zapolski-Kusy zauważył, że nie uzasadnione społecznie kariery, nie mające nic wspólnego z „kryteriami obiektywnymi" z przeszłości przyczyniły się do tego, że samo pojęcie kariery „stało się pojęciem negatywnym". Jak wykazuje dyskusja — stało się nim dla wcale wielu osób, które skłonne byłyby przeciwstawić karierę jako coś ocenianego pejoratywnie, osiąganego przy pomocy nie akceptowanych środków, uznanemu społecznie awansowi.

Dyskusja ta miała doniosłe znaczenie ideowe: wskazała na kształtowanie się nowych wzorców kariery w społeczeństwie socjalistycznym, na trudności przezwyciężania zastanych schematów, wreszcie na osiągnięcia w tworzeniu nowej rzeczywistości. Bardzo wiele głosów padało nie tyle za rehabilitacją kariery w ogóle, ale za nadaniem właściwej rangi awansowi ludzi aktywnych, utalentowanych, ich socjalistycznym karierom opartym o równość startu i możliwości dla wszystkich, dlatego aby być lepszym, wydajniejszym, bardziej odkrywczym, nowatorskim.

Dyskusja o karierze nie lakierowała rzeczywistości. Ujawniła niedostatki, dążyła do ich ograniczenia i przezwyciężenia, ukazywała perspektywy. Upomniała się stanowczym głosem o klimat dla ambicji i możliwości jej rozwoju, zwróciła się przeciwko temu, co jeden z dyskutantów skłonny był nawet — nie bez przesady — uznać za naszą polską cechę narodową, mianowicie, że „Polacy nie lubią, jeśli ktoś wyrasta ponad przeciętność". Skłania to do optymizmu, skoro coraz więcej jest głosów o potrzebie ambicji, bowiem jak powiedział inny uczestnik dyskusji Trybuny Ludu (Z. Rybicki), „ambicje ludzkie są tym czynnikiem twórczym, który pcha zarówno indywidualnego człowieka, jak i całe społeczeństwo, do przodu. A o to nam wszystkim idzie".

LEKTOR

LITERATURA

MACIEJ RYMWID KONONOWICZ

ZAPROSZENIE DO ŚLUBU

Cóż, Anno, usiądźmy na brzeżku...
Na te pięć minut życia nie trzeba foteli.
W tym życiu — jak atomy — zderzamy się co dnia,
a zdarzamy — jak cuda — jeden raz, lub nigdy.

Więc, Anno, usiądźmy na nasze pięć minut.
Obcasem kółko wykreśl. Niech choć to zostanie.
Zostaje dla nas ten moment fatalny, który nas, małe ziarnka, na wieczność sposobi.

Śmierć — to jest większość życia, spory kawał dziejów.
Próchnieje wtedy wiatr i słońce światło strąca.
I dzieje się to, Anno, nie przez jedno życie,
a bardzo długo.. albo jeszcze dłużej —

ŻYCZENIA

Sto lat robót
na drutach telegraficznych
naszych przegadań i niedomówień
Oto optymistyczne pożądanie wiary
w chwilę bliską
jak koszula ciału
w bezpośredniość
w dzisiaj jutro zawsze
w konsekwencje każdego czynu
lub zaniechania
w dotykalność miłości
w odległość obojętności
w obcość nienawiści
w człowieka niepowtarzalnego
jak linie papilarne
wszystkich dziesięciu palców
na których rachujemy nasze życie
podawane z ręki do ręki
z dnia na dzień.

To jest moje pragnienie wiary
w Ciebie
do której idę
wieczny tułacz
z oczami utkwionymi
w nieustanny drogowskaz
miłości.

Paryż, 4 VI 75

HANNA KACEWICZ

RĘCE

★ ☆ ★

twoje ręce są jak maleńkie dziuple
nagrzane słońcem
pachną wrzosem i łąką
zasypiają na miękkim mchu skóry
przyczajone jak ptaki
pod moim dachem

★ ☆ ★

te małe piąstki
otwierają się ku światu
ciekawie jak muszelki
wielką łyżką
stukają w natrętne ucho dzbanka
cienką kredką stukają
zdejmują z nieba koślawe gwiazdy
wszechobecne
w każdym kącie domu
zmęczone
tłuką o snu skorupkę

★ ☆ ★

oto moje ręce
ściśnięte strachem
gdy ważą pośpiech
niewierne sobie
w rachunku błędów
oto moje ręce
nieposłuszne
którym chcę dać
wolę i pamięć

JAN CZARNY

OPOWIADANIA WCZASOWE

„MAPA"

Pies w żółto-białe łaty przypominał ruchliwą, kudłatą mapę. Mapa stała teraz przed oszkloną werandą i warczała. Podchodziłem do domu od dołu. Te dwieście, trzysta metrów wspinaczki po wyślizganej, mokrej trawie zmęczyły mnie. Szukałem furtki lub jakiegoś przejścia w żywopłocie. Nie miałem zamiaru kapitulować przed tą warczącą mapą. Obszedłem dookoła żywopłot wpierając się obcasami w grunt, żeby nie zjechać w dół, i dotarłem wreszcie do furtki. Oboje mieliśmy dość dużo czasu do namysłu, ja i warcząca mapa. Pies, żeby się uspokoić, przestać warczeć i szczerzyć zęby, ja, żeby się w razie czego wycofać i spokojnie zejść w dół. Ale w tej chwili z sieni wyszła gospodyni, właścicielka domu. Ruchy miała zamaszyste i energiczne.

— Do nogi, do nogi! — krzyknęła na mapę i oboje od razu odczuliśmy ulgę. Nieraz przecież dramatyczne narastanie sytuacji ma tragiczne następstwa, takie a nie inne, nieodwracalne. Może skończyć się nawet śmiercią, nie tylko pokąsaniem przez psa podobnego do mapy. Pies chyba, mimo wszystko, bardziej skazany jest na działanie przypadku niż człowiek.

Tymczasem gospodyni chwyciła Mapę za obrożę. Pies był wielki, więc nie musiała się nawet schylać. Dopiero teraz mogłem zbliżyć się i dokładnie obejrzeć potężny kark i wielkie łapy tego silnego i groźnego owczarka. Prawdę mówiąc, ta jego nieżyczliwość sprawiła mi przykrość. Czy nie wyczuł, że nie mam wobec niego wrogich zamiarów? Jego warczenie obudziło we mnie stare kompleksy. Pies chyba najlepiej wie, na kogo warczeć, a na kogo nie. Zawsze wierzyłem w instynkt. Widocznie pies wyczuł licho, jakie we mnie siedzi i mnie samemu nie daje żyć. Mapa została więc zamknięta na oszklonej werandzie, a ja z honorami wprowadzony zostałem przez gospodynię głównym wejściem do wnetrza domu. Kiedy wstępowałem na drewniane schody, kątem oka widziałem, jak Mapa bezskutecznie usiłowała nacisnąć olbrzymią łapą klamkę zamkniętych już na klucz drzwi werandy. Ale jego początkowa wściekłość powoli nikła, jak rozchodzące się po wodzie kręgi. Coraz rzadsze i cichsze warczenie było tylko dalekim echem tej pierwszej, autentycznej furii. Wchodząc po schodach zauważyłem stojące po obu stronach na murku, wyrzeźbione w sczerniałym drewnie, figurki, cel mojej wizyty. Niestety, od razu spostrzegłem, że zrobione one były według odpustowej, banalnej sztampy i nie grzeszyły oryginalnością. Były to baby w chustkach na głowie, z koszykami w ręku. Wąsaci gospodarze w kapeluszach. Górale z ciupagami i muzykanci grający na skrzypkach. Brodaci Żydzi w jarmułkach, o długich, ascetycznych twarzach z wyłupiastymi oczami. Po chwili weszliśmy do dużego pokoju, gdzie na desce, opartej o stół i o parapet okna, rozłożone było prasowanie. Żelazko elektryczne było wyłączone, sznur wyciągnięty z kontaktu. Gospodyni wzięła wtyczkę do ręki i wetknęła ją z powrotem w gniazdko.

— Nie ma pani więcej tych figurek? — zapytałem.

— Nie, nie mam — nie przerywając prasowania odpowiedziała kobieta. — Były, ale mąż już sprzedał. Mieszkał tu u nas jeden taki malarz z Krakowa. I on kupił, i zagraniczni goście za dolary. Ale jeszcze jest kilka, zaraz panu pokażę.

Zaprowadziła mnie w kąt pokoju. Pod schodami stały świątki frasobliwe. Zmartwione, nagie Chrystusiki, wspierające głowę na rękach, sękatych, powykręcanych. Wskazałem palcem na jednego z nich i spytałem o cenę. Myślałem, że usłyszę w odpowiedzi: „trzydzieści srebrników". Ale gospodyni nie była Judaszem, nie była szaleńcem z Kariotu.

— Ja tam nie wiem — powiedziała zabierając się znów do prasowania — niech pan przyjdzie jutro, jak będzie mąż.

Nie miałem zamiaru wdrapywać się jeszcze raz na górę, po to tylko, żeby wyrzucać pieniądze. Jak już powiedziałem, wartość artystyczna tych rzeźb była niewielka. Gaździna, u której mieszkałem, siedemdziesięcioletnia góralka, kiedy wybierałem się tu, wydała o tych rzeźbach nie najlepszą opinię. Niech pan idzie, powiedziała, jak pan chce, ale nie warto. Przekona się pan, on tam ma same takie okrąglaki. Nie bardzo rozumiałem, o co jej chodzi. Ale pogardliwe machnięcie ręka nadało temu „okrąglakowi" właściwe znaczenie.

— Nie ma pani nic więcej? — zapytałem. — Kupiłbym takiego jednego Chrystusa. Są stosunkowo najlepsze z tych wszystkich rzeźb.

— Było dużo — powiedziała gospodyni widząc już, że traci klienta — ale wszystkie poszły.

Nagle ożywiła się, oczy jej zabłysły i wstąpiła w nią nadzieja. Z szuflady komody wyciągnęła nieduże zdjęcie i podsunęła mi je pod oczy.

— Był duży wybór — powiedziała — mąż wszystko sprzedał. Ale może pan coś z tego zamówi.

Wziąłem fotografię do ręki. Na błyszczącym kartoniku wielkości pocztówki zobaczyłem chyba z trzydziestu jednakowych Chrystusików. Wszystkie tkwiły w tej samej nieruchomej pozie. W cierniowej koronie na głowie, w nagości i w chudości drewna: Z głową spoczywającą na ręce, zgiętej w łokciu i opartej na kościstych kolanach. Jednakowe świątki, w takiej ilości, przekreślały swoją artystyczną wartość, ale jak gdyby podnosiły swoją siłę. Ośmieszały się nawzajem, ale tym samym potęgowały swoją świętość. Trzymałem właściwie w ręku katalog handlowy w postaci wypolerowanego na wysoki połysk fotosu. Mogłem dotknąć każdego z Chrystusów palcem i powiedzieć: proszę tego na jutro, na godzinę czwartą. Dobrze pani zapłacę. Było jakieś świństwo w handlowym aspekcie tej całej sprawy. Czułem to wyraźnie, chociaż to stare jak świat. Świętość się sprzedaje, świętość się kupuje. I to wcale nie powiedziane, czy ten aspekt handlowy, to kupczenie, poniewieranie świętości, wystawianie jej na licytację, przetargi i aukcje, obniżają, czy też podnoszą jej wartość.

— Ile mąż bierze za takiego jednego Chrystusa?

— To zależy od wielkości i od drewna, z jakiego jest zrobiony — odpowiedziała rzeczowo gospodyni, spryskując prasowaną bieliznę wodą nabraną w usta. — Ja się do tego nie wtrącam. Niech pan przyjdzie jutro, jak mąż będzie.

— Dobrze, przyjdę jutro.

Tak powiedziałem, ale właściwie odeszła mnie już chęć kupowania świętych. Niska wartość artystyczna rzeźb sprawiła, że wolałem zrezygnować. Poza tym cała ta wyprzedaż świętości wydała mi się niesmaczna. Nie chciałem widzieć siebie samego wprzęgniętego w ten proceder. Czy warto było umierać na krzyżu, pomyślałem, czując, oczywiście, niestosowność tego pytania wobec istoty wiary, żeby ktoś potem robił na tym interes?

Pożegnałem się i zszedłem po schodach na dół. Mapa tym razem nie warczała już na mnie. Otworzyła chyba jakoś w końcu sama werandę i czekała na mnie przed domem. To czochrała swoje żółto-białe łaty potężną łapą, to skakała na mnie radośnie, opierając o moją pierś swój szeroki, ciężki tułów. Stał się cud, pomyślałem. Mapa uważa mnie teraz za swojego przyjaciela. Widocznie oglądając świątki zostałem oczyszczony, dopuszczony do tajemnicy tego schowanego w górach domu. Mapa nie mogła przecież wiedzieć, że świątki nie podobały mi się. A więc, jednym słowem, spłynęła na mnie łaska. Na mnie, racjonalistę i niedowiarka.

Postanowiłem wrócić do siebie inną drogą niż przyszedłem, ścieżką przez las, której jeszcze nie znałem, ale która wydała mi się dogodniejsza. Mapa widocznie przebywała tę drogę niejednokrotnie, bo pobiegła przede mną i prowadziła mnie. Było po deszczu i ścieżka na skraju lasu pełna była błota i wybojów. W zagłębieniach, w śladach ludzkich stóp błyszczały kałuże. Widać, gliniasty grunt nie przepuszczał wody, a cieniistość lasu utrudniała parowanie. Musiałem uważać, żeby się nie pośliznąć na jakimś zejściu i nie upaść w błoto. Nie chodziło mi o wygląd mojego ubrania w razie upadku, ale obawiałem się reakcji Mapy. Nie wiadomo, co by było, gdyby się to stało. Kto wie, czy wesołość merdającego ogonem psa nie zmieniłaby się w nagłą wściekłość. Czy nie zanurzyłby swoich ostrych kłów w moim ciele.

— Mapa! Mapa! — zawołałem.

Pies spojrzał na mnie mokrymi oczami. Mądry, miły piesek, powiedziałem i dreszcz grozy przebiegł mi po plecach. Nie mogłem w to uwierzyć, że niedawna wściekłość zwierzęcia tak szybko zmieniła się w przyjaźń i życzliwość. Ale pies był naprawdę wesoły, a nawet rozbawiony. Biegł ciągle przede mną, machając ogonem i pokazując mi drogę, której nie znałem. Skręciliśmy po chwili w prawo, sforsowaliśmy strumień, ja przez kładkę, a Mapa skacząc po kamieniach, i weszliśmy na wielką polanę opadającą łagodnym zboczem w dół. Stały na niej wysokie, sczerniałe stogi siana. Była już chyba piąta po południu, ale skośne promienie słońca przygrzewały jeszcze silnie. Pod jednym ze stogów siedziała jakaś wczasowa parka. Starszy pan w krótkich spodenkach, z aparatem fotograficznym na kolanach, i jakaś tęgawa, czterdziestoletnia niewiasta jeszcze z pretensjami, na co wskazywał zbyt głęboko wycięty dekolt. Mapa, powodowana oczywiście życzliwością, podbiegła do niej, wysunęła czerwony jęzor i liznęła ją w dekolt. Jakby chciała w ten sposób podkreślić jego pretensjonalność.

— Niech pan zabierze swojego psa — powiedział do mnie niepewnym głosem starszy pan w spodenkach. Strzegł rycersko nienaruszalności swojej wczasowej damy. Nagle, niespodziewanie dla samego siebie, poczułem się właścicielem Mapy, tego pięknego psa, którego jeszcze nie tak dawno się bałem.

— Mapa! Mapa! — zawołałem — chodź tu, do nogi!

I Mapa usłuchała mnie.

— On nie zrobi nikomu krzywdy — powiedziałem — on tylko wygląda tak groźnie.

Obowiązywała mnie lojalność wobec Mapy, skoro byłem teraz jej właścicielem.

— Ale mógłby być trochę grzeczniejszy — powiedziała ośmielona już kobieta.

— Tak, mógłby, nie zaszkodziłoby — odpowiedziałem głośno — ma pani rację.

Przypomniałem sobie moje pierwsze spotkanie z Mapą. A poza tym, mógłby mieć lepszy gust, dodałem w duchu, patrząc na mocno przywiędły dekolt wczasowej damy. Po zejściu ze zbocza zobaczyłem z daleka ukryte w sadzie drewniane ściany domu, w którym od miesiąca wynajmowałem pokój. Zobaczyła je również i Mapa, i nagle chyba zrozumiała, że nie tylko nie jest moim psem, ale że może nawet nie jest moim przyjacielem. Przypomniało jej się widocznie to jej pierwsze warczenie, kiedy mnie zobaczyła po raz pierwszy. Spowodowane być może zapachem przeniesionym z tego obcego, nieżyczliwego jej domu. Potwierdzałoby to słowa mojej gospodyni, odradzającej mi wyprawę w góry do domu świątkarza, jej obelżywe słowo „okrąglaki", użyte na określenie rzeźb.

Mapa stała przez krótką chwilę niezdecydowana na stromej ścieżce, z tułowiem zwróconym w moją stronę, ale z pyskiem odwróconym już tęsknie w innym kierunku. W stronę rudych leszczyn i sczerniałych stogów, za którymi, na polanie, za lasem, była jej buda, jej oszklona weranda, jej dom i jej okrąglaki, które mogły się komuś podobać lub nie. Ściągnąłem z ramienia aparat fotograficzny, prawie dotąd nie używany, i cyknąłem Mapę na pamiątkę. Pies wyszedł na zdjęciu pięknie. W takiej właśnie niezdecydowanej, pożegnalnej pozie. Wielki, kudłaty, w ciemne i jasne łaty, przypominające mapę.

MISTRZ

Mistrz przyjechał w góry do domu wypoczynkowego. Mistrz spogląda na wszystkich z góry, mimo iż ma tylko metr pięćdziesiąt wzrostu. Ale wystarczy raz na niego spojrzeć, żeby się uśmiać. Mistrz nosi brudną, welwetową kurtkę, którą jak powiada kazał sobie uszyć w Paryżu. Mistrz, jak kobieta, nosi długie włosy, tak jak pewien skrzypek, którego znałem przed wojną, a który chciał w ten sposób ukryć brak jednego ucha, obciętego w pojedynku. Mistrz ma hiszpański wąsik i oczki podobne do ratlerka. Ale mistrz inteligencją znacznie przewyższa ratlerka. Mistrz bowiem jest i malarzem, i pisarzem, i może nawet aktorem, nie mówiąc już o innych ukrytych talentach. Mistrz pochodzi z małego galicyjskiego miasteczka, i mimo że jest synem krawca męskiego, zna wiele wybitnych osobistości, ba, jest nawet z nimi na ty. Mistrz był w Wiedniu, Paryżu, Londynie i w Koluszkach. Mistrz jest poza tym znawcą dobrych wódek i kobiet. Mistrz zna mnie już od dawna, ale kiedy spotkał mnie tutaj, na wczasach po raz pierwszy, udał, że mnie nie poznaje. Mistrz widząc mnie następnego dnia w towarzystwie obojętnej mi kobiety rzucił się do ataku, żeby mi ją odbić. Mistrz już po paru godzinach był z nią na ty, i chociaż jest niskiego wzrostu, spoglądał na mnie z góry, jak na zwyciężonego rywala. Mistrz uwiesił się na jej ramieniu i mimo że wyglądał przy tej długiej, deskowatej kobiecie, jak jej synek, wodził ją po ścieżkach i uliczkach kurortu, stawiał drogi koniak w prywatnej knajpie i zaprosił ją do tańca z przytupem. Mistrz trzeciego dnia uważał się już za jej właściciela i uznał za stosowne zachwalać przede mną uroki tej piegowatej i deskowatej piękności. Mistrz czwartego dnia chodził po sklepikach małej, górskiej mieściny i usiłował kupić tusz, piórko i bristol, aby sporządzić portret swojej damy. Mistrz w długie, jesienne popołudnia, kiedy inni chodzili na grzyby i poziomki, które tego roku wyjątkowo obrodziły, rysował zawzięcie portret naszej wspólnej znajomej. Po paru dniach Mistrz pokazał mi rysunek piórkiem, który przypominał ilustrację do Damy Kameliowej. Mistrz długo wzbraniał się odwiedzić ludowego malarza, który od rana do zmierzchu w swojej budce malował prymitywne i piękne jak rysunki dziecka akwarele, a wieczorem wychodził na deptak, żeby żebrać. Mistrz nie mógł darować temu ludowemu twórcy, że to on, bełkocący, niezrównoważony żebrak, znany jest na całym świecie, a nie on — Mistrz nad Mistrze. Mistrz jednak nie wątpił, że kiedyś stanie się sprawiedliwości zadość. Mistrz znał przecież świetnie dzieje Van Gogha, Norwida i innych zapoznanych geniszów. Mistrz w końcu jednak namówiony przeze mnie i głównie przez ową damę, którą ja znów z kolei namówiłem, dał się skłonić do odwiedzenia ludowego mistrza. Mistrz skrzywił się, kiedy wszedł do brudnej budki ludowego malarza, notabene, chorego na gruźlicę. Mistrz skrzywił się powtórnie, kiedy na jego przywitanie ów malarz prymityw nawet nie oderwał pędzla od papieru i nie podniósł oczu znad malowanego właśnie widoczka. Mistrz stał tylko małą chwilę przy ludowym malarzu i przyglądał się, jak ten małym pędzelkiem umaczanym w białej temperze, mechanicznie, poprawia ramy okienne willi, namalowanej na zwykłej, szarej okładce szkolnego zeszytu. Mistrz stał jeszcze chwilę, kiedy ten w identyczny sposób na swoim obrazku poprawiał drzewko za drzewkiem, wzdłuż rynsztoka przed namalowaną willą. Mistrz zapewne dziwił się, że to o tym ludowym mistrzu, a nie o nim, piszą z takim zachwytem francuscy, holenderscy, niemieccy i belgijscy krytycy. Mistrz zapewne dziwił się, że to nie o nim, ale o tym ludowym prymitywie napisano kilka monografii, i że jego akwarele chętnie kupują Anglicy za funty, Amerykanie za dolary, Francuzi za franki. Ale ponieważ Mistrz pisuje również i eseje o sztuce, sam wie najlepiej, co o tym sądzić. Mistrz wie, jak kapryśne i niesprawiedliwe bywają wyroki tak zwanych Muz. Mistrz wie, że fale mody i snobizmu raz wynoszą w górę, innym znów razem pogrążają w dół. Tak jak fale oceanu podczas sztormu. Ale przecież Mistrz — musimy się z tym zgodzić — nie po to przyjechał tu, w góry, żeby myśleć o morzu.

PORTRETY

1. Józef Białek. Motorniczy MPK. Działacz polityczny i społeczny. Delegat na VII Zjazd PZPR.

2. W MPK pracuję już 26 lat. Zaczynałem pracę w starych wagonach, bez drzwi, bez ogrzewania. Teraz „w przegubowcu" mam prawie komfort.

3. Jak odpoczywam? Po swojej zmianie mam jeszcze pracę społeczną. W komitecie partyjnym, w innych organizacjach. Ale zawsze znajdzie się trochę czasu na pracę na działce. Bardzo to lubię.

JÓZEF BIAŁEK

TEKST:
BOGDA MADEJ

ZDJĘCIA:
WŁODZIMIERZ PARYS

4. Jak się tramwaj spóźnia, to pasażerowie pomstują na motorniczego. A przecież nikt tu nie robi na złość. Wystarczy gdzieś jedno zderzenie i wtedy od razu robi się bałagan. Nas to też złości.

5. Mało teraz młodych w tramwajach. A przecież to dobry zawód. Czujemy się tu wszyscy jak w rodzinie.

6. A czasem wieczorem udaje nam się z żoną usiąść razem przed telewizorem.

KSIĄŻKA

Trudno sobie wyobrazić lepszy i bardziej serdeczny tytuł: „Księga przyjaciół". I nie ma w tym tytule — haśle książki nic z pretensjonalności. To nic, że mimo wieloletniego, wiekowego sąsiedztwa jeszcze i dziś jest wiele spraw niedopowiedzianych. Po prostu tych kontaktów, tych związków, tych spotkań na wspólnej drodze jest tyle, że nie ma mowy o ich wyczerpaniu. Siłą więc rzeczy — jak pisze we wstępie do tego dzieła **Jarosław Iwaszkiewicz** — stosunki nasze przedstawione są tu cząstkowo.

Przedstawiono w wyborze utwory najwybitniejszych pisarzy, najwrażliwszych artystów, ale wybór ten jest ogromnym — koniecznym — ograniczeniem i autorów i tematów. Bo przecież stosunki kulturalne polsko-radzieckie nie są czymś nowym, weszły one na nową drogę w epoce ostatniej wojny, ale miały wieloletnią tradycję. Istniały — że odwołam się raz jeszcze do słów Iwaszkiewicza — stosunki polityczne, ekonomiczne, społeczne, które układały się w sposób rozmaity, ale obok tego układ spraw kulturalnych, wzajemne ich związki i oddziaływanie na siebie były zasadniczą podstawą tego, cośmy nawzajem myśleli i czuli.

Ta księga w wyborze i opracowaniu **Igora Sikiryckiego** jest pozycją pomnikową i znakomitą. Jedno tylko mogę mieć zastrzeżenie, które zgłaszam zawsze do wszelkiego rodzaju antologii. Otóż szkoda, że nie zaopatrzono „Księgi przyjaciół" w noty biograficzne autorów i tłumaczy; przede wszystkim w wypadku tego rodzaju tematycznych wyborów noty są potrzebne, poszerzają bowiem walory dokumentacyjne i poznawcze dzieła.

Ale stało się.

Jeśli natomiast chodzi o zasadność takiego a nie innego doboru tekstu, to tu już dyskusji żadnej być nie może. Chodzi po prostu o to, że z tak olbrzymiego materiału stu autorów antologii wybrałoby... sto różnych antologii. Na to, niestety, rady nie ma. Na chwałę Igora Sikiryckiego natomiast można powiedzieć to, że nic co i s t o t n e z przebogatej skarbnicy literackich dokumentów łączących oba nasze narody, nie umknęło uwadze wydawcy.

Chociaż snując te bardzo osobiste refleksje na marginesie „Księgi przyjaciół", chętnie bym w niej ujrzał wiersz „Chopin" **Borysa Pasternaka**, albo wiersz „Polska" **Sergiusza Gorodieckiego** (m.in. tłumacza Mickiewicza), albo „Akacje Warszawy" **Michała Matusowskiego...** Powtarzam jednak że to nie są zarzuty — po prostu podkreślam raz jeszcze, że wybór antologii (mimo wieloosobowych komitetów redakcyjnych) jest zawsze sprawą osobistych upodobań i kryteriów wydawców. W sumie — mimo ogromu materiału z jakiego czerpano, aby dokonać tej syntezy, jest to synteza prawidłowa i reprezentatywna.

JERZY WILMAŃSKI

DOKUMENT LITERACKIEJ PRZYJAŹNI

I to jest podstawowy walor tej księgi. Bo przecież można odnaleźć oprócz powyższych przykładów jeszcze masę interesujących tekstów o polskich motywach — i odwrotnie: polskich o motywach rosyjskich. W ten sposób jednak blisko 400-stronicowa antologia mogłaby rozrastać się w nie kończącą sagę. Ale — jak się rzekło — Sikirycki wybrał teksty najwymowniejsze, najbardziej istotne.

Szczególnie miło odnotować w tej reprezentatywnej księdze nazwiska kilkunastu pisarzy łódzkich: **Wacława Bilińskiego, Jana Huszczy, Macieja Józefa Kononowicza, Jana Koprowskiego, Wiesława Jażdżyńskiego, Tadeusza Papiera, Igora Sikiryckiego, Jerzego Wawrzaka i Marka Wawrzkiewicza.** Pisarze ci prezentują w „Księdze przyjaciół" teksty oryginalne. Jest jednak i grupa tłumaczy, wśród których spotykamy **Tadeusza Chróścielewskiego, Macieja J. Kononowicza, Igora Sikiryckiego, Marka Wawrzkiewicza, Jana Koprowskiego, Konrada Frejdlicha i Wasyla Kocznowa.**

Na tym by można „łódzki akcent" książki skończyć, bo przecież nie chodzi o listę obecności, lecz o to, w jaki sposób książka prezentuje literackie związki Polski i Związku Radzieckiego. A prezentuje — jak się rzekło — znakomicie.

Ogromną zasługą wydawców „Księgi przyjaciół" jest także i to, że udostępniają polskiemu czytelnikowi (a także radzieckiemu, ponieważ edycja jest dwujęzyczna) autorów młodych, bądź jeszcze na rynku zagranicznym znanych bardzo mało.

Osobiście wzruszył mnie bardzo fragment poematu **Natana Złotnikowa** w przekładzie **Marka Wawrzkiewicza.** Podobnie jak piękny wiersz **Albinasa Żukauskasa** „Kości" w przekładzie **Zygmunta Stoberskiego.** A przecież autorów tych nie notują najnowsze antologie poetyckie (vide — antologia „Ossolineum", wydana przed czterema laty) — są to więc nowe dla polskiego czytelnika odkrycia literackie. Jest takich odkryć w „Księdze przyjaciół" dużo więcej.

Ale właśnie dlatego tak potrzebne były w tej antologii noty biograficzne. Książka co prawda ukazała się w nakładzie 15 tys. egzemplarzy, a zatem nie jest to nakład masowy, niemniej jednak adresowany nie tylko do szczególnych znawców literatury.

„Księga przyjaciół" jest literackim dokumentem związków łączących oba nasze narody, a nawet więcej — związków łączących literaturę polską z literaturą n a r o d ó w Kraju Rad. Przecież obok utworów Rosjan znajdujemy na kartach antologii takie nazwiska, jak **Eduardas Mieżelaitis, Janka Bryl, Maksim Tank, Vytautas Sirijos Gira.**

Te związki i fascynacje uchwycone zostały w sposób piękny i wzruszający. Oto **Simon Czikowani**, zauroczony przyrodą Tatr, pisze:

„Myśmy po górach
Razem wędrowali,
A w Tatrach tylko dla mnie wiatr szeleści.
Lecące z dali.
Jakże potrzebne mi od ciebie wieści..."

A polski poeta, **Igor Sikirycki**, pisze w gruzińskim Borżomi słowa:

„...to wszystko było dziełem roju pszczół
pod wodzą matki — królowej Tamary,
dziełem wzniesionym po to,
by ocalić święty ul,
któremu na imię Gruzja".

Oto największy polski poeta rewolucyjny składa swój słynny „Pokłon Rewolucji Październikowej":

„Kłaniam się Rosyjskiej Rewolucji
czapką do ziemi
po polsku:
radzieckiej sprawie
sprawie ludzkiej,
robotnikom, chłopom i wojsku".

A inny poeta z ZMP-owskiego już pokolenia składa ten pokłon słowami:

„Tak człowiek wypełzł ze szczelin Ziemi Nieobiecanej
na scenę historii
Był więc czas kanału, szklane skrzydła miast,
droga i przęsło mostu w przyszłość
i pochodnia idei Lenina rzucona w mrok świata".

I tak płynie ten twórczy dialog pisarzy na kartach „Księgi przyjaciół". Jest ta książka nie tylko piękną antologią — jest również, a może przede wszystkim, dokumentem przemian, historii, związków łączących nasze narody — dokumentem poznania.

Jarosław Iwaszkiewicz napisał, że „bez zgłębienia tego co jest istotą przeżyć kulturalnych naszych narodów, bez należytego poznania — co jest niezwykle ważne — tradycji, które formują kształt tych kultur, nie ma prawdziwego zbliżenia, ani prawdziwego braterskiego stosunku. Dlatego tak niezmiernie ważne jest wszystko, co temu poznaniu sprzyja, co nasze kultury zbliża, chociażby w małym stopniu. Zdaje się nam, że ta książka, którą tu przedstawiamy, a która jest słabym odbiciem wielojęzycznej kultury literackiej Związku Radzieckiego, a także wieńcem splecionym z uczuć polskich pisarzy, których doznali w kontaktach z pisarzami, z krajobrazami, z książkami, z ludźmi — wreszcie z ideami radzieckimi — będzie dobrze spełniała to zadanie zbliżenia".

„Księga przyjaciół", wybór i opracowanie: **Igor Sikirycki**, Komitet Redakcyjny: **Jan Dobraczyński, Jarosław Iwaszkiewicz, Józef Ozga-Michalski, Jerzy Putrament, Andrzej Wasilewski, Zbigniew Załuski, Wojciech Żukrowski**, Wyd. **Państwowy Instytut Wydawniczy 1975.**

CENTRUM TAJNEGO FRONTU (IV)

ANDRZEJ BLAJER

„PAKBO" I INNI

Było to wiosną 1938 roku. Pewnego kwietniowego dnia genewskie mieszkanie Sándora Rado odwiedził niespodziewanie nieoczekiwany gość. „Albert" był zdziwiony, a zarazem zaskoczony. W progu stał „Kola". Jego krok przeczył zasadom konspiracji. Przybyły jednak szybko uspokoił Rado. Wszystko było w porządku, wynikła jedynie pewna szczególna okoliczność, która wymagała bezzwłocznego kontaktu. Weszli do gabinetu. „Kola" usiadł na krześle i bez zbędnych słów wyjaśnił cel swojej nagłej wizyty.

„Otrzymałem polecenie Centrali — powiedział „Kola" — aby przekazać wam swoich ludzi. Podjęto decyzję mianowania was szefem grupy na terenie Szwajcarii. Właśnie dlatego tu przyjechałem. Teraz będziecie pracować samodzielnie".

Wiadomość ta całkowicie zaskoczyła „Alberta". Tego się w tej chwili najmniej spodziewał. Nie mógł jednak zbyt długo zastanawiać się nad tym co zaszło, bowiem „Koli" wyraźnie się spieszyło. Dowiedział się tylko, że dotychczasowy szef szwajcarskiej grupy zostaje odwołany do Moskwy, a jutro mają razem wyjechać do Berna, celem poznania „Alberta" z Otto Pünterem. Człowiek ten, o pseudonimie „Pakbo" miał być odtąd najbliższym współpracownikiem Sándora Rado. Według opinii „Koli" był to doświadczony, wielokrotnie sprawdzony wywiadowca, mający ze względu na swoje zawodowe kontakty szerokie możliwości działania. Otto Pünter był bowiem dziennikarzem i podobnie, jak Rado w Paryżu, tak on w Bernie, był dyrektorem i właścicielem agencji informacyjnej. Dzięki charakterowi swej pracy miał więc dość ścisłe powiązania w kręgach dyplomatycznych i dziennikarskich, a także w szwajcarskich organach rządowych, w których był znany ze swoich antyfaszystowskich wystąpień, zwłaszcza w obronie republiki hiszpańskiej. Był socjaldemokratą o lewicowej orientacji i przy różnych okazjach niejednokrotnie dawał wyraz swojej sympatii wobec ZSRR. Jego nieco dziwny pseudonim „Pakbo" był kombinacją liter, od których zaczynały się nazwy szwajcarskich miejscowości, gdzie uzyskiwał najważniejsze informacje płynące z zagranicy (Pontresina, Arth, Kreuzlingen, Berno, Orselina).

„Kola" przekazał również „Albertowi" informacje dotyczące swych kontaktów z Pünterem. Zazwyczaj spotykali się dwa razy w tygodniu. Pünter nie znał jego miejsca zamieszkania i „Kola" każdorazowo sam wyznaczał termin oraz miejsce spotkania, zwykle w jakiejś małej, górskiej miejscowości. Polecił więc „Albertowi", aby na razie nie ujawniał ani swego nazwiska, ani miejsca pobytu, jak i działalności w „Geopressie". Należało bowiem liczyć się z możliwością, iż z racji swej pozycji i przekonań może być śledzony przez organa szwajcarskiej służby bezpieczeństwa. Mimo to „Kola" był zdania, iż „Pakbo" jest człowiekiem całkowicie godnym zaufania. Jego głównym zadaniem było zbieranie informacji na temat Niemiec i Włoch. Jednym zaś z głównych jej źródeł w tej mierze, był Jugosłowianin „Gabel", oraz kręgi dyplomatyczne i dziennikarskie. Prócz tego miał również swoich ludzi we Włoszech.

Omówiwszy jeszcze pozostałe sprawy związane z dalszą działalnością radzieckiej siatki wywiadowczej w Szwajcarii, „Kola" opuścił mieszkanie „Alberta" i wieczornym pociągiem wyjechał do Berna. Następnego dnia jego śladem podążył Rado.

Spotkanie z Pünterem odbyło się wieczorem w jednej z niewielkich restauracji w centrum szwajcarskiej stolicy. O tej porze ludzi było niewiele, bowiem w Bernie, tak jak i w całej „niemieckiej" części Szwajcarii życie zamierało około 23, a zgodnie z zasadami konspiracji, im mniej ocnu — tym lepiej.

Dziesięć minut po 19 „Albert" przyszedł na umówione miejsce. „Kola" już tam był. Siedział przy stoliku w samym kącie sali w towarzystwie człowieka, z którym „Albert" miał odtąd współpracować. Pünter spodobał mu się od pierwszej chwili. Wesoły, inteligentny, miał w sobie temperament obrotnego dziennikarza. Robił wrażenie człowieka dysponującego szerokim światopoglądem. Rozmowa toczyła się głównie na temat dotychczasowej działalności „Pakbo". „Kola" prawie w niej nie uczestniczył, wtrącając tylko z rzadka jakieś zdania. Wreszcie zwrócił się do Püntera z poleceniem, aby od tej chwili w pełni podporządkował się dyrektywom „Alberta". Wszystkie zadania, jakie będzie teraz otrzymywał — to zadania Centrali. Wkrótce „Kola" pożegnał się z nimi, po czym opuścił restaurację. Niedługo po nim wyszedł również Rado, umówiwszy się przedtem z „Pakbo" na następne spotkanie i ostatnim nocnym pociągiem powrócił do Genewy.

Umówionego dnia Rado i Pünter spotkali się na małej prawie bezludnej stacyjce Schebr. Czerwcowy upał dawał się we znaki. Szli więc powoli drogą wiodącą pośród winnic, cały czas rozmawiając. „Albert" nie ukrywał, że niepokoi go fakt, iż lewicowe przekonania Püntera są powszechnie znane, co poważnie może utrudnić zdobywanie przezeń informacji interesujących Centralę. Zalecał większą ostrożność w wyrażaniu poglądów i kontaktów z ludźmi. W odpowiedzi „Pakbo" obiecał być bardziej czujnym, sugerował jednak, że obawy są płonne, bowiem w warunkach szwajcarskich, jako dziennikarz ma prawo zbierać i przekazywać informacje komu zechce, nie budząc tym niczyich podejrzeń. Następnie ich rozmowa potoczyła się na temat osoby „Gabela".

Był to Jugosłowianin, swego czasu lotnik, a obecnie konsul reprezentujący w małym, przygranicznym porcie Susak — interesy republikańskiego rządu Hiszpanii. Jego bliski znajomy był z kolei oficjalnym przedstawicielem Jugosławii przy generale Franco. Właśnie dzięki niemu „Gabel" otrzymywał niezwykle cenne informacje dotyczące Niemiec i Włoch. Był to człowiek szczerze oddany sprawie, jednakże jego światopogląd był nieco prymitywny. Kierował się raczej uczuciami niż rozumem, czy zdrowym rozsądkiem. Impulsywny, ulegał szybkiej zmianie nastrojów. „Pakbo" kontaktował się z nim zazwyczaj w ostatnich dniach każdego miesiąca w jednej z małych wiosek szwajcarskich, tuż przy włoskiej granicy. Informacje były jednak dostarczane z dość dużym opóźnieniem. Zanim przekazano je do Centrali, niejednokrotnie dezaktualizowały się, zwłaszcza w przypadku meldunków odnośnie przerzutów wojsk włoskich na teren Hiszpanii.

Z pozostałymi informatorami „Pakbo" sprawa przedstawiała się znacznie prościej. Wszyscy oni mieszkali w Szwajcarii i byli praktycznie osiągalni w dowolnym czasie. Spośród nich najcenniejsze informacje przekazywał pewien emigrant z Niemiec, który przyjął szwajcarskie obywatelstwo. Był to socjaldemokrata, do 1935 roku — członek komisji Ligi Narodów do spraw administracji okręgu Saary. Posiadał więc liczne kontakty z wysoko postawionymi osobistościami Niemiec, dzięki którym uzyskiwał niezwykle cenne informacje z tzw. pierwszej ręki o politycznych zamierzeniach rządu Hitlera. Występował pod pseudonimem „Poisson".

„Albert" uzgodnił jeszcze z „Pakbo" termin następnego spotkania po czym wsiadł do pociągu odjeżdżającego do Genewy.

Sándor Rado w swych wspomnieniach podkreśla z naciskiem fakt, iż nigdy nie był szkolony na kursach wywiadowczych. Zaprzecza twierdzeniu francuskich autorów: Pierre Accoce'a i Pierre Queta („La guerre a été gagnée en Suisse") jakoby ukończył „podmoskiewską szkołę wywiadu". Brak zawodowego doświadczenia dawał mu się, zwłaszcza w okresie początkowej działalności, dość mocno we znaki. Musiał teraz pracować samodzielnie, a kierował przecież pewną grupą ludzi. Jak sam pisze, uczył się w trakcie działania i niejednokrotnie stawał w obliczu licznych problemów wymagających natychmiastowej i precyzyjnej decyzji. Dużą pomoc przy ich rozstrzyganiu otrzymywał z Centrali. Konkretne wskazówki, rady i zalecenia „Dyrektora" (kryptonim jednego z oddziałów moskiewskiej centrali GRU — Gławnowo Razwiedywatielnowo Uprawlenija — IV Oddziału Sztabu Generalnego Armii Czerwonej, którego naczelnikiem był generał — pułkownik J. T. Pieresypkin) były w owych dniach dla „Alberta", niezwykle cennymi, gdyż działać musiał rozważnie. Sytuacja polityczna w Europie była już bowiem w tym czasie bardzo napięta. Układ monachijski oddał w ręce Niemiec Czechosłowację. Wybuch wojny był już nieunikniony, choć nikt jeszcze nie wiedział, kiedy dokładnie nastąpi.

W grudniu 1938 roku Rado otrzymał kolejne instrukcje z Centrali.

„Drogi Albercie"! — pisał „Dyrektor" w liście przekazanym mi przez kuriera w Paryżu. — W związku z ogólną sytuacją, którą doskonale znacie, stawiam przed wami zadanie jak najenergiczniejszego rozkręcania naszej działalności, z maksymalnym wykorzystaniem wszystkich znajdujących się w waszej dyspozycji możliwości. Przede wszystkim musicie zaktywizować swoją współpracę z „Pakbo" w celu zdobycia cennych informacji odnośnie przygotowań do wojny oraz celem pozyskania dla nas interesujących ludzi. Skoncentrujcie uwagę „Pakbo" przede wszystkim na Niemczech, Austrii i Włoszech...

Realizując dyrektywy Centrali Rado uzgodnił z „Pakbo", iż w chwili obecnej nie wystarczy już korzystać tylko z istniejących źródeł informacji, trzeba natomiast szukać nowych kontaktów.

W 1939 roku stosunkowo niewielka jeszcze grupa osób stale dostarczała Rado i Pünterowi kompleksowej informacji w interesujących ich sprawach. Poza tym uzupełniały ją relacje różnych ludzi uzyskiwane sporadycznie. Najcenniejszych wiadomości w tym okresie dostarczał jednak wspomniany już „Gabel". Informował o zmianach w dyslokacji jednostek lądowych i lotniczych armii włoskiej, o sytuacji w przemyśle zbrojeniowym i okrętowym Włoch, o transportach sprzętu wojskowego dla oddziałów Franco. W portach w Trieście, Neapolu i Spezii przyjaciele „Gabela" uważnie obserwowali wszelkie ruchy floty włoskiej i Centrala wiedziała dokładnie, kiedy i jaki okręt, bądź łódź podwodna opuszczały port i obierały kurs ku wybrzeżom Hiszpanii.

Informacje dotyczące niemieckich sił zbrojnych oraz ich przygotowań do wojny zbierał i przesyłał do „Pakbo" — „Poisson". Latem 1939 roku otrzymano od niego wiadomość o tym, iż rząd hitlerowski przygotowuje się do aneksji Gdańska — wówczas jak wiadomo Wolnego Miasta pod administracją Ligi Narodów. Zarówno te jak i inne ważne doniesienia Rado natychmiast przekazywał Centrali znaną drogą przez Paryż. Korzystając z faktu odbywania dość częstych podróży do stolicy Francji „Albert" odnowił posiadane tam liczne znajomości jeszcze z czasów, gdy kierował agencją „Inpress". Wśród jego bliskich znajomych z tamtego okresu było wielu węgierskich emigrantów. Do nich należał m.in. hr. Mihály Károlyi, z którym Rado łączyła duża zażyłość. Károlyi był przed objęciem władzy na Węgrzech przez Horthy'ego premierem Republiki Węgierskiej, zaś po przewrocie wyemigrował wraz z rodziną do Francji. Był niezwykle interesującym człowiekiem z dość postępowymi poglądami. Poza tym posiadał szerokie kontakty z wieloma osobistościami tak na Węgrzech jak i na emigracji, a zatem rozległy dostęp do interesującej Centralę informacji. Poprzez Károlyi'ego, który znał Rado jako antyfaszystowskiego dziennikarza uzyskano wiele cennych wiadomości z kręgów dyplomatycznych. Jednakże łączność „Alberta" z Paryżem miała już niebawem ulec przerwaniu.

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

Fot. Włodzimierz Parys

APOLONIUSZ ZAWILSKI

Apoloniusz Zawilski urodził się 21 X 1912 r. w Kołodeżu koło Łucka na terenie dawnego województwa wołyńskiego. Tam też upłynęła młodość przyszłego pisarza. Ukończywszy z wyróżnieniem gimnazjum, wstąpił do Szkoły Podchorążych Artylerii w Toruniu, a następnie, jako zawodowy oficer, podjął pracę w wojsku. Awansowany na porucznika, dowodził podczas kampanii wrześniowej baterią uczestnicząc w walkach o Pomorze, później w bitwie nad Bzurą. Po jej rozstrzygnięciu wycofywał się wraz ze swoim rozbitym pułkiem w okolice Modlina z zamiarem przebicia się do Warszawy, na której przedpolach został ranny. Internowany przez Niemców w szpitalu uzyskał zwolnienie od pobytu w oflagu i działał w szeregach Armii Krajowej. W latach 1944—1951 służył w Ludowym Wojsku Polskim, był m. in. redaktorem miesięcznika „Bellona". Studiował także na Wydziale Humanistycznym UŁ i na Wydziale Dramaturgicznym PWST w Warszawie. Potem pracował jako kierownik literacki teatru w Kaliszu i Łodzi.

Zadebiutował w roku 1946 na łamach prasy jako publicysta. W rok później ukazała się jego pierwsza książka, dokumentalna powieść „Bateria została", która ma do tej pory pięć wydań. Następnie ogłasza kolejno powieści: „Grzegorza Mała" (1962), „Szklane zbocze" (1963), „Złota szabla" (1967). W ślad za nimi publikuje dwie pozycje monograficzne o charakterze popularno-naukowym: „Bełchatów i jego historyczne awanse" (1967) oraz „Bitwa nad Bzurą" (1968). Materiały zebrane w Bełchatowie spożytkował w powieści historycznej „Opowieść o sprzedanym mieście" (1969). Kolejną pozycją w dorobku Zawilskiego jest pionierska, obszerna, bo licząca dwa pokaźne tomy, monografia pt. „Bitwy polskiego września" (1972). Po tej pracy znów wraca do beletrystyki ogłaszając tom wspomnień z pierwszych lat okupacji pt. „Kamienne zegary" (1973) oraz powieść „Testament" (1975).

Już z tego prostego zestawienia wynika, że twórczość Zawilskiego rozwija się dwoma torami. Z jednej strony jest to beletrystyka o silnym zabarwieniu autobiograficznym, z drugiej zaś dominuje w tej twórczości tematyka okupacyjna, często w ujęciu popularnonaukowym, wykraczającym poza doświadczenie osobiste. (Epizod Bełchatowski jest zaledwie epizodem i dlatego go w tych rozważaniach pominiemy).

Kiedy przed laty, na łamach nie istniejącej już „Osnowy" (Zeszyt: 1970 — zima) omawiałem pisarski dorobek Zawilskiego, dałem memu artykułowi tytuł: „Pamiętnik trudnego dojrzewania". Słowa te wystarczą za wszelką charakterystykę, są wykładnikiem twórczej postawy autora „Kamiennych zegarów". Jego pisarstwo jest bowiem sposobem dochodzenia do prawdy, czemu dał bezpośrednio wyraz w posłowiu do swych wspomnień, gdzie wyjawił genezę „Baterii". Myślę, że warto te słowa przywołać:

„Początkowo autor, przybity do łóżka szpitalnego, znajduje się w położeniu jakby kliszy fotograficznej, na której odbijają się — niemal bez jego współudziału — różne zjawiska towarzyszące klęsce i okresu, który nastąpił po niej. Zbyt silnie przeżył wstrząsające dzieje na polu walki, aby mógł je wyrazić wobec przygodnych zazwyczaj i ograniczonych w swym sądzie rozmówców. Właśnie ta niemożność znalezienia kontaktów z powierzchowną opinią o klęsce zadecydowała o tym, że rozpoczął pisanie dziennika baterii, aby dzień po dniu, godzina po godzinie wykazać jej działania, trudności organizacyjne, nastroje i myśli".

Rzecz charakterystyczna: dziennik spisywany dzień po dniu osiągnął ten stopień uogólnienia, stał się na tyle zapisem niepokojów tej formacji umysłowej, dla której wrzesień był najtragiczniejszym doświadczeniem politycznym, że nie waham się nazwać książki „Bateria została" powieścią dokumentalną. Zresztą sam Zawilski szybko zrozumiał, że klęska wrześniowa jest tylko jednym z ogniw bardziej złożonego łańcucha i dochodząc prawdy, czy choćby tylko ogarniając wrzesień w jego pełnym kształcie, trzeba sięgnąć głębiej, trzeba dokonać osobistego rozrachunku z dwudziestoleciem międzywojennym. Dlatego też w trzech kolejnych powieściach drąży temat kresowy rozwiązując go nie tylko poprzez ukazanie skomplikowanych stosunków narodowościowych i społecznych na wschodnich rubieżach II Rzeczypospolitej, ale także jako problem osobisty. W „Grzegorzy Małej" znajdziemy opis rzeczywistości wołyńskiej widzianej oczami dziecka, które szybko przechodzi kolejne stopnie narodowego i społecznego wtajemniczenia. Nauka, a zwłaszcza język polski, jest na tych kresach nie tyle sposobem poznawania świata, ile szkołą patriotyzmu. W „Szklanym zboczu" ten sam bohater Marcin Sobczyński po raz pierwszy dostaje lekcję wychowania politycznego. Jest już uczniem gimnazjum, ale w metropolii województwa wołyńskiego wciąż przypominają mu, że jest zaledwie nieokrzesanym chłopakiem wiejskim. Instynkt klasowy każe mu więc momentami zapominać o lojalności wobec ojczyzny, która tam, na kresach, wobec przewagi żywiołu ukraińskiego, była czymś zupełnie innym niż naturalne uczucia patriotyczne. A przecież wdrapawszy się w końcu na szklaną górę, będącą symbolem trudności, które wiejski chłopak musi pokonać, aby wyemancypować się z dawnego środowiska, Marcin będzie rozdarty: nie czeka go żadna przyszłość. To chyba dlatego Sobczyński decyduje się zdawać do zawodowej szkoły oficerskiej; jako cywil nie ma po prostu szans, może zostać co najwyżej bezrobotnym maturzystą. O tych rozterkach Sobczyńskiego opowiada kolejna powieść Zawilskiego „Złota szabla". I jej tytuł jest symboliczny. Złotą szablę wręczał Prezydent Rzeczypospolitej najlepszemu absolwentowi uczelni wojskowej.

Marcin dopiął swego: zostaje przyjęty do szkoły artylerii. Dalszy ciąg już znamy: zawiera go biografia Zawilskiego, którą rozpocząłem ten artykuł. Zawierają go także książki: „Bateria została" oraz nawiązująca do niej „Kamienne zegary".

Uporawszy się w ten sposób z własną biografią i dokonawszy obrachunku z II Rzecząpospolitą mógł Zawilski spłacić wreszcie dług tym wszystkim, którzy w jej obronie oddali swe życie na przedpolach Warszawy i w otoczonym Modlinie, na Wybrzeżu i Śląsku. Jeszcze raz odżył temat 8 baterii 15 pułku artylerii armii generała Bortnowskiego. „Bitwa nad Bzurą" przypomniała najważniejsze działanie operacyjne polskiej armii w kampanii wrześniowej, ale w twórczości Zawilskiego była to zaledwie przymiarka do ambitniejszego już tematu. W ten sposób zrodziła się monografia „Bitwy polskiego września", dzieło, (ośmielam się to stwierdzić nie będąc fachowcem), ważkie w naszej literaturze historycznej, ukazujące całokształt polskich i niemieckich działań operacyjnych i taktycznych w wojnie roku 1939, wydobywające z mroku niepamięci nie tylko zasłużonych w walkach dowódców mniejszych jednostek, ale wręcz szeregowców. O benedyktyńskiej pracy Zawilskiego świadczy długi, liczący kilkadziesiąt stron indeks nazwisk i stanowisk, a przecież każde nazwisko to jednocześnie relacja o działaniach bojowych, o decyzjach naczelnego dowództwa, o manewrach oddziałów wojskowych.

Jak była to książka potrzebna, o tym świadczą słowa autora pomieszczone w zakończeniu pracy:

„Wojna obronna Polski 1939 roku była w życiu narodu okresem chlubnym, choć bardzo ciężkim, okresem, który w swoją orbitę od pierwszej zaraz chwili porwał cały naród. Była to w istocie wielka, przeszło miesiąc trwająca bitwa od Bałtyku po Karpaty. Tę wielką bitwę starałem się zamknąć w formie pragmatycznie i chronologicznie powiązanych ze sobą opowiadań, opartych na materiale faktograficznym, znajdującym się w archiwach i instytutach wojskowych tudzież w zbiorach prywatnych. Jednak skąpe słowa rozkazów i meldunków, relacji i wspomnień nie mogą oddać całego bogactwa i złożoności wydarzeń bitewnych, choćby je brał na warsztat uczestnik kampanii. Dlatego też sięgnąłem do pamięci i doświadczeń wielu żyjących jeszcze świadków tego epokowego okresu, dowódców i żołnierzy oraz osób cywilnych. Dzięki temu wokół „Bitew polskiego września 1939 roku" zebrał się szeroki krąg osób, niejako Komitet Redakcyjny opracowania".

Ale książka ta była potrzebna nie tylko żyjącym uczestnikom kampanii wrześniowej. Była ona potrzebna także autorowi jako suma doświadczenia, które przekraczając, można dopiero posuwać się dalej w robocie pisarskiej. To nie przypadek, że dopiero teraz ukazała się pierwsza powieść współczesna Zawilskiego „Testament", o której wkrótce napiszę obszerniej. Powieść ta, wydaje mi się otwiera nowy etap w twórczości pisarza. Wszystko wskazuje na to, że nie będzie on mniej owocny niż ten, który przyniósł nam monumentalne „Bitwy polskiego września".

KONRAD FREJDLICH

FILMOWA ŁÓDŹ – CO TO ZNACZY?

„Kultura powinna uczestniczyć w procesie rozwoju naszego kraju dziełami na miarę wysiłku i dokonań ludzi pracy, stanowiącymi artystyczne świadectwo tych cennych wartości, które Polska Ludowa wniosła i wnosi do dziejów naszego narodu i całej ludzkości". („Wytyczne KC na VII Zjazd PZPR").

Jakie możliwości posiada filmowa Łódź, jakim dysponuje potencjałem twórczym, aby mogła spełnić to zadanie? O odpowiedź na to pytanie poprosiliśmy uczestników redakcyjnej dyskusji. Udział w niej wzięli: **HENRYK KLUBA** – reżyser, dr **MACIEJ ŁUKOWSKI** – naczelny redaktor Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi, **ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK** – zastępca naczelnego redaktora Ośrodka Telewizji Polskiej w Łodzi, dr **EWA NURCZYŃSKA** – krytyk filmowy, stały recenzent „Odgłosów", pracownik naukowy Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu w Uniwersytecie Łódzkim.

E. NURCZYŃSKA: — Proponuję na początek wyjaśnić sobie, co rozumiemy pod hasłem: „filmowa Łódź". Jest to skrót bardziej propagandowy niż myślowy. Nie spotkałam się z pojęciem „filmowy Wrocław" czy „filmowa Warszawa", a przecież środowiska filmowe tych miast wiele mają do powiedzenia w polskiej kinematografii. Ale czy ten skrót wziął się tylko z faktu, że Łódź dysponuje największą w kraju bazą produkcyjną dla filmu, czy też z wielu cennych inicjatyw, jakie tu się narodziły, czy wreszcie z integracji, albo próby integracji obu tych czynników?

A. NIEŚMIAŁEK: — Kiedy słyszę hasło: „Łódź filmowa", to kojarzy mi się ono z innym określeniem: „Łódź fabryczna". Nie mam tu na myśli Dworca Łódź — Fabryczna, ale pewien skrót, który za podstawę przyjmuje przemysłowy charakter miasta. Wydaje mi się, że przy narodzinach pojęcia, o którym mówimy, za podstawę wzięto też przemysł filmowy, a ściślej to, co jest tego przemysłu zalążkiem. A przecież to wcale nie jest tak.

E. NURCZYŃSKA: — Oczywiście, że nie. Wydaje mi się, że jeśli już musimy używać tego skrótu, to na jego treść powinny składać się również inicjatywy kulturalne środowisk twórczych i naukowych. Niektóre z ogólnopolskich inicjatyw tu się właśnie zrodziły i stąd poszły w kraj. Na przykład weźmy tylko silny i prężny ośrodek kultury filmowej, jaki powstał i działa przy Łódzkim Domu Kultury, i który stał się wzorem dla podobnych przedsięwzięć w kraju. Wprawdzie teraz dyskusyjne kluby filmowe i kina studyjne przeżywają pewien kryzys, ale kino studyjne przy ŁDK można zaliczyć do najlepiej działających w kraju. W ŁDK zorganizowano wiele imprez otwartych, wspomnę tylko sesję naukową poświęconą sztuce operatorskiej. Takiej sesji w ciągu 30 lat Polski Ludowej nie zorganizowała żadna placówka naukowa ani żadne stowarzyszenie filmowców.

M. ŁUKOWSKI: — A idea małych akademii filmowych, która tu się zrodziła i stąd też poszła w kraj. Albo dorobek środowiska naukowego, a szczególnie Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu, gdzie kształci się nauczycieli przygotowanych do realizacji programu nauczania wiedzy filmowej w szkole, prowadzi się badania naukowe i przygotowuje podręczniki szkolne z tej dziedziny wiedzy. Albo pierwsza w Polsce sekcja filmu szkolnego, która powstała przy Polskim Stowarzyszeniu Filmu Naukowego.

E. NURCZYŃSKA: — Jeśli zatem film kojarzy się z Łodzią to nie tylko dlatego, że jest tu główna baza produkcyjna filmu, ale i dlatego, że jest tu uniwersytecki ośrodek naukowy wiedzy o filmie, że jest szkoła filmowa oraz wiele środowisk, które są z filmem związane bądź się filmem zajmują.

H. KLUBA: — Obawiam się jednak, że to wszystko jest filmową Łodzią etatową, instytucjonalną. Dla mnie na przykład bardziej filmowym miastem jest Kraków czy Poznań, gdzie jest inspiracja różnych środowisk, nie tylko twórczych, decydująca o tym, że film stanowi integralną część kulturalnego pejzażu.

M. ŁUKOWSKI: — Myślę, że miasto nie potrafi do końca wykorzystać faktu, że istnieje tu wielki potencjał filmowy. Świadomość istnienia i działania instytucji z filmem związanych jakby nas uspokaja. I tu zgodziłbym się, że skoro już używamy określenia „filmowa Łódź", to powinna zawierać się w nim treść płynąca ze wzajemnych związków wszystkiego, co z filmem się wiąże, na co film oddziałuje i co na film wpływa. A tak przecież do końca nie jest.

Łódzka Wytwórnia Filmów Oświatowych ma na przykład znakomite doświadczenia we współpracy z... Poznaniem, gdzie nie tylko tamtejszy CRF doskonale pracuje z filmem krótkiego metrażu, ale skąd wpłynęło do WFO wiele propozycji tematycznych, wiele inspiracji.

H. KLUBA: — Nie ulega dla mnie wątpliwości, że tak jak w wielu dziedzinach życia nastąpiła intensyfikacja, tak musi też ona nastąpić w życiu kulturalnym. A Łódź pod tym względem posiada szczególne warunki. Składa się na to wszystko, o czym do tej pory mówiliśmy, próbując podać wyznaczniki „filmowej Łodzi". W końcu to, że są tu wytwórnie filmowe, szkoła filmowa, kluby filmowe i ośrodek naukowy powinno doprowadzić do tego, że wzajemne powiązania miasta i instytucji filmowych będą stawały się coraz silniejsze i że sztuka filmowa będzie wywierała większy wpływ na życie kulturalne miasta, że film będzie docierał do coraz to nowych środowisk, przygotowując je do odbioru tego wszystkiego, co składa się na sztukę filmową, a do odbioru czego środowiska te nie są przecież w pełni przygotowane.

E. NURCZYŃSKA: — Obawiam się, czy nie popadamy trochę w przesadę i nie prezentujemy niepełnego obrazu. W moim przekonaniu w Łodzi robi się wiele dla filmu, Łódź jest filmem napiętnowana i to wywiera wpływ na kulturalny charakter miasta, ale powiedziałabym, że jeszcze niedostateczny. Działające tu instytucje i środowiska mało wiedzą o sobie, czasem dublują się, nie szukają kontaktów. Przecież dopiero teraz doszło do podpisania umowy o współpracy między Uniwersytetem Łódzkim, gdzie jak wiadomo istnieje ośrodek wiedzy o filmie, a szkołą filmową. I myślę, że sporo znaleźlibyśmy takich przykładów, ilustrujących rozproszenie wysiłków, albo zbyt późne wzajemne się dostrzeganie.

A. NIEŚMIAŁEK: — Sądzę, że oba przeglądy filmów, jakie się już w Łodzi od kilku lat odbywają, a myślę tu o przeglądzie filmów społeczno-politycznych i filmów dydaktycznych, są też próbą stworzenia płaszczyzny współpracy, wyjścia z łódzkimi problemami filmowymi poza dotychczasowe granice, są próbą znalezienia się Łodzi na kulturalnej mapie kraju.

Albo „Kwartalnik Filmowy — Łódź", zapis łódzkich wydarzeń na kolorowej taśmie filmowej, ukazujący się już od dwu kwartałów na ekranach kin. Czyż nie jest to próbą powiązania różnych środowisk z filmem, próbą włączenia tej sztuki w życie miasta?

M. ŁUKOWSKI: — Nie można tu nie wspomnieć o powołaniu Zespołu Filmowego „Profil". Zespół ten powstał między innymi po to, aby stworzyć płaszczyznę współdziałania dla różnych środowisk twórczych, aby pojęcie „filmowa Łódź" nie kojarzyło się tylko z istniejącą tu bazą usługową dla pozałódzkich środowisk.

Temu samemu służą też coraz ściślejsze powiązania łódzkich wytwórni z łódzką szkołą filmową, a szkoły filmowej z miastem.

H. KLUBA: — Nie tylko z miastem. Studenci szkoły filmowej z wielkim zapałem gromadzą materiał na temat historii i teraźniejszości Bełchatowa.

E. NURCZYŃSKA: — Nie chciałabym być źle zrozumiana, ale obawiam się, czy te cenne przecież inicjatywy nie wpłyną znów trochę uspokajająco. Mamy „Profil", będziemy więc mieli „łódzki film". Mamy własną „kronikę filmową", pokażemy miasto...

A. NIEŚMIAŁEK: — A ja obawiam się, że dotknęliśmy kolejnego nieporozumienia. Odwołam się tu do praktyki telewizyjnej. Otrzymaliśmy sporo listów i telefonów z pytaniem, dlaczego z telewizyjnego ekranu zniknęła plansza „Telewizja Łódź". Zniknęła ona między innymi dlatego, że kierownictwo telewizji doszło do wniosku, iż najlepszą wizytówką Ośrodka Telewizji Polskiej w Łodzi będą dobre programy przygotowane przez tutejszy zespół i że to więcej powie o Łodzi niż „łódzka" plansza i najbardziej wyczerpująca zapowiedź spikera.

O ile wiem „Profil" przygotowuje trzy filmy i nie są to wcale filmy „łódzkie". Używanie tego przymiotnika budzi nieporozumienia. W moim przekonaniu „Profil" powinien robić filmy dobre i to będzie najlepszą „reklamą" Łodzi.

E. NURCZYŃSKA: — Najlepszy do tej pory film o Łodzi zrobił Andrzej Wajda. Myślę o „Ziemi obiecanej". A najlepszy jest dlatego, że na przykładzie Łodzi pokazuje sprawy uniwersalne.

M. ŁUKOWSKI: — „Profil" załatwił jedną sprawę, stworzył możliwość pełniejszego związania bazy, jaka w Łodzi istnieje ze środowiskami twórczymi, wypełnił dotychczas istniejącą lukę. Pozwala też na penetrację środowisk twórczych, umożliwia szerokie korzystanie z kadry, jaką przygotowuje szkoła filmowa.

A. NIEŚMIAŁEK: — Znakomitą „reklamą" Łodzi są przecież sukcesy, jakie ostatnio odnosi Wytwórnia Filmów Oświatowych, chociaż akcja tych filmów nie dotyczy Łodzi, nie posługuje się łódzkim rekwizytem czy pejzażem.

H. KLUBA: — Czy my trochę nie upraszczamy sprawy, która wcale nie jest prosta? Chodzi mi o ten obszar problemów, zagadnień i spraw, które składają się na łódzką specyfikę. Nie każde miejsce w Polsce posiada tak gęsty życiorys, tak wypełniony dramatycznymi sprawami, które rozgrywały się w tak krótkim czasie. Sukces „Ziemi obiecanej" nie jest przecież przypadkowy. Film ten jest artystycznym komunikatem o sprawie fenomenalnej, niepowtarzalnej w historii naszego kraju. Dzieje Łodzi są istotnym szczegółem w dziejach Polski, są istotnym szczegółem w dziejach obyczajowości polskiej. Wystarczy w archiwach poczytać listy z końca XIX i początku XX wieku, aby się o tym przekonać, aby trafić na ogromny zasób materiału czekającego na odkrycie, materiału niezwykle dramatycznego, tragicznego wręcz. I jestem absolutnie przekonany, że ten materiał znajdzie swego odkrywcę, że to musi się stać nieuchronnie.

Jeśli więc słyszę wołanie o łódzki film, o łódzki temat, to rozumiem, że chodzi tu o podjęcie tych właśnie spraw.

A. NIEŚMIAŁEK: — Tylko, że jedno nie przeczy drugiemu. Ośrodek Telewizji Polskiej w Łodzi zaprosił Grzegorza Królikiewicza do realizacji spektaklu, którego scenariusz Grzegorz Królikiewicz napisał wspólnie z Andrzejem Lipińskim. Jest to rzecz o lokalucie łódzkim, pokazująca ten epizod z historii Polski, znany powszechnie z podręczników. Nie wątpię, że będzie to łódzkie widowisko, pokazujące dramatyczne dzieje miasta. I takie widowiska, takie filmy są potrzebne i mam nadzieję, że będą powstawały, ale powinny one być wynikiem artystycznych przetworzeń, poszukiwań i przemyśleń, a nie administracyjnych zabiegów.

M. ŁUKOWSKI: — Różne są czynniki, które hamują wrastanie filmu w miasto, ale podejmuje się też działania, które mają znaczny ładunek twórczy. Posługując się przykładem WFO, warto podkreślić integrację, jaka następuje pomiędzy wytwórniami filmowymi. Film krótkometrażowy jest znakomitą okazją dla debiutu, ale twórca filmowy nie powinien zatrzymywać się na krótkim metrażu. I tak się dzieje. Naturalną więc jest rzeczą, że WFO czy telewizja szukają kontaktu ze szkołą filmową, dając możliwość tworzenia młodym filmowcom.

Z drugiej jednak strony trzeba myśleć o możliwościach debiutu w filmie fabularnym. A więc musi być kontakt, współpraca, wymiana z WFF. I staramy się tworzyć taką możliwość, rozumiejąc, że również dla twórców filmu fabularnego znakomitą odskocznią może być i powinien film krótki, gdzie trzeba operować skrótem, metaforą, posługiwać się innym tworzywem.

H. KLUBA: — Mówimy ciągle o jednej stronie zagadnienia, o pracy środowisk twórczych, a zapominamy o drugiej — o współdziałaniu, wzajemnym przenikaniu wyników tej działalności z odczuciami, postulatami i przeżyciami odbiorców. Ciągle nie mogę pozbyć się wrażenia, że to wszystko, co dzieje się w Łodzi jest nie skoordynowane, rozproszone, wzajemnie mało powiązane.

E. NURCZYYSKA: — Od lat mówi się o tym, że Łodzi byłby potrzebny jakiś element scalający to wszystko, co tu dzieje się w filmie, a który by też promieniował wiedzą filmową na całe miasto. Postulowano utworzenie ośrodka kultury filmowej i wydawałoby się, że taki instytut czy centrum już powstanie.

Tymczasem teraz tworzy się Muzeum Miasta Łodzi, w którym będzie tylko niewielki dział poświęcony filmowi. Sprawia to na mnie wrażenie, że film znów zszedł na margines. A przecież w kulturze Łodzi film powinien zajmować znacznie więcej miejsca.

H. KLUBA: — A czy takiej roli nie powinna spełniać szkoła filmowa? Po co tworzyć nowe instytucje, skoro można lepiej wykorzystać już istniejące?

Potrzeba koordynatora jest odczuciem powszechnym, ale nie tylko po to, aby głośniej było o tym, co robią poszczególne instytucje. Wydaje mi się, że taki koordynator mógłby też zająć się sprawą mecenatu przemysłu nad filmem. Studenci szkoły filmowej gromadzą materiał o Bełchatowie, opracowują scenariusze, chcieliby robić filmy. Nie ma na to środków. W Jugosławii na przykład wielkie przedsiębiorstwa finansują filmy. Dlaczego u nas nie można wprowadzić takiej współpracy?

A. NIEŚMIAŁEK: — To niewątpliwie interesujący postulat, chciałbym jednak powrócić do sprawy propagandy filmu. Telewizja stwarza pewne możliwości popularyzacji filmu krótkiego i to zarówno na antenie lokalnej, jak i ogólnopolskiej. Nie wiem jednak, czy nie byłoby słusznie postulować pod adresem „Odgłosów", aby wzięły na siebie rolę swoistego koordynatora i inspiratora. Tradycje są. Na łamach tego pisma ukazywały się całe kolumny poświęcone sprawom filmu, a później telewizji.

E. NURCZYŃSKA: — Nie rezygnujemy z tej problematyki, chociaż niewątpliwie można i trzeba poświęcać jej więcej miejsca. I to może bardziej systematycznie.

Ale chciałabym tu wrócić do dwu innych spraw. Po pierwsze — sądzę, że wart rozważania byłby postulat pod adresem Wydawnictwa Łódzkiego, ale rozpatrzyło możliwość specjalizowania się w książkach o filmie. Po drugie — uważam, że warto byłoby pilnie rozważyć potrzebę utworzenia muzeum sztuki filmowej. Kącik w Muzeum Techniki w Warszawie i kącik w mającym powstać Muzeum Miasta Łodzi sprawy nie rozwiązują.

Wydaje mi się, że coraz szerzej do świadomości łodzian powinna docierać ta prawda, że kultura w Łodzi charakteryzuje się nie tylko silną działalnością środowiska plastycznego, teatralnego czy ruchu amatorskiego, ale też tym wszystkim, co dzieje się w filmie. W tym zawiera się też szansa wyjścia kultury tu tworzonej na krajowe forum. A można to osiągnąć przez scementowanie rozproszonych ciągle jeszcze poczynań, przez pełniejszą ich popularyzację, przez lepsze wykorzystanie zarówno bazy technicznej, jak i potencjału twórczego, jakim miasto dysponuje.

Fot. Włodzimierz Parys

Opracowała
BOGDA MADEJ

ZA I PRZECIW ADAPTACJOM

Jeśli szaleństwo to trwać będzie nadal, to niewiele już czasu minie, jak w kinematografii polskiej pojawi się nowe zjawisko — kolejne wersje dokonanych już adaptacji klasyki literackiej. Lista nie wyeksploatowanych jeszcze lektur szkolnych zaczyna się bowiem gwałtownie kurczyć i w najbliższych latach scenarzyści i reżyserzy staną w obliczu katastrofy — nie będzie co adaptować. Wówczas ratunkiem stanie się „remake", nadzieja zaś świeżości nowej adaptacji, czy ja wiem może dalszy rozwój techniki filmowej, obumieranie dzisiejszych konwencji stylistycznych i samej gry aktorskiej, nowe odczytania i interpretacje klasycznych tekstów. W końcu przecież, filmowe „Dzieje grzechu" z 1975 roku, to nie to samo, co „Dzieje grzechu" z roku 1911, czy 1933. No, tak, ale po to, by ta „inność" była oczywista, czekać tu trzeba kilkadziesiąt lat, a co w międzyczasie?

Niepokój ten, wyolbrzymiony nieco, to oczywiste, musi się jednak rodzić, gdy śledzi się poczynania polskich twórców filmowych. Kino nie może przecież żyć samą literaturą, grozi mu to klęską. Podstawowym żywiołem i siłą sztuki filmowej jest temat współczesny. Zwrot ku literaturze miał w dziejach kina swe różne etapy. Kiedyś, u ich zarania, film podpierał literaturą swą rację bytu i swój artystyczny autorytet. Rychło okazało się, że jest to zbędne. W literaturze szukano jednak zawsze pomysłów i fabuł. Najwięksi w dziejach kina, sięgając po tekst literacki, szukali w nim jednak nie tylko ciekawej „story". Adaptując, potwierdzali wielkość literatury i wielkość filmu. Dzieje sztuki filmowej w ogóle i dzieje polskiego filmu dowodzą, że prawo do wielkiej literatury mają jedynie wybitni artyści sztuki kina. Polskim dowodem jest przede wszystkim twórczość Andrzeja Wajdy.

Jego odczytania literackich tekstów i jego artystyczne filmowe propozycje za każdym razem przekonują, że o pasożytnictwie czy wtórności kina wobec literatury nie może być mowy. Wajda adaptując literaturę, dowodzi oryginalności i autonomiczności sztuki filmowej, dowodzi jednocześnie jedności i ciągłości kultury, ujawnia rolę tradycji. Jego filmy są przykładem współczesnych odczytań klasycznych dziś już tekstów, pomagają w ich lekturze, ujawniają inność sztuki literackiej i sztuki filmowej. Twórczość Andrzeja Wajdy, choć najciekawsza, nie jest zresztą jedynym dowodem tych możliwości.

W ostatnich latach zalewa nas fala adaptacji polskiej klasyki literackiej, wspomnijmy tylko te najciekawsze z ostatniego roku. A więc: „Potop" Jerzego Hoffmana, „Dzieje grzechu" Waleriana Borowczyka i „Noce i dnie" Jerzego Antczaka. Jaka jest kulturowa rola tych filmów?

Piękny filmowy „Potop", wykorzystując czytelnicza popularność literackiego pierwowzoru, nie zaprzepaścił jego walorów. Ilustrując go, wydobywał uroki utajone i konkretyzował to, co poddane zostało przez pisarza wyobraźni czytelnika. Jerzy Hoffman wyobraźnię tę na czas trwania kinowego spektaklu — zniewolił, nie odebrał jednak panu Sienkiewiczowi jego czytelników. Przysłużył się jedynie utrwaleniu narodowej mitologii, co ma swe złe i dobre strony. Pozytywy i negatywy tego zjawiska są dziś pospołu zasługą i literatury, i filmu. „Potop" Hoffmana jest tego przykładem.

Adaptacja „Dziejów grzechu", dokonana przez Waleriana Borowczyka, przez jednych widzów odebrana została na pewno jako propozycja opowieści, za którą tysiące, tak bardzo dziś przecież wyedukowanych czytelników, nadal przepada — opowieści melodramatycznej, takiej, jakiej dostarczył swemu pokoleniu autor oryginału. Dziesiątki lat od wydania książki Żeromskiego minęły, nie minęły jednak określone gusty czytelników, a dziś także widzów kinowych. Dla innej grupy odbiorców filmowe „Dzieje grzechu" były propozycją gry intelektualnej i estetycznej. Dla tych widzów film Borowczyka był przykładem autoświadomości sztuki filmowej i rewizji mitów literackich.

I wreszcie „Noce i dnie" Jerzego Antczaka. Film, który stał się pełnoprawnym partnerem pierwowzoru. Partnerstwo to wyraziło się w równej oryginałowi nośności filozoficznej i artystycznej. Nie na tym jednakże wartość dokonania Jerzego Antczaka się kończy. Film ten potwierdził wielkość dzieła literackiego, wydobywając jego uniwersalność. W sporze o Marię Dąbrowską wypowiedział zdanie bardzo ważkie, istotne w recepcji i ocenie jej twórczości. Film Jerzego Antczaka spełnił pewną społeczną i kulturową funkcję, której sztuce filmowej poniektórzy nigdy by nie chcieli przypisać.

Przypomniane tu przykłady prowadzą nas w kierunku pochwały adaptacji. Skąd więc ten lament u początku mych rozważań? Stąd, oczywiście, że podziwiając wartość intelektualną i kunszt artystyczny wspomnianych dzieł, szanując ich autorów, czekamy na ich powrót do tematu współczesnego. Jeśli najlepsi pozostaną na zawsze w kręgu literatury, dodajmy — literatury klasycznej, kto w kraju naszym poza Krzysztofem Zanussim i jeszcze kilku młodymi twórcami temat ten uprawiać będzie? Kto będzie tworzył wybitne filmy o tematyce współczesnej? Lament ten ma jednakże jeszcze jedną swą przyczynę — konstatację, że sukcesy swych utalentowanych kolegów próbują dyskontować ci, których w rejony literatury wpuszczać się nie powinno. Kompromitują sztukę filmową i sztukę literacką, szkodzą jednej i drugiej. Dowodem — filmowi „Ludzie bezdomni", czyli „Doktor Judym". O filmie tym — za tydzień.

EWA NURCZYŃSKA

ZAGADKA BERMUDÓW (III)

BOHDAN FELT

Legenda o **„zaginionym kontynencie — Atlantydzie"**, jest dziś tak samo żywa, jak przed wiekami. **Charles Berlitz** twierdzi, iż pozostałości zatopionego przed tysiącami lat lądu znajdują się m. in. w zachodniej części **„Trójkąta Bermudów"**. Właśnie one mają być jakoby przyczyną tajemniczych katastrof statków i samolotów, powodowanych przez zgromadzone tam i okresowo aktywizujące się — potężne źródła energii.

Podwodne lasery...

Powszechnie uważano, co zresztą zostało potwierdzone naukowo, iż większa część powierzchni kuli ziemskiej znajdowała się niegdyś pod wodą, podczas, gdy inne obszary, które dziś pokrywają morza, wówczas stanowiły stały ląd. Już w czasach prehistorycznych znajdowano na to dowody, czego przykładem może być chociażby Pustynia Kamienista, gdzie wówczas, podobnie jak i dziś, na obszarach położonych, z dala od mórz, jak Minnesota czy Himalaje — badacze odkrywają wciąż nowe szkielety wielorybów.

Jak wiadomo, w epoce lodowcowej olbrzymie masy wód oceanicznych zostały zamienione w lodowce, które tworząc warstwy o wielokilometrowej wysokości, pokryły większą część północnej półkuli. Przed około 12 tysiącami lat, kiedy lodowce wskutek zmian klimatycznych, których przyczyny dotychczas w pełni nie zostały wyjaśnione, zaczęły się topić, przybór wód na ziemi był tak gwałtowny, iż zatopione zostały ogromne połacie lądu, a także niektóre wyspy, zaś przesmyki morskie zamieniły się w szerokie drogi wodne.

Poziom mórz od czasu zakończenia się trzeciej epoki lodowcowej, był w porównaniu z obecnym o około 180 metrów niższy. Jest więc możliwe — jak podaje Berlitz — iż wiele lądów, które ongiś znajdowały się nad powierzchnią morza, obecnie spoczywa w głębinach oceanicznych, w których znalazły się, bądź wskutek wybuchów wulkanicznych, bądź — nagłego przyboru wód, jakim mógł być na przykład biblijny potop.

Do obszarów, które tworzyły wówczas stały ląd, a dziś są pokryte wodą, zalicza się **Morze Śródziemne**, zwłaszcza przesmyk między Afryką a Gibraltarem oraz Sycylią i Półwyspem Apenińskim, większa część **Morza Północnego**, akwen między Irlandią i Wielką Brytanią, rejon **Zatoki Biskajskiej**, okolice Azorów, Wysp Kanaryjskich i Madery, rejony środkowego **Atlantyku**, wybrzeża Północnej i Południowej Ameryki, a przede wszystkim płyciny w strefie Wysp Bahama, rozciągające się na tysiącach kilometrów kwadratowych.

Dowodów na to, iż wspomniane obszary znajdowały się przed 10—12 tysiącami lat nad powierzchnią mórz, jest dziś bardzo wiele. Niedawno pewna ekspedycja radziecka, operując na północ od Azorów, wydobyła z głębokości ok. 2000 metrów kawałek skały, który został uformowany pod wpływem ciśnienia atmosferycznego przed 17 tysiącami lat.

Godnymi uwagi dowodami w tym względzie mogą być również pozostałości dawnych kultur epoki przedlodowcowej, a odkryte na dnie oceanu w pobliżu zachodnich wybrzeży Europy, Afryki oraz u południowych wybrzeży Ameryki Północnej. Można wśród nich rozpoznać fragmenty murów, grobli, ulic i budowli prehistorycznych miast, jak to miało miejsca np. u wybrzeży Yucatanu i Hondurasu. Najbardziej zadziwiające odkrycia zostały jednak dokonane na podmorskim płaskowyżu Bahama, a więc rejonie leżącym w obrębie **„Trójkąta Bermudów"**, gdzie, jak wiadomo, miało miejsce wiele tajemniczych katastrof statków i samolotów. Wiele murów. Stylem były podobne do konstrukcji architektonicznych, spotykanych na terenie Peru w epoce poprzedzającej kulturę Inków, bądź budowli, jakie cechowały architekturę starożytnej Grecji. Zawsze jednak, gdy natrafiano na **Atlantyku** bądź gdzie indziej na ślady zatopionych cywilizacji, gazety, czasopisma, jak również książki natychmiast wiązały ten fakt z historią o **„zaginionym kontynencie — Atlantydzie"**. Nieustanne zainteresowanie ludzkości tym kontynentem trwa począwszy od czasów starożytnych, co znalazło odbicie chociażby u Platona, który opisał zagładę Atlantydy w „Dialogach Timajosa i Kritiasa". Platon przedstawiał Atlantydę, jako kraj Złotego Wieku, jako wielki i cudowny obszar na Atlantyku, który wskutek **„nagłego trzęsienia ziemi i przyboru wód (...) w ciągu jednego dnia i nocy deszczu (...) pogrążył się w morze (...) i to właśnie było przyczyną, iż morze w tej okolicy jest niezgłębione i nie do przebycia (...)"**.

Atlantydę w okresie wielu lat i stuleci lokalizowano w najróżniejszych częściach świata: w głębinach Oceanu Atlantyckiego lub Morza Egejskiego, na dnie Morza Kaspijskiego, bądź Północnego, pod pustynią Sahara, Arabią Saudyjską, Yukatanem, Azorami, Wyspami Kanaryjskimi i Maderą, a nawet na dnie Oceanu Indyjskiego — wszystko zależało od narodowości i punktu widzenia pisarza lub badacza, którzy zajmowali się jej historią.

„Ewentualność", iż zachodnia część **„Trójkąta Bermudów"** może być Atlantydą, wyłoniła się w związku ze wspomnianymi już odkryciami z 1968 roku i szeregiem towarzyszących im niezwykłych okoliczności. Nawiązują one do proroctw **Edgara Cayce'a — „śpiącego proroka"** i cudotwórcy, zmarłego w 1945 roku w Virginii, którego „readings" lub przepowiednie (termin, którym określano wywiady, jakich Cayce udzielał, kiedy znajdował się w transie), oddziaływały na wiele tysięcy ludzi.

W swoich „przepowiedniach" na temat Atlantydy **Edgar Cayce** powtarzał wersję o istnieniu nuklearnych źródeł energii, promieniach laserów i maserów w głębinach morskich, które mogą być porównywane z obecnie istniejącymi na Ziemi. Według niego, były one już wówczas stosowane w tym samym celu, co obecnie. **„Kiedy opisywał ich zastosowanie i przedstawiał niebezpieczeństwa związane z ich niewłaściwym użyciem, odpowiadało to całkowicie** — jak podaje Berlitz — **istniejącej rzeczywistości, ale jak Cayce mógł wiedzieć o tym wszystkim już ponad 35 lat temu?""**

Cayce opisuje owe źródła energii niezwykle szczegółowo. Miały być nimi wielkie generatory wytwarzające moce dla napędów, tak powietrznych, jak i podwodnych, a także na oświetlenie, ogrzewanie oraz dla potrzeb techniki przesyłu informacji. Istoty żyjące w tej mitycznej krainie korzystały jakoby z radia, telewizji oraz posługiwały się techniką telefotograficzną. Dysponowano rzekomo możliwościami dokonywania zmian i regeneracji żywej tkanki ludzkiej, jak również mózgu, co pozwalało utrzymywać kontrolę nad całymi klasami społecznymi.

Ponoć jednak przez nieuwagę mieszkańcy Atlantydy naruszyli naturalną równowagę energetyczną, bowiem wskutek wewnętrznych i zewnętrznych niesnasek wśród nich doszło do uwolnienia znacznych ilości nie kontrolowanych mocy naturalnych, które ostatecznie spowodowały unicestwienie życia na **Atlantydzie**. **W taką wersję wierzył nie tylko Cayce, podobnie przedstawiały się, według Berlitza, legendy wielu kultur.**

Zatem w momencie, gdy nastąpiła katastrofa (lub szereg katastrof) owe wielkie źródła energii spowodowały zniszczenie miast, murów, kanałów i innych konstrukcji Atlantydy, zatapiając ją w morzu. **Interesujące, iż opisywane tam miejsca dokładnie pokrywają się z tymi, jakie występują w obrębie „Trójkąta Bermudów", gdzie zachodzą owe anomalie elek-**

tromagnetyczne, jak na przykład w Tongue of Ocean, opodal Wyspy Bimini, itp.

A oto, jak przedstawia się ów „szczegółowy" opis źródeł energii **„za-**

Liczne przypadki tajemniczych katastrof statków i samolotów, jakie wydarzyły się w ciągu minionych 26 lat, w rejonie tzw. „Trójkąta Bermudów", spowodowały, iż zainteresowanie nimi stało się powszechne. Wielu naukowców, dziennikarzy i badaczy amatorów próbowało znaleźć odpowiedź na zagadkę Bermudów. Zainteresowanie to wzrosło jeszcze bardziej, gdy odkryto, iż rejon Wysp Bermudzkich i Morza Sargassowego nie jest jedynym osobliwym akwenem morskim na świecie. Okazało się, że istnieje jeszcze 11 podobnych do niego, może nawet bardziej tajemniczych stref na kuli ziemskiej. We wszystkich występowały okresowo dziwne zjawiska, nie spotykane gdzie indziej, a zarazem trudno wytłumaczalne. Wszelkie próby dociekań, gdzie tkwi ziarno prawdy, prawie zawsze kończyły się niepowodzeniem.

...I INNE HIPOTEZY

Mimo to badacze tych osobliwych zjawisk nie zrażali się i wciąż pojawiały się coraz to nowe, bardziej lub mniej prawdopodobne hipotezy. Jednym z takich badaczy, niestrudzonych w poszukiwaniu klucza do zagadki, jaką kryją w sobie okolice Wysp Bermudzkich, jest Amerykanin, **Charles Berlitz**. W trzech kolejnych odcinkach niniejszego cyklu przedstawiliśmy jego własne poglądy odnośnie osobliwości „Trójkąta", jak i poglądy badaczy, których opinie podzielał. Jego książka **„The Bermuda Triangle"** wydana w bieżącym roku biła w Stanach Zjednoczonych i Europie rekordy popularności. Ale czy dostatecznie wyjaśniła przyczyny zagadkowych katastrof? Zdania na ten temat są bardzo zróżnicowane. Część tzw. „znawców zagadnienia" twierdzi, iż hipotezy wysunięte przez Berlitza trafiają w samo sedno, inni, a tych jak się okazuje jest większość, nadal uważają, iż „Trójkąt Bermudów" jest taką samą zagadką, jaką pozostawał dotychczas. Tak jednym jak i drugim brak jednak przekonywających argumentów na poparcie swych poglądów. Nie sposób polemizować z hipotezami zarówno samego Berlitza, jak i jego oponentów, choćby dlatego, iż prezentowane przez nich wyjaśnienia są wysoce kontrowersyjne, a niekiedy brzmią wręcz naiwnie. Pozostaje jednak faktem, że spora ich część poparta licznymi przykładami budzi zastanowienie i rodzi pytania, na które nie jesteśmy w stanie uzyskać zadowalającej odpowiedzi. Zatem kończąc ów cykl, dotyczący jednej z najbardziej osobliwych zagadek natury, spróbujmy zestawić te spośród hipotez, odnoszących się do niej, które brzmią najbardziej prawdopodobnie.

* * *

W świetle tego, co zostało wyżej powiedziane, należałoby zastanowić się nad tym, czy wszystkie osobliwości **„Trójkąta Bermudów"** wymienione przez Charlesa Berlitza rzeczywiście zasługują na miano zagadek. Czy przypadkiem części z nich nie można wyjaśnić i to nawet stosunkowo prosto?

Powróćmy zatem raz jeszcze do owego tajemniczego zniknięcia pięciu bombowców typu **„Avenger"** oraz samolotu wysłanego na poszukiwanie ich, które to zdarzenie zostało obszernie opisane w pierwszym odcinku niniejszego cyklu. Dziennikarz **Lawrence D. Kusche** w raporcie **„The Bermuda Triangle Mystery — Solved"** całkowicie obala wersję przebiegu wypadków podaną przez Charlesa Berlitza. W relacji Kuschego wszystkie fakty wydają się być przy tym logiczne i zrozumiałe.

Na tragedię **„Flight 19"** złożyło się szereg czynników, spośród których najważniejszym była awaria kompasów w samolocie porucznika Taylora. Opierając się na rezultatach ekspertyzy przeprowadzonej przez dowództwo marynarki wojennej, Kusche twierdzi, iż w żadnym z samolotów nie były wmontowane zegary pokładowe, poza tym nie jest wiadome czy załogi posiadały zegarki ręczne. Z częstych pytań o czas kierowanych przez Taylora do stacji kontrolnej wynika, że nie posiadał zegarka, a przecież nie można łatwiej utracić orientacji jak lecąc nie znając czasu i kierunku lotu.

Poza tym okazało się, że Taylor został odkomenderowany do Fort Lauderdale na krótko przed tragicznym lotem i bez wątpienia nieznajomość okolic Bahama spowodowała podjęcie przezeń błędnych decyzji, które w następstwie spowodowały, że znalazł się nad wyspami w okolicach południowego krańca Półwyspu Floryda. Taylor nie mógł bowiem rozpoznać, czy znajdował się nad Atlantykiem na wschód od Florydy, czy też nad Zatoką Meksykańską, to znaczy na zachód od półwyspu. W rezultacie wielokrotnie zmieniał kierunek, wciąż zawracając pozostałe samoloty, przy tym zaś stale oddalał się coraz bardziej na północ od Wysp Bahama.

Drugim, głównym czynnikiem, który uniemożliwiał ratunek, była odmowa Taylora nastawienia radiostacji pokładowej na kanał: sytuacja krytyczna, wskutek czego nie było możliwe utrzymanie łączności między jego samolotem a stacjami naziemnymi. Najwyraźniej obawiał się, iż w momencie, kiedy samoloty przełączą się na inne kanały, nie uda mu się znaleźć nowej częstotliwości, na której mógłby z nimi utrzymywać łączność. Przy zmianie częstotliwości nadawania na 3.000 kHz dysponowałby kanałem bez zakłóceń ze strony innych samolotów i posiadałby łączność z radiostacjami na Kubie. Równocześnie bliżej położone stacje naziemne mogłyby dzięki temu nawiązać kontakt z lotnikami, bowiem wszystkie radiostacje posiadają kanał alarmowy (Emergency). Wykorzystanie tego kanału umożliwiłoby zarazem pracę stacjom pelengacyjnym, które zlokalizowałyby eskadrę dużo wcześniej.

Trzecim powodem zniknięcia samolotów była pogoda. Choć podczas startu maszyn była ona **„piękna"**, wkrótce uległa zdecydowanemu pogorszeniu. Samoloty, biorące udział w akcji poszukiwania eskadry, meldowały o **„skrajnych zaburzeniach i niepewnych warunkach lotu"**, zaś statek znajdujący się w tym rejonie przekazywał informacje o **„silnych wiatrach i potężnych falach"**. **„Flight 19"** nie był zatem lotem grupy doświadczonych pilotów, których samoloty uległy katastrofie w słoneczne popołudnie, przy spokojnym morzu, lecz lotem zdezorientowanego instruktora i czterech jego uczniów, którzy przy mrocznej, sztormowej pogodzie próbowali przymusowego lądowania na powierzchni wzburzonego morza. Była to więc zupełnie beznadziejna sytuacja.

Rzadkie meldunki, które pilotom przypisuje legenda, nie pojawiły się w raporcie marynarki wojennej, co wynikało z faktu, iż personel wieży kontrolnej nie był niczym szczególnie zdziwiony bądź zaniepokojony. Problem tkwił nie w tym, że lotnicy nie mogli określić, w jakim kierunku lecą, lecz w tym, iż wcześniej nie byli w stanie zdecydować się, który kierunek jest właściwy. Nie wiedząc, z której strony Florydy się znajdują, krążyli tam i z powrotem, wciąż zmieniając kierunek lotu.

Twierdzono zawsze, iż jest nie do pomyślenia, aby w tak ściśle ograniczonym obszarze można było zgubić kurs. Z oficjalnego raportu wynika jednak, że lotnicy błąkali się ponad 4 godziny zanim nie wyczerpało im się paliwo, po czym lądowali przymusowo na Atlantyku, gdzieś na wschód od Stanów Zjednoczonych i na północ od Wysp Bahama.

Katastrofę samolotu **„Martin Mariner"** również otaczał nimb tajemniczości, ponieważ sądzono, że samolot ten zaginął w kilka minut po zerwaniu się łączności z eskadrą „Avengerów". Zgodnie z podawanymi na ten temat informacjami, ostatnia wiadomość od zaginionych nadeszła o 16,25. I zaraz po jej odebraniu wystartował „Mariner", który przepadł następnie bez wieści podczas słonecznej pogody, jaka rzekomo panowała w obszarze katastrofy „Avengerów". Eksplozja, jaka nastąpiła w tych okolicach, o godzinie 19,50, tj. po upływie 3 godzin od momentu zaginięcia samolotów, nie mogła mieć z nimi żadnego związku.

W rzeczywistości **„Martin Mariner"** wystartował o 19,27, a tajemniczy wybuch nastąpił w chwili, gdy panowały już zupełne ciemności przy sztormowej pogodzie i dokładnie w tym miejscu, w którym maszyna znalazła się po 23 minutach lotu. Był to obok 5 **„Avengerów"** jedyny w tym rejonie spóźniony samolot. Kompetentni ludzie, kiedy tylko dowiedzieli się o eksplozji około godz. 21,12, natychmiast uznali, że chodzi o maszynę skierowaną do akcji poszukiwawczej, która nie przekazała meldunku przewidzianego na godzinę 20,30. Samoloty typu **„Martin Mariner"** były nazywane **„latającymi zbiornikami gazu"**, ponieważ często wskutek nieostrożności załogi (iskra nadajnika, niedopałek papierosa) dochodziło do ich eksplozji.

„Legendy krążące na temat owej tajemniczej katastrofy — jak podaje Kusche — **starają się stworzyć wrażenie, że „Mariner" był jedynym samolotem, który pośpieszył z pomocą zbłąkanej eskadrze.** W efekcie wyglądało na to, iż **„zły duch Trójkąta"** wypędził pierwszego intruza ze swojego królestwa. Inne samoloty biorące udział w akcji poszukiwawczej, miały rzekomo wystartować dopiero po zaginięciu „Marinera".

Prawda wyglądała nieco inaczej. Utracona maszyna nie była jedyną wysłaną na poszukiwanie „Avengerów". Nie była też pierwszą z nich: **„Dumbo"** z Dinner Key (Miami) był już w powietrzu o 18,20, jednakże jego antena bardzo szybko pokryła się lodem, co uniemożliwiło łączność radiową z tym samolotem. Dalsze maszyny opuściły Vero Beach o 18,45 oraz Daytona Beach o 19,21. Samoloty szkolne **„32"** i **„49"** z Banana River wzniosły się w powietrze o godz. 19,30. Dalsze maszyny wystartowały jeszcze później, gdy pewna liczba statków była już w drodze do rejonu katastrofy.

Zeznania świadków (pilotów maszyn wysłanych do akcji ratowniczej) przesłuchiwanych przez komisję dochodzeniową marynarki wojennej również potwierdzają, że warunki atmosferyczne w tym rejonie były złe, a na morzu panował sztorm.

Widać więc wyraźnie, jak wiele czynników uniemożliwiło uratowanie eskadry „Avengerów": awaria kompasów w maszynie porucznika Taylora, awaria nadajnika, zły odbiór radiowy, opóźnienie w rozpoczęciu akcji ratowniczej, szybki zmierzch, zły stan morza i trudne warunki atmosferyczne, oblodzona antena „Dumbo" itd. Gdyby któryś z wymienionych czynników nie wystąpił,

ZAGADKA BERMUDÓW (III)

ginionego kontynentu — Atlantydy" — w relacji **Edgara Cayce'a**, podanej w 1935 roku. Jest on może niezbyt zrozumiały, ale staraliśmy się go przekazać możliwie dosłownie, bez zatarcia usterek stylu i niejasności pewnych sformułowań.

„Centrum budowli jest otoczone nieprzewodzącą skałą z materiału podobnego do azbestu oraz z innych nieprzewodzących materiałów, które są obecnie produkowane w Anglii pod pewną bardzo znaną nazwą (...)

Budowla wznosząca się ponad ową skałą była owalna, bądź w kształcie kopuły i zwrócona taką jej stroną ku niebu, na której gwiazdy mogły najskuteczniej operować — wskutek czego uzyskiwano koncentrację energii emitowanej przez ciała spalające się wraz z innymi elementami znajdującymi się w atmosferze ziemskiej (...)

Koncentracja ta przez pryzmaty, bądź wielkie szklane lustra oddziaływała droga indukcji na instrumenty związane z różnymi rodzajami ruchu, wywołując ten sam efekt kontrolny, jaki wywołuje dziś zdalne sterowanie falami radiowymi, drganiami oscylacyjnymi lub przewodami; owa uwolniona z kamienia moc oddziaływała dzięki temu na urządzenia napędowe pojazdów.

Budowla była tak skonstruowana, że przy pewnym ustawieniu kopuł, bezpośredni przesył energii w kierunku różnych pojazdów, poruszających się w przestrzeni, na powierzchni bądź pod wodą — oddziaływał na nie w bardzo małym stopniu, bądź wcale nie zakłócając ich ruchu.

Obróka wstępna tego kamienia dokonywana była wyłącznie rękami wtajemniczonych. Szczególną moc posiadali ci, którzy kierowali strumieniami promieni, niewidocznych dla oka, ale za to oddziaływających na ów kamień, jako siła napędowa — w efekcie powstawały duże ilości gazów, powodujące silne oddziaływania na poruszające się w tym rejonie samoloty, statki płynące na powierzchni morza, bądź okręty podwodne. Wszystkie one były napędzane przez skoncentrowane promienie, emitowane z kamieni, znajdujących się w środku siłowni (jak byśmy ją dziś nazwali)".

Wydaje się, iż ów niezbyt przejrzysty i mało logiczny opis jest wytworem czystej fantazji **„śpiącego proroka"**. Charles Berlitz twierdzi jednak, iż być może kryje on w sobie tajemnicę **„Trójkąta Bermudów"**. Amerykański autor pisze więc, **„iż choć nie należy oczekiwać, by owe siłownie mogły jeszcze pracować po upływie tysięcy lat, interesującą w związku z tym jest istota owej tajemniczej „białej wody", o której krążą liczne legendy i która była obserwowana począwszy od Kolumba, a skończywszy na astronautach"**. Strumienie „białej wody" pojawiają się w pewnym punkcie, a potem zeń znikają, unosząc się w górę, po czym po jednym, dwu kilometrach ulegają rozproszeniu. Ich początkowo nieregularne linie tracą wówczas swą wyrazistość prawie tak samo, jak dzieje się to z gazami ulatującymi pod wpływem ciśnienia.

Odchylenia kompasów i awarie aparatury elektrycznej mogą być również powodowane ogromnymi ilościami metalu znajdującego się pod wodą. Można to zaobserwować w różnych częściach świata, gdzie spoczywające na dnie duże złoża rud są przyczyną anomalii wskazań kompasów. Owe potężne masy metali, znajdujące się na dnie lub jeszcze głębiej, mogą, zdaniem Berlitza, oddziaływać na powierzchnię mórz. W jednym z raportów agencji astronautycznej NASA z 1970 roku jest mowa o **„próżni"** na powierzchni oceanu, zlokalizowanej ponad Rowem Portorikańskim. Naukowcy tłumaczą takie obniżenie powierzchni osobliwym rozkładem masy pod dnem morskim, co prowadzi jakoby do anomalii grawitacyjnych.

Ewentualność, że promień laserowy może zniszczyć lub rozłożyć na atomy samolot, jest, w opinii Berlitza, zupełnie możliwa. **Jednakże twierdzenie, że potężne źródła energii, bądź wielkie kompleksy laserowe zatopione jakoby przed tysiącami lat mogły do dziś funkcjonować, jest zupełnie pozbawione racji bytu, choćby dlatego, że nie mogą one działać samoistnie.**

Lasery, jak powszechnie wiadomo, są wynalazkiem stosunkowo niedawnym i prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości zostaną znacznie ulepszone. Na przykład laser ultrafioletowy dysponuje znacznie większą ilością energii niż laser rentgenowski. Jest więc możliwe, iż podobnie jak w przypadku laserów pracujących w oparciu o energię słoneczną, lasery na Atlantydzie były zasilane energią czerpaną z wnętrza Ziemi. Być może również, że w czasach prehistorycznych poziom techniki był tak wysoki, iż rozwiązywano pewne problemy, które w dobie dzisiejszej pozostają nie rozwiązane z powodu licznych barier nie do przebycia, jakie istnieją na obecnym etapie rozwoju nauki i techniki.

„Żyjemy dziś w świecie — pisze Berlitz — **w którym granice nauki i pseudonauki są płynne, świecie gdzie pewne sprawy były niegdyś przedmiotem zainteresowań magów, a obecnie zostały naukowo wyjaśnione. Biolodzy będą niebawem przedłużać życie ludzkie przez zamrożenie żywego organizmu i odtajenie go po upływie wielu lat. Ruchomy film, który jeszcze sto lat temu był tylko marzeniem, dziś jest rzeczywistością. Psychokineza — zdolność poruszania się obiektów pod wpływem siły woli już niedługo przestanie być przedmiotem sztuczek magicznych, a stanie się poważną dyscypliną naukową, podobnie jak telepatia".**

Rozwój wiedzy zachodzi obecnie w coraz szybszym tempie, wiele do niedawna nie wyjaśnionych spraw zostało już naukowo wytłumaczone, pozostało jednak jeszcze sporo zagadek, na które ludzkość nie jest w stanie dać odpowiedzi. Na przykład — czy możliwe jest istnienie antymaterii, dewiacji czasoprzestrzennej, innej koncepcji grawitacji i magnetyzmu? Czy istnieją tak zwane ciemne planety w obrębie naszego systemu, z których, wskutek eksplozji, tworzą się nowe gwiazdy i małe cząstki materii, cięższe niż całe planety? Czym są kwazary i czarne dziury w przestrzeni kosmicznej? Coraz szybciej świat dąży do wyjaśnienia tych i innych zagadek, a wśród nich również tajemnicy **„Trójkąta Bermudów"**.

Charles Berlitz kończąc swoje rozważania pisze, iż być może **„Trójkąt Bermudów"** jest tym obszarem na naszej planecie, który posiada łączność z siłami, o których na razie nic nam nie wiadomo, choć może to wkrótce ulec zmianie i wówczas tajemnica zostania wyjaśniona.

„Jako gatunek biologiczny zbliżamy się teraz do osiągnięcia poziomu dojrzałości. Dlatego w poszukiwaniu wiedzy nie powinniśmy odrzucać jakichkolwiek nowych wyjaśnień, tak dotyczących naszej planety, jak i wszechświata".

wówczas ów lot mógł się zakończyć zupełnie inaczej.

„Najtragiczniejsze w całym tym wydarzeniu — jak stwierdza Kusche — **było to, iż porucznik Taylor, gdy po**

raz pierwszy zameldował o błędnej ocenie sytuacji, znajdował się już, według relacji świadków, nad rafami i mieliznami na północ od Wysp Bahama. Samoloty wykonujące „lot nr 19" były prawie dokładnie na kursie, gdy piloci stwierdzili, że go zgubili".

Tyle relacja **Lawrence'a Kusche**, w której polemizuje on z poglądami Berlitza i innych badaczy.

Inną, równie niejasną sprawą były zagadkowe katastrofy statków, znikanie ich bez śladu, a także statki-widma, szkielety na pokładach itd. Podobnie, jak w przypadku zaginionych samolotów, próby wyjaśnienia przyczyn tych osobliwych katastrof napotykają na spore trudności. I tu również znane nam już poglądy Berlitza, mające wyjaśnić ową tajemnicę — spotykają się z protestem ze strony szeregu osób interesujących się sprawą **„Trójkąta Bermudów"**. Tak np. **Kuno Moser**, były wieloletni oficer nawigacyjny frachtowca **„Christlicher Seefahrer"**, w odpowiedzi na pytanie o przyczyny pojawiania się statków-widm, stwierdził, iż dość często, zwłaszcza na jednostkach z wielonarodowymi załogami, mają miejsce bijatyki, które kończą się czasami tragicznie. Załogi, bojąc się odpowiedzialności, porzucają statki, pod pretekstem ich awarii lub pożaru z nadzieją, że w ten sposób zdołają ukryć niewygodne dla nich fakty. Poza tym, zdaniem Mosera, zdarzają się czasami przypadki przesunięcia się ładunku, grożące utratą równowagi przez statek. Załoga, ogarnięta paniką, przesiada się wówczas szybko do łodzi ratunkowych, porzucając statek. Podobne reakcje występują w obliczu zagrożenia statku pożarem lub nagłą eksplozją, przy czym potęgują się, gdy statek przewozi np. towary łatwopalne. Tym właśnie próbowano wyjaśnić tajemnicę zniknięcia załogi brygu **„Mary Celeste"**, który przewoził około 1700 beczek alkoholu. Być może zła pogoda sprawiła, że przez wiele dni luki ładowni były zamknięte, potwierdzałyby to resztą zapisy w dzienniku okrętowym. Gdy pogoda uległa poprawie, spróbowano otworzyć ładownie i wówczas najprawdopodobniej nastąpił zapłon nagromadzonych w nich oparów alkoholu.

„Potężny grzmot, płomienie buchające znad nieszczelnych beczek mogły — jak pisze F. O. Braynard w książce „Famous American Ships" — **zrodzić przekonanie o nieuniknionej eksplozji całego ładunku. Grzmot sprowadził na pokład rodzinę kapitana i załogę, która pośpiesznie zrzuciła na wodę longbot. Natychmiast zwolniono linę i usiłowano odbić od burty płynącego nadal dość szybko statku. Reszta jest prostą, ponurą tragedią. Gwałtowne uderzenie fali o ciężki barkas, nie ustawiony jeszcze do niej właściwie, przewrócił się. I to był koniec".**

Inne, osobliwe zjawiska występujące w okolicach **„Trójkąta Bermudów"**, a wymieniane przez Charlesa Berlitza: jak nagłe powstawanie gęstych mgieł, istnienie **„dwóch całkowicie różnych mórz na przestrzeni zaledwie kilku metrów"** nie są w opinii wspomnianego już Kuno Mosera niczym nadzwyczajnym. Zazwyczaj powodują je prądy powietrzne i morskie, które, podobnie jak w przypadku mgieł, mają ostro zarysowane granice, wydaje się wówczas patrząc z samolotu lub statku, że morze składa się jakby z dwóch różnych stref. Zjawisko to występuje nie tylko w **„Trójkącie Bermudów"**, ale również na Morzu Północnym czy Południowym Atlantyku.

Wszystko to nie wyjaśniało jednak zagadki nagłej śmierci całych załóg, których twarze były powykrzywiane, jakby pod wpływem jakiegoś ogromnego bólu, podczas gdy badania nie wykazywały żadnych obrażeń wewnętrznych czy oznak zaraźliwej choroby.

Całkiem niedawno okazało się, że również tę tajemnicę można wyjaśnić w sposób naukowy, wykorzystując w tym celu tzw. teorię **„głosu morza"**. Opiera się ona na fakcie istnienia poddźwiękowych drgań powstających w rejonie sztormu, których natężenie rośnie wraz ze wzrostem prędkości wiatru i wysokości fali. Owa fala poddźwiękowa rozchodzi się z prędkością ok. 1200 km/godz. w powietrzu i około 6.000 km/godz. w wodzie, dzięki czemu znacznie wyprzedza wytwarzający ją sztorm czy huragan, obejmując zasięgiem swego oddziaływania strefy odległe o dziesiątki i setki mil (np. dźwięk o częstotliwości 3000 Hz słyszalny jest w odległości około 500 m, zaś falę poddźwiękową o częstotliwości 3 Hz można zarejestrować jeszcze w odległości 500 km!). Naukowcy, prowadząc eksperymenty z generatorem ultradźwięków dużej mocy zaczęli odczuwać przy emisji poddźwięków rzędu kilku Hz nasilającą się wibrację organów wewnętrznych — żołądka, płuc, serca, powodującą silne bóle wewnętrzne. Wynikało to z faktu nakładania się na siebie pulsacji własnej organów wewnętrznych ludzi i zwierząt, a więc drgań o częstotliwości kilku Hz i pulsacji fali poddźwiękowej również kilkuhercowej, co powodowało występowanie zjawiska rezonansu, jeśli okresy obu pulsacji były wzajemnie zbliżone. W przypadku zgodności faz obu tych drgań znacznie narastała amplituda skurczów serca, co prowadziło do pęknięcia arterii, bądź nawet rozerwania naczyń krwionośnych. Natomiast, gdy fazy poddźwięku i pulsacji własnej były przeciwne, następowało (przy dostatecznym natężeniu fali) — wytłumienie akcji serca aż do zatrzymania rytmu pracy w ogóle. Przeprowadzone badania pozwoliły ustalić, że niebezpieczna dla życia ludzkiego granica częstotliwości poddźwięku wynosi 7 Hz, oczywiście przy dużym jego natężeniu. Przy wartościach poddźwięku niższych od granicznej organizm człowieka ulega panice i uczuciu nieuzasadnionego lęku, zaś w pewnych okolicznościach poddźwięki średniej wartości o odpowiednim natężeniu mogą nawet powodować przejściową ślepotę.

W czasie sztormów ruch fal wytwarza poddźwięki o częstotliwości średnio ok. 6 Hz, a jeśli dodatkowo kadłub statku lub omasztowanie znajdą się w stanie rezonansu z falą poddźwiękową, wówczas wspomniane wyżej efekty ulegają spotęgowaniu. Stąd m.in. na statkach z martwą załogą na pokładzie (lub bez załogi, która ogarnięta paniką starała się w pośpiechu opuścić jednostkę) znajdowano połamane, bądź pęknięte maszty, chociaż warunki atmosferyczne i stan morza wykluczały ewentualność wystąpienia sztormu.

Pomimo, iż przytoczone wyżej hipotezy wydają się brzmieć dość wiarygodnie, tłumaczą bowiem wiele faktów, również i one nie są w stanie dać pełnej i ostatecznej odpowiedzi na pytanie, co naprawdę kryje w sobie tajemnica **„Trójkąta Bermudów"**. Można jedynie mieć nadzieję, że kiedyś ona także doczeka się wyjaśnienia.

OBOJĘTNOŚĆ

Kazimierz Z. ma 55 lat. Jest rencistą. Zdrowie stracił przy prostowaniu igieł dziewiarskich. Mógłby teraz sypiać choćby do południa, ale wstaje wczesnym rankiem. Nawet nie goli się, bierze siatkę i idzie po świeżutki chleb.

W czwartek 18 września 1975 r. wracał właśnie z chlebem, gdy tuż pod domem zobaczył milicjanta. Pilnował leżącego na ziemi mężczyznę.

— **Może pan wie kto to jest?** — zagadnął go funkcjonariusz. — **Już nie żyje** — dodał usprawiedliwiając swoją bezczynność.

Zwłoki były niemal nagie. Strzępy podartej bielizny przesiąkły krwią zmieszaną z piachem. Zmarły leżał na wznak z ramionami odrzuconymi na boki. Twarz miał obrzękłą, zniekształconą sińcami. W takim stanie Kazimierz Z. nie mógł go poznać. Nie powiedział milicjantowi, że głowa nieboszczyka leży na trawie, którą wczoraj skosił pod oknem swego mieszkania. Wyglądało jakby ktoś umyślnie tak ułożył głowę zmarłemu. Wolał udać, że tego nie spostrzegł. Nie chciał być świadkiem, składać wyjaśnień.

Leżącego bez życia mężczyznę pierwszy zauważył Antoni D. Zawsze, gdy tylko się obudzi, przede wszystkim wygląda przez okno, by sprawdzić czy stoi jego Syrena. Auto zostawia na placu, który powinien być podwórzem zasłoniętym od ulicy blokiem a jest zapuszczonym ugorem. Zaintrygowało go, że mężczyzna nie ma na sobie ubrania. Zadzwonił do komisariatu, który mieści się na tej samej ulicy.

— **Tu, za naszym blokiem vis a vis pana, leży nagi człowiek** — powiedział dyżurnemu a sam zaczął się przygotowywać do pójścia do pracy na ranną zmianę. Myślał, że to pewnie jakiś pijak, którego pobito i doszczętnie obrabowano. W tym rejonie miasta rzecz zgoła banalna...

Sensację i zbiegowisko wywołało dopiero przybycie kilkuosobowej ekipy dochodzeniowo-śledczej. Nie było wątpliwości, że popełniono zbrodnię choć nikt jeszcze nie wiedział, kto padł ofiarą. Do pomocy sprowadzono psa śledczego. Spodziewano się, że może wytropi sprawcę czy sprawców zabójstwa. Pies wprawdzie podjął ślad, ale przebiegł zaledwie kilkanaście metrów w kierunku bloku i stanął. Próbę powtórzono. Zachował się identycznie.

— **Być może ranny się czołgał i dlatego pies za każdym razem prowadzi dokładnie w to samo miejsce. Skąd jednak mężczyzna wziął się pod blokiem?...**

Gdy zastanawiano się nad tym dylematem właśnie Aniela K. wyszła na balkon by lepiej zobaczyć co na dole robi milicja. Z przerażeniem spostrzegła, że poręcz balustrady poplamiona jest krwią. Mieszka na drugim piętrze. Wyżej jest już tylko jedno mieszkanie...

Trzeba było wielokrotnie pukać i dzwonić do mieszkania Anny i Stanisława B. nim drzwi ostrożnie się uchyliły. Najpewniej widok mundurów milicyjnych sprawił, że chłopak na powrót usiłował je zatrzasnąć. Trzeba było otwierać przemocą. Na ścianach przedpokoju jeszcze schły ślady krwi. Parkiet był już zmyty wodą z mydłem. W dostatnio umeblowanym pokoju, na szerokim tapczanie obok pianina, spała para młodych ludzi. Trzeba było ich energicznie budzić. Ubrali się bez słowa protestu. Posłusznie pomaszerowali pod eskortą do komisariatu...

Zeznania trojga zatrzymanych z wolna układały się w dramatyczny obraz zbrodni popełnionej minionej nocy w mieszkaniu na trzecim piętrze. Od przesłuchiwanych żądano by przypomnieli sobie wszystko, co robili w ciągu ostatniej doby, minuta po minucie, aż do chwili wkroczenia milicji. Szło to opornie. Ostrość zdarzeń w ich pamięci zacierał alkohol. Pili przez cały poprzedni dzień. Picie wódki, taniego wina i piwa wypełniało im niemal bez reszty kilka ostatnich tygodni. Nie uczyli się ani nie pracowali. Nie poczuwali się do żadnych obowiązków. Wydawało się im, że są prawdziwymi dziećmi szczęścia. Czas odmierzały opróżniane butelki, najczęściej w

WSZYSCY WIEDZIELI, ALE NIKT SIĘ NIE SPODZIEWAŁ

bramach i na klatkach schodowych. Później zwykle zaglądali do cieszącej się nienajlepszą reputacją restauracji „B". Tu zawsze mogli liczyć na jakąś korzystną „okazję", że ktoś postawi kolejkę...

W środę 17 września 1975 r. również byli w „B". Pieniądze mieli bo „załatwili trupka" — to znaczy obrabowali z portfela, obrączki i zegarka jakiegoś pijaka, który nieopatrznie zasnął na trawniku. Bawili się wesoło. Gdy restaurację zamykano o godz. 22 Jerzy P. miał jeszcze na pół litra. Kupił wódkę i powiedział, że idzie z Jolką B., do jej mieszkania. Mieszkała teraz tylko z młodszym bratem. Ojciec przebywał od kilku miesięcy za granicą. Jest klezmerem. Gra na harmonii w orkiestrze tanecznej, którą zakontraktowano do jednego z nocnych lokali w NRD. Matka też wyjechała. Na wakacje zaangażowała się w kuchni jednego z ośrodków wypoczynkowych na Dolnym Śląsku. Miała wrócić dopiero w październiku...

Wszyscy wiedzieli, że Jolka nie krępuje się w korzystaniu z pełnej swobody. Jej uroda zwracała powszechną uwagę. Na wiosnę spędziła trzy miesiące u wujka w RFN. Zaprosił ją, gdy w zeszłym roku był w Polsce. Sporo ciuchów sobie przywiozła. Jeszcze bardziej podkreślały jej dojrzałość...

17-letni Leszek N. też chciał pójść do Jolki. Należał przecież do tej samej paczki. Nie ukrywał, że dziewczyna mu się podoba. Ale Jerzy P. nie życzył sobie towarzystwa konkurenta. Dość go miał w „B". Teraz chciał być sam z Jolką. Zagroził, że jak Leszek N. przyjdzie za nimi to „ciężko tego pożałuje"... Nikt się już nie dowie, dlaczego zlekceważył te słowa. Ledwie Jerzy P. zobaczył go w progu od razu zaatakował głową, wciągnął do przedpokoju, zamknął drzwi i z całej siły okładał intruza pięściami. Nie dość mu było, że już leży na podłodze i nawet nie próbuje zasłaniać się przed kolejnymi ciosami. Kopał go drewniakami tak długo aż zorientował się, że ciało ofiary stało się całkiem bezwładne. Wtedy dopiero się zreflektował. Pochylił się nad ofiarą by sprawdzić czy żyje. Przeraziło go, że Leszek N. nie oddycha. Zawołał Jolkę, która dotąd przezornie nie wyglądała z pokoju. Wspólnie zabrali się do ratowania kolegi. Mieli nadzieję, że sztuczne oddychanie odwróci skutki pobicia. Rytmiczne gimnastykowanie ramion nieprzytomnego nie dawało jednak oczekiwanych rezultatów. Jedyny ludzki odruch jaki okazali w tej całej historii zakończył się niepowodzeniem. Żadne z nich nie pomyślało, by wezwać pomoc. Mieli przecież pod ręką telefon. Stał na stoliku w przedpokoju. Wystarczyło podnieść słuchawkę i wykręcić numer Pogotowia Ratunkowego. Sekcja zwłok wykazała, że najpewniej istniała jeszcze szansa uratowania rannego...

25-letni Jerzy P. i 19-letnia Jola B. wybrali jednak zbrodnię. Postanowili pozbyć się ciała Leszka N. Przewinęli go pod pachami długim ręcznikiem kąpielowym i tak dowlekli do balkonu. Bez żadnych skrupułów kolegę wyrzucili z trzeciego piętra...

Nie było to działanie w pijackim szale, w stanie niepoczytalności. Byli na tyle trzeźwi by zdać sobie sprawę, że zwłoki leżące blisko bloku, pod rzędem balkonów trzeciej klatki, łatwo nasuną podejrzenia gdzie szukać sprawców przestępstwa. Zbiegli szybko na dół i odciągnęli ciało. Zdarli jeszcze z ofiary spodnie i rzucili w krzaki. Po powrocie do domu czuli się całkowicie bezpieczni. Nie dręczyły ich wyrzuty sumienia. Spokojnie zajęli się sobą...

* * *

Blok w którym zdarzyła się zbrodnia budząca grozę okrucieństwem młodych ludzi wybudowano z cegieł w 1958 roku. Niemal jednego dnia wprowadziło się do niego 48 rodzin z różnych krańców miasta. Obcy ludzie szybko nawiązywali znajomości. Cieszyli się z nowych, wygodnych mieszkań jakich jeszcze teraz niejedna rodzina mogłaby im pozazdrościć. Wokół przecież pełno bałuckich drewniaków, pamiętających początki stulecia, bez wody i kanalizacji. Dostrzegali awans, jaki ich spotkał. Zawiązali komitet domowy. Wszyscy wyszli do prac społecznych przy urządzaniu kwietników wokół ich bloku. Niemal w każdym mieszkaniu były dzieci w tym samym wieku, najpierw bawiły się w piaskownicy później razem chodziły do tej samej szkoły. Ich rodzice dzielili wspólne troski i radości. Spostrzegli, że Stanisław B. jest bez pracy. Dyskretnie zapraszali Jolę i jej brata do stołu razem ze swoimi dzieciakami. Komitet domowy potrafił załatwić bezpłatne obiady w szkole. Jedna z sąsiadek pomogła Annie B. w uzyskaniu pracy w swoim zakładzie...

Ale to było dawno. Komitet domowy nie istnieje już od ośmiu lat. Dwukrotnie zwoływano zebrania lokatorów. Nikt jednak nie przyszedł. Ludzie zasłaniają się brakiem czasu, swoimi kłopotami, nie chcą przyjmować społecznych obowiązków... Drzwi otwierają trwożliwie, dokładnie oglądają legitymację prasową nim zaproszą do mieszkania.

— **Niech pan się nie dziwi** — tłumaczą — **od czasu tej zbrodni wszyscy się boimy. Skoro takie rzeczy się dzieją nie wiadomo, co jeszcze może się zdarzyć...**

Najbliżsi sąsiedzi Anny i Stanisława B. nie zauważyli w nocy z 17 na 18 września 1975 r. niczego, co zwróciłoby ich uwagę, zaalarmowało. Prawie do północy słychać było tupanie trepami. Wszyscy jednak, w całym bloku, zdążyli już przywyknąć do hałasów w mieszkaniu na trzecim piętrze. Nawet zadowoleni byli, że tej nocy tak wcześnie wszystko ucichło...

Libacje alkoholowe u Anny i Stanisława B. były na porządku dziennym. Schodziły się męty z całej dzielnicy. Na klatce schodowej czasem panował istny tłok, tylu było nieprzytomnych pijaków, którzy spali pokotem. Pijackie biesiady zdarzały się nawet częściej, gdy Anna i Stanisław B. byli w domu niż teraz, gdy ich nie było...

Lokatorzy domu znają, przynajmniej z widzenia, wszystkich bohaterów ponurego dramatu. 25-letni Jerzy P. przychodził z sąsiedniej ulicy. 17-letni Leszek N. mieszkał z matką na pierwszym piętrze w drewniaku naprzeciw. Widywano ich w stanie nietrzeźwym, słaniali się podpierając latarnie. Staczali krwawe bójki pod oknami domów....

Jeden z lokatorów powiedział mi:

— **Wszyscy wiedzieliśmy co dzieje się w mieszkaniu na trzecim piętrze, ale nikt się nie spodziewał, że coś takiego może się zdarzyć...**

Takie przekonania zdają się uspokajać. Mieszkańcy domu twierdzą, że niczego nie mogli zrobić, by zapobiec zbrodni. Teraz tylko jeszcze dokładniej zamykają drzwi, izolując się w swoich mieszkaniach od sąsiedzkich kłopotów. Proszą by nie podawać ich nazwisk, bo nie mają czasu na chodzenie do sądu. Nie chcą być świadkami, rezerwują dla siebie role obserwatorów, zadowoleni, że w ich mieszkaniach cudze sprawy zostają za progiem...

KONRAD TUROWSKI

PS. Wszystkie imiona i inicjały użyte w reportażu są zmienione.

CI OKROPNI DWUNOŻNI WŁOSI

Świat się nie zawalił po przegranej w Amsterdamie, świat się nie zawalił po remisie w Warszawie. Mimo, że wszyscy czujemy się zawiedzeni. Mimo, że trzeba się pożegnać z Mistrzostwami Europy. Pora jednak odłożyć na bok wszelkie emocje i spokojnie ocenić fakty. Po pierwsze — wyeliminowanie Polski z Mistrzostw Europy nie przekreśla dotychczasowych sukcesów naszej reprezentacji. Nadal liczy się wygrana Olimpiada, do następnych Mistrzostw Świata nadal jesteśmy trzecią drużyną świata. I po drugie — nadal niestety jesteśmy tą samą drużyną. Polacy byli rewelacją na Mistrzostwach Świata, bo pokazali zupełnie nowy styl gry. Byli rewelacją, bo nikt nas tak grających jeszcze nie widział. I stąd wziął się sukces, stąd zaskoczenie piłkarskich potęg. Ale ci sami zawodnicy i taka sama taktyka stosowana w rok później to już żadna nowość, żadna rewelacja. Przeciwnicy dobrze już znają nasze możliwości i rozgryźli nasz styl gry. W konsekwencji i Holendrzy, i Włosi znaleźli na polski zespół skuteczną receptę. Czy się nam to podoba czy nie, trzeba sobie wreszcie uświadomić jedną prawdę: od Mistrzostw Świata nie zrobiliśmy żadnego postępu. Upojeni zwycięstwami trwaliśmy w samozachwycie. Jak coś nie wyszło, to pod ręką zawsze było parę przyczyn obiektywnych. Jak wygraliśmy to „Świat oniemiał", a że przeciwnik był akurat gorzej dysponowany — o tym ani słowa.

Zimny prysznic w Amsterdamie nie ostudził rozgorączkowanych głów. Jeszcze liczono, jeszcze podbijano bębenek: „Z Włochami trzeba wygrać 4:0, a później Włosi Holendrom...". Wydawałoby się, że emis w Warszawie załatwił wreszcie te magiczne kombinacje. Ale gdzie tam. Znów słyszę: „A co będzie jak Włosi wygrają w Rzymie 4:0...". Jan Ciszewski ma wtedy odśpiewać arię z „Aidy" na Placu Konstytucji w Warszawie. Można podjąć jeszcze kilka takich ślubów, tylko jeśli sami nie potrafiliśmy załatwić sobie wejścia do Mistrzostw Europy, to przestańmy do diabła liczyć, że nam Włosi to załatwią. Przegraliśmy już te Mistrzostwa Europy i wiosną w Rzymie, i jesienią w Amsterdamie, a nie jestem zupełnie pewna, czy nie zaczęliśmy je przegrywać zaraz po Mistrzostwach Świata. I nawet cudowny przypadek, że Włosi wygrają z Holendrami w Rzymie 4:0, nie zmieni tej prawdy. Żeby znów wygrywać z najlepszymi trzeba albo zmienić drużynę, albo zmienić styl gry. Nie wiem, na co nas w tej chwili stać, ale stanie w miejscu może przynieść kolejne rozczarowania.

Nie róbmy tragedii, że nasi piłkarze odpadli z Mistrzostw Europy. Każda wspaniała drużyna przechodzi okres kryzysu. Przypomnijmy Anglików czy nawet Włochów. Jest to w sporcie prawidłowość, o której nie wolno zapominać, ale też nie wolno się na nią łatwo godzić. Znów trzeba będzie spokojnie popatrzeć na całą polską piłkę nożną. Nie tylko na reprezentację, ale i na kluby. Przeżyliśmy „czarną środę", kiedy to nasze najlepsze drużyny klubowe mocno się potknęły. Rok temu mówiło się, że kluby powinny równać poziomem do reprezentacji. Boję się, że teraz trzeba byłoby powiedzieć, że reprezentacja zaczęła równać do klubów. Niedostatki techniczne i kondycyjne naszych reprezentantów biorą się z codziennej klubowej szarzyzny, czyli prościej z kiepskiej pracy w klubach. Wystarczy którejś ligowej niedzieli czy środy posłuchać sprawozdań sportowych, lub samemu wybrać się na mecz, aby przekonać się, że reprezentanci najczęściej nie błyszczą formą. Jeśli więc zgrupowanie kadry ma służyć li tylko nadrabianiu braków, szlifowaniu formy, to nic tam nowego się nie wymyśli, gdyż zabraknie na to czasu. A przecież nasza, polska koncepcja reprezentacji opierała się właśnie na pracy w klubach, na należytym przygotowaniu reprezentantów przez ligowych trenerów.

Polacy w Warszawie grali o niebo lepiej niż w Amsterdamie, grali też znacznie lepiej niż wiosną w Rzymie. Ale ci — jak to w zawiły sposób określił ich Jan Ciszewski — dwunożni Włosi okazali się wstrętciuchami i po prostu nas zawiedli. Wszyscy liczyliśmy, że Włosi będą źle grali, pozwolą wkopać sobie kilka goli i wyjadą z Warszawy szczęśliwi, że pomogli bliźnim. Ale nic z tych rzeczy. Włosi zastosowali starą taktykę murowania bramki, nie pozwolili strzelić sobie ani jednego gola, dowodząc tym, że znaleźli skuteczny sposób na polski zespół. Jeśli w polskiej piłce nożnej nic się nie zmieni, to maluczko, a Włosi znajdą również sposób na strzelanie nam goli.

BOGDA MADEJ

JAK PRACOWAŁEM W MOSKIEWSKIEJ MILICJI

JACEK INDELAK

Dalszy ciąg ze str. 1

zem rozpoczniemy kolację. Łapię żonę za rękę i zbiegamy po schodach na ulicę.

Na ulicy deszcz i ziąb okrutny. Stąd — z ulicy Gorkiego — na Prospekt Lenina, gdzie mieszczą się dwa nowe wieżowce Hotelu Akademii Nauk ZSRR, kawał drogi: co najmniej jak z Chocianowic na Julianów. Chodnikami płynie tysięczny potok spieszących się ludzi, wlewający się pod ziemię w obszerne przejście, wiodące pod powierzchnią ulic do najbliższej stacji metra. Nie!

Ulicą mknie kilkurzędowy strumień samochodów. Wolna taksówka o tej porze w centrum Moskwy? Co robić? Jesteśmy prawie w majestacie sprawiedliwości, a więc w te pędy na zaplecze pobliskiego hotelu „Inturist". Dopadamy stojącego tam firmowego autokaru radzieckiego biura podróży. Kierowca spogląda na zegarek: ile mu czasu pozostało do nadejścia grupy turystów, którą dziś obsługuje?

— Nu, cztoż padielajesz, drużok, dawaj, pajechali!

I jedziemy. Kierowca manewruje ciężkim „Ikarusem" niczym małym „Fiatem". Wciska się... nie na drugiego, na piątego, szóstego. Wykonuje karkołomne wiraże, piszcząc przeraźliwie oponami i hamulcami. Pobił chyba absolutny rekord na tej trasie, bo już za jakieś dwadzieścia minut jesteśmy na miejscu.

Na drugie piętro — do biura obsługi. W małym przytulnym pokoiku siedzą za biurkami dwie jego pracownice. Na brzegu krzesła przycupnęła załamująca nerwowo ręce nasza rodaczka i krajanka, Halina W., pracownica łódzkiego „Polmerino". Po pokoju przechadza się wysoki i szczupły, czarnowłosy, niespełna trzydziestoletni inspektor, prowadzący śledztwo — **lejtenant Władimir Aptekariew.**

— No, nareszcie. Dogadamy się.

W dłuższej wymianie pytań i odpowiedzi, w której zagoniony jak pies gończy i spocony jak mysz staram się w miarę językowych możliwości najlepiej pośredniczyć, sprawa staje się powoli w miarę jasna i klarowna.

Halina W. wybrała się w towarzystwie małżeńskiej pary z tej samej grupy turystycznej na spacer: cała trójka chciała się napić kawy. Nie odeszli daleko od swego hotelu. Dotarli na Plac Październikowy, gdzie naprzeciwko hotelu „Warszawa", mieści się jedna z wielu podobnych moskiewskich kawiarń o nazwie „Szokoładnica". Cała trójka weszła do kawiarni. Podeszli do baru, rozmawiając po polsku. Po chwili wyszli przed kawiarnię. Halina W. przeprosiła swoich towarzyszy i wróciła do kawiarnianego wejścia. Weszła do małego przedsionka, postawiła na posadzce torbę i pochyliła się, aby poprawić sobie pończochę. W tym momencie młody mężczyzna zdecydowanym ruchem chwycił za torbę i rzucił się w służbowe wyjście, którym wybiegł na zaplecze kawiarni. Halina W. pobiegła za nim, krzycząc po polsku: **„Złodziej! Łapać złodzieja!"**. Nie mogła jednak biec zbyt szybko.

Wróciła do Hotelu Akademii Nauk ZSRR. W recepcji nie mogą zrozumieć, o co jej chodzi. Dopiero w biurze obsługi podróżnych, którego pracownica zna parę polskich słów, udaje jej się porozumieć na tyle, że biuro powiadamia o kradzieży komendę milicji. Od chwili kradzieży do powiadomienia milicji mija jednak z półtorej godziny. Po kilkunastu minutach jest na miejscu lejtenant Aptekariew.

— Jak wyglądał złodziej? — mówi Halina W. **— Tak jakoś sympatycznie, przystojny, elegancko ubrany, wcale nie wyglądał na złodzieja. Kto by pomyślał... Nie widziałam go dobrze. To trwało kilka sekund. Widziałam go z tyłu i trochę z boku. Włosy miał krótko ostrzyżone. Koszulę jasną... Krawat? Tak, na pewno miał!... Garnitur granatowy...**

Inspektor telefonuje. Rozmawia przez chwilę, a na koniec zamawia samochód. Schodzimy na dół w czwórkę: będziemy jeszcze potrzebni. Gdzie jedziemy? Ulica Bolszaja Polanska 31/34, wtaroje, otdielienije milicji.

Wychodzimy przed hotel, ale deszcz i wiatr wpędza nas z powrotem do hotelowego foyer. Palimy papierosy. Lejtenant jest uprzejmy, przez cały czas uśmiechnięty. Parokrotnie powtarza, że to przykra sprawa, że wstyd, że akurat musiał drań upatrzyć sobie polską turystkę. Pocieszam inspektora, że wszędzie, na całym świecie grasują złodzieje. I że wszędzie też szczególnymi względami obdarzają zagranicznych turystów, że w Polsce...

Lejtenant Władimir Aptekariew był w Polsce. Poznał tylko Katowice, ale dobrze zapamiętał życzliwość i gościnność Polaków. A tu, cholera, taka głupia sprawa. Takie przypadki często się nie zdarzają. Tego lata okradziono Bułgara. Był wstawiony i oskubano go z wszystkiego — dokumentów, pieniędzy. Wrócił do kraju z paszportem konsularnym, a w niespełna dwa tygodnie moskiewska milicja odesłała mu dokumenty i walutę.

Przed hotel zajeżdża cichutko milicyjna „Żiguli". Na przednim siedzeniu dwóch milicjantów w uniformach. Raz, dwa... sześć. Spoglądamy z Władimirem jeden na drugiego i ładujemy się w czwórkę na tylne siedzenie samochodu. Funkcjonariusze patrzą pytająco na swego szefa. A jak inaczej? Żony przecież nie zostawię. Inspektor uśmiecha się i daje znak kierowcy.

Zajeżdżamy na Bolszą Polankę. Samochód skręca w krótki zaułek i wjeżdża w bramę. Wchodzimy przez wartownię do jednopiętrowego budynku. Pusty już i cichy. Idziemy mrocznym korytarzem za lejtenantem, który prowadzi nas do swego gabinetu. Mały, skromnie urządzony pokoik. Dwa biurka obok siebie, kilka krzeseł, wieszak i żelazna szafa pancerna w kącie.

Lejtenant siada do spisywania oficjalnego protokółu. Przypominamy sobie wszystkie szczegóły: wygląd złodzieja, przebieg zajścia, zawartość torebki. Mozolnie, szczegół po szczególe. Kilka razy rozlega się dzwonek telefonu, parę też razy lejtenant Aptekariew wykręca telefoniczne numery.

— Posłuchaj, oni już coś wiedzą — zawstydza mnie żona, gdy zmęczony tłumaczeniem bezmyślnie gapię się w sufit, puszczając mimo uszu treść rozmowy.

Inspektor odwozi nas do hotelu. Na pożegnanie uśmiecha się i mówi:

— Cóż, chyba się jeszcze nie pożegnamy. Mam takie przeczucie — tu robi oko — **że będę miał okazję spotkać się jutro z wami. Okazję i powód. Jutro wieczorem wyjeżdżacie?...**

2.

Żenia Kraczok, z którym się umówiłem, ustalał właśnie w recepcji numer naszego pokoju, kiedy weszliśmy do hotelu. Witamy się — ot, tak po polsku, po rosyjsku — całując się z dubeltówki i jedziemy windą na dziesiąte piętro. Po parogodzinnych dwujęzycznych tyradach zaschło mi w gardle. Napić się chociaż herbaty, ale hotelowe bary już nieczynne, a więc się w taki ziąb do najbliższej kawiarni — strach pomyśleć. Serwuje więc — wbrew protestom żony — herbatę zalaną gorącą wodą z kranu. Wstrętna spieniona lura. Żenka popija ten okropny czaj, dyskretnie wypluwa śmiecie i uśmiechem tuszuje trudne do ukrycia obrzydzenie. A ja wypijam szklankę jednym duszkiem.

Żenka odchodzi po parogodzinnej rozmowie. W pluchę i chłód. Walę się w łóżko. Ledwie przysnąłem — zdaje mi się — a tu nagle pukanie do drzwi. Dyskretne, ale zawsze. Patrzę na zegarek: około siódmej.

3.

W drzwiach Wołodia. Z podsinionymi i zaczerwienionymi oczyma, z jednodniowym zarostem w ubłoconych butach. Przeprasza żonę za swój wygląd i za pobudkę, a do mnie:

— Znów będziesz potrzebny. Już go mamy. Zdjęliśmy go trochę wcześniej, ale chciałem dać wam trochę jeszcze pospać.

Nie chce przeszkadzać, siła więc sadzam go w fotelu. Szykuje się do wyjścia, a lejtenant walczy z ogarniającą go sennością. Z żoną umawiam się na śniadanie... i jazda.

Fot. Archiwum

Tą samą, nocną „kanariejką" jedziemy na komendę. Wołodia wyskakuje po drodze. Opiekę nad nami przejmuje jego przyjaciel i najbliższy współpracownik, też inspektor — **starszy lejtenant, Jurij Gierasimow.** Sympatyczny, młody chłopak, żartami odganiający od siebie sen. Widać też po nim nieprzespaną noc. Na przednim siedzeniu starszy nieco, poważny, w okularach — oficer śledczy, **lejtenant Władimir Tarasow.**

I znów gabinet numer dziesięć. Znów sążniste protokóły, które tym razem, za moim pośrednictwem, wypełnia śledczy Tarasow.

— Czy poszkodowana rozpozna przestępcę? — pada wreszcie pytanie.

Wobec braku zaufania Haliny W. do własnej pamięci, oficer śledczy rezygnuje z przygotowanej już konfrontacji. Podsuwa jej tylko kilka dowodów osobistych. Niech spróbuje chociaż rozpoznać na zdjęciu. Uśmiecha się, kiedy wybór okazuje się trafny.

Przystępujemy do spisywania zasadniczych dokumentów. W związku z tym zostaję zaprzysiężony. Teraz już jako tłumacz przysięgły i prawie pracownik moskiewskiej milicji odpowiadam — no, nie głową — za każde przetłumaczone w jedną czy drugą stronę słowo.

Tymczasem Jura Gierasimow ciągle pracuje. Złodziejaszek wprawdzie nie profesjonalista, ale raz już karany. Przez długi czas siedział cicho i spokojnie. Aż tu nagle... Dokumenty wrzucił do skrzynki pocztowej. Cała noc stał przy niej funkcjonariusz milicji, niestety, na chwilę przed ustaleniem tego faktu pracownicy poczty opróżnili skrzynkę. Teraz trzeba zatrzymać całą machinę pocztową, uzyskać zezwolenie na odebranie dokumentów. Nie tak łatwo pozbierać też inne skradzione przedmioty.

4.

Umawiamy się więc na czwartą po południu. Do tego momentu nasi gospodarze mają już nadzieję uporać się z odszukaniem całej zawartości skradzionej torebki. Przypominam sobie nagle, że wczoraj wieczorem umówiłem się na dziś, na czwartą, z Żenką pod pomnikiem Mitina i Pożarskiego na Placu Czerwonym. Przyjeżdżamy na Bolszą Polankę przed czwartą. Wyjaśniam, w czym rzecz, uzyskując półgodzinne zwolnienie (ostatecznie pracuje tu czy nie?) od zajęć tłumacza. Jedziemy z żoną trolejbusem na Plac Czerwony. Żenka czeka już trzy kwadranse. Wielkodusznie kwituje moje przeprosiny i zabiera żonę na zakupy do „Dietskiego Mira" a ja znów w trolejbus...

Dokumenty już są. Dowód osobisty, wkładka paszportowa. Mundurowy funkcjonariusz przynosi celofanowy worek, wypełniony przedmiotami. Lejtenant Tarasow wykłada jeden po drugim, przystępując do szczegółowego opisu.

Do pokoju zagląda naczelnik — **starszy lejtenant Anatolij Pimienow.** Potężny grubas o prostodusznej twarzy. Gratulacje kwituje skromnym: Cóż, zdarza się...

Wpada też Wołodia. Trzyma w ręku plastikowe etui z turystycznymi folderami, książeczką walutową i deklaracją celną. Nie, wcale nie poszedł rano spać. Jest jeszcze bardziej zmęczony i ubłocony.

Lejtenant Tarasow pisze. I ja piszę. W imieniu poszkodowanej — „zajawlienija" i „razpiski". Składam podpis za podpisem. A założona wczoraj teczka rośnie do rozmiarów tłustego skoroszytu, stanowiąc materiał dowodowy przeciwko złodziejowi.

Wreszcie ostatni podpis. Wołodia zobowiązuje się odwieźć mnie do hotelu. Tam, w naszym pokoju czeka już od paru godzin żona — nie powiem, w humorze znakomitym — i Żenka, w nie najlepszej kondycji psychicznej, a do tego chrypiący i kaszlący, bo się zdążył na dobre przeziębić.

Atmosfera się jednak natychmiast poprawia. Na tapecie ciągle operacja: „Torebka". Wołodia nie chce chwalić siebie i swego kolegi, Jury Gierasimowa, z którym przepracował nad tą sprawą kilkadziesiąt godzin. Wykręca się:

— Tajemnica służbowa!

Wyciągam z niego tylko, że złodziej przymknięty został w mieszkaniu swojej żony, w odległości przeszło godziny jazdy samochodem od miejsca przestępstwa. Jak go złapano w ośmiomilionowym mieście, które na domiar złego nawiedzają dzień w dzień dwa miliony turystów — nie wiem właściwie po dziś dzień. Do tego rysopis okazał się niedokładny, bo i włosy długie i marynarka nie garnitur, i facet bez krawata...

Gadamy więc o wszystkim, o pogodzie i literaturze, dzieciach i medycynie... Wołodia skończył prawo, a potem szkołę kryminalistyki. Jego żona, Ałła, córka znanej pary aktorskiej Sowietkianów, jest lekarzem psychoterapeutą. Zna trochę język polski, uczy się go, aby móc korzystać z naszej literatury medycznej w oryginale.

Wołodia zbiera się do wyjścia. Wzbrania się przed przyjęciem drobnych upominków dla siebie, Ałły i ich trzyletniej Aksjuszy. Drobiazgów — takich, jakie zabiera się w podróż z myślą o znanych i nie znanych jeszcze przyjaciołach. Dopiero groźba, że się obrazimy śmiertelnie, przekonuje go. Wychodzi razem z Żenką.

— Musicie się spokojnie spakować i przygotować, za parę godzin ruszacie przecież w dalszą podróż.

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

U PRZYJACIÓŁ

Liczne i długotrwałe więzy przyjaźni łączą Moskwę i Warszawę. Częsta wymiana delegacji rad miejskich, działaczy nauki i kultury, przedstawicieli sztuki dawno już przekroczyły ramy oficjalne. Moskiewskie Zakłady Metalurgiczne „Sierp i Młot" i Huta Warszawa, Teatr im. Wachtangowa i Teatr Polski, uniwersytety obu miast, Zakłady Wyrobów Precyzyjnych Kalibr i warszawska Fabryka Wyrobów Precyzyjnych im. gen. Karola Świerczewskiego, Fabryki Wyrobów Cukierniczych Rot-Front i Zakłady 22 Lipca — to przykłady zaprzyjaźnionych załóg, które łączy ze sobą codzienna współpraca i żywe wzajemne zainteresowanie.

Tegoroczne Dni Warszawy w Moskwie były szczególnie uroczyste. Delegację stolicy Polski powitano i goszczono bardzo serdecznie. Program obchodów był bardzo bogaty. Na terenie moskiewskiej Wystawy Osiągnięć Gospodarczych otwarto ekspozycję „Warszawa 30-lecia", zaś w gmachu Państwowego Muzeum Rewolucji ZSRR wystawę „Tradycje rewolucyjne Warszawy". W kinie „Warszawa" eksponowano polski plakat polityczny. W gmachu Wszechzwiązkowej Państwowej Biblioteki Literatury Obcej zorganizowano wystawę polskiej książki. Moskwianie mogli także obejrzeć dwie interesujące inne wystawy: „Warszawa w malarstwie" i „Warszawa w fotografii".

Na scenach moskiewskich teatrów wystawiono sztuki polskich autorów, a największe kina radzieckiej stolicy wyświetlały polskie filmy. Tradycyjny już Festiwal Filmów Polskich przebiegał w tym roku pod hasłem 30-lecia zwycięstwa nad faszyzmem i 30-lecia wyzwolenia Warszawy.

W Państwowej Sali Koncertowej wystąpiła liczna grupa polskich artystów w programie „Warszawskie gwiazdy", a koncertem symfonicznym dyrygował Witold Rowicki.

* * *

Niezwykle bogaty jest tegoroczny jesienny sezon kulturalny w Pradze. Część tych imprez związana jest z Polską.

Już od kilku tygodni w nadwełtawskiej stolicy wyświetlany jest film Jana Rybkowskiego — wg powieści Reymonta — „Chłopi". Film ten cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem widzów. Również wiele uwagi poświęciła mu krytyka filmowa. Czechosłowaccy krytycy podkreślają, iż sięganie przez naszych filmowców do polskiej literatury stwarza wielkiej międzynarodowej widowni możliwość zapoznania się z najwybitniejszymi dziełami pisarzy polskich. Wiele spośród tych filmów — pisze czechosłowacka prasa — ukazując minione dzieje polskiego narodu, stanowi świadectwo wielkich przemian, a zarazem dowód współczesnego bogactwa kulturalnego polskiego społeczeństwa.

Nakładem wydawnictwa „Czeskoslovensky Spisovatel" ukazała się kolejna polska książka — „Bołdyn" Jerzego Putramenta, tłumaczona już uprzednio w 1972 roku na język słowacki.

W centrum Pragi otwarta została wystawa plakatu Jana Młodożeńca. Ekspozycja ta cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem i uznaniem zarówno specjalistów jak i zwykłych bywalców. Wymownym tego dowodem jest fakt, iż w polskim sklepie w Pradze z ludowymi wyrobami, przy stoisku sprzedaży polskich plakatów, stoją codziennie w kolejce dziesiątki osób.

Ogromne zainteresowanie wywołało ostatnio spotkanie Ignacego Gogolewskiego z przedstawicielami praskiego życia kulturalnego, zorganizowane w Polskim Ośrodku Kultury i Informacji. Podczas prelekcji znany aktor i reżyser, przedstawił rozwój polskiego teatru w minionym trzydziestoleciu oraz omówił aktualne problemy sceny polskiej.

* * *

Do Olimpiady 1980 zostało jeszcze prawie pięć lat, ale w Moskwie odbyły się już pierwsze olimpijskie wprowadziny. W domu nr 22a przy ul. Gorkiego — głównej ulicy stolicy radzieckiej — zaczęła działać kwatera główna komitetu organizacyjnego XXII igrzysk olimpijskich.

Przez kilkanaście dni Moskwa będzie miejscem spotkania na najwyższym szczeblu przedstawicieli 24 dyscyplin sportu.

W XXII igrzyskach olimpijskich uczestniczyć będą drużyny z około 140 krajów. Do Moskwy przyjedzie w składach drużyn narodowych około 12 tysięcy osób oraz 650 osób do Tallina. Zawody będzie sędziowało 3,5 tysiąca arbitrów różnych dyscyplin sportu. Przebieg i wyniki olimpiady moskiewskiej relacjonować będzie około siedmiu tysięcy dziennikarzy zagranicznych i około półtora tysiąca dziennikarzy radzieckich.

Na potrzeby igrzysk olimpijskich opracuje się zupełnie nowy jednolity system informacyjny ASU—Olimpiada. Będzie on gromadził i sprawnie opracowywał wyniki wszystkich zawodów olimpijskich, przekazywał najważniejsze z nich na tablice świetlne, wydawał biuletyny prasowe dla dziennikarzy, zestawiał dla krajów uczestniczących specjalne protokoły, w których będą najdokładniej przeanalizowane wyniki ich przedstawicieli.

Pamięć systemu ASU—Olimpiada dysponowała będzie najprzeróżniejszymi wiadomościami: międzynarodowymi regulaminami wszystkich olimpijskich rodzajów sportu, wynikami sześciu pierwszych miejsc osiągniętymi podczas współczesnych olimpiad, mistrzostw świata, mistrzostw poszczególnych krajów, rekordami świata, kontynentów i krajów. Jak się przypuszcza, system ten będzie dysponował pamięcią równą 25 tysiącom stron tekstu.

Z rosnącym niepokojem śledzi świat wydarzenia w Chile, w kraju który faszystowska junta Pinocheta przekształciła w wielki polityczny obóz koncentracyjny. Panujący terror — łapanki, obławy, zastraszanie, tortury — przypomina nazistowskie metody eksterminacji ludności pobitych krajów w okresie II wojny światowej. Państwowy Urząd Wywiadowczy jest centralnym organem władzy koordynującym działalność przeróżnych wojskowych służb wywiadowczych i politycznych. Pozostaje pod bezpośrednim kierownictwem Pinocheta.

CHILE

FAKTY DEMASKUJĄ ZBRODNIE JUNTY

Dziesiątki tysięcy Chilijczyków przebywa w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Praworządność nie istnieje. Sądy „pracują" dzień i noc, ponieważ masowe aresztowania nie ustają. Każda próba opozycji jest bezlitośnie tłumiona. W wyniku rządów junty, handlowy deficyt Chile sięga już sumy 300 milionów dolarów, szerzą się nędza i głód. Mimo ostrej cenzury prasy, przedostają się na zewnątrz wstrząsające fakty zbrodni junty.

Obecnie reżim chilijski prowadzi szumną kampanię, do której wprzęgnięto wszystkie środki masowej propagandy, usiłując przekonać społeczeństwo do oficjalnej rządowej wersji o losie 119 tak zwanych ekstremistów chilijskich, którzy rzekomo zginęli w Argentynie. Rząd kłamie, wiadomo bowiem, iż zostali oni aresztowani kilka miesięcy temu przez chilijski kontrwywiad wojskowy. Co więcej — nazwiska 115 ofiar junty, spośród owych 119, figurują na podaniach, które skierowały do sądu rodziny aresztowanych z prośbą o wyjaśnienie motywów tego kroku władz.

Jak podaje korespondent „New York Times", pewien adwokat chilijski, który broni spraw działaczy lewicowych, aresztowanych po przewrocie wojskowym w 1973 roku, powiedział: „Podejrzewamy, iż większość tych tak zwanych ekstremistów od razu zgładzono lub zamęczono w katowniach Chile".

Rząd chilijski już dużo wcześniej potwierdził fakt aresztowania szeregu osób, o których pisze się teraz w gazetach, że zginęły za granicą. Kłamstwo goni kłamstwo. Zarówno rząd Pinocheta jak i prasa niejednokrotnie informowali o rzekomych starciach między policją argentyńską a chilijskimi „ekstremistami", w których 59 tzw. „terrorystów" zginęło w walce, zostało rannych lub zaginęło bez wieści. Jednakże władze argentyńskie oświadczają, że takie incydenty nigdy nie miały miejsca i że prasa argentyńska nie publikowała na ten temat żadnych informacji.

Jak podaje rząd chilijski, z motywów politycznych aresztowano w Chile ponad 42 tysiące osób, a zatem jeden na 250 mieszkańców kraju znajduje się w więzieniu lub obozie koncentracyjnym. Przedstawiciele Kościoła, którzy są zaniepokojeni losem więźniów politycznych, wyrażają opinię, że liczba aresztowanych jest znacznie większa i sięga dziś około 92 tysięcy osób czyli jeden aresztowany na 100 mieszkańców Chile.

Po aresztowaniach które nastąpiły tuż po przewrocie zniknęło bez śladu ponad tysiąc osób. Dane te wypływają tylko z oficjalnych podań, które przyjaciele i rodziny osób zaginionych skierowały do chilijskich sądów. Nie jest to oczywiście faktyczna liczba zaginionych, niektóre doniesienia mówią o liczbie 8—10 tysięcy. I nie jest przypadkiem, że w lipcu tego roku gen. Pinochet nie zezwolił na wjazd do Chile delegatów Komisji Praw Człowieka ONZ.

Chilijskie środki przekazu donosząc o śmierci 119 „ekstremistów" poza granicami kraju, usiłują udowodnić wszem i wobec, że międzynarodowe organizacje mylą się, sądząc, iż znajdują się oni w chilijskich obozach koncentracyjnych. Informuje się także, że „ekstremiści" należą do chilijskiego Lewicowego Ruchu Rewolucyjnego (MIR). „El Mercurio" oraz inne chilijskie gazety, jak również przedstawiciele rządu, podnieśli wielki hałas wokół sprawy znalezienia, 12 lipca br. w Argentynie zniekształconych i częściowo zwęglonych zwłok dwóch mężczyzn. Argentyńska policja odkryła je w rejonie Buenos Aires. Przy zwłokach znaleziono dokumenty osobiste na nazwiska obywateli chilijskich: Luisa Alberto Gwendelmana Visnjaka i Chaima Robotama Bravo. Na kartkach papieru leżących przy zwłokach widniały napisy: „Zgładzeni przez organizację MIR".

Jednakże te rządowa wersję śmierci Visnjaka i Bravo odrzuciły ich rodziny. W oświadczeniu złożonym pod przysięgą i poświadczonym przez notariusza, matka Luisa Alberto Gwandelmana — Sara Visnjak — zeznała, iż po osobistych oględzinach zwłok nie rozpoznaje w nich ciała swego syna. Powiedziała ona, że w dzieciństwie usunięto jej synowi lewe biodro i kość w okolicach kręgosłupa. W zwłokach, które oglądała w Argentynie obie te kości były nie naruszone. Podczas oględzin zwłok Sara Vinsjak powiedziała również: „Ma krzywe zęby, a niektórych nie ma w ogóle. Mój syn miał wszystkie zęby zdrowe i na miejscu". Jej oświadczenie przekonało lekarza sądowego argentyńskiej policji.

Brat Chaima Robotamo Bravo — Hillermo Robotamo Bravo — równie zdecydowanie odrzucił oficjalna chilijską wersję śmierci swego brata. W oświadczeniu złożonym pod przysięgą i notarialnie poświadczonym, zeznał, że pokazane mu przez władze argentyńskie ciało nie ma nic wspólnego z jego bratem Chaimem, 24-letnim studentem. „Zwłoki, w których rzekomo rozpoznano mego brata — oświadczył Hillermo Robotamo — miały 167 centymetrów wzrostu, a mój brat miał 173 centymetry wzrostu". Różnica wynosi sześć centymetrów. Poza tym na dowodzie tożsamości, znalezionym przy zabitym, była fotografia nie jego brata. To samo dotyczyło podpisu i numeru dokumentu.

Ze słów krewnych Chaima Robotamo Bravo, którzy w początkach tego roku poinformowali władze o jego zaginięciu, wynika iż aresztowały go chilijskie władze bezpieczeństwa w Santiago 31 grudnia 1973 roku. W sądzie chilijskim znajduje się także nota służbowa, w której się stwierdza, iż Gwendelman został aresztowany przez funkcjonariuszy chilijskiej służby bezpieczeństwa dnia 2 września 1974 roku we własnym mieszkaniu i w obecności jego żony.

Jednakże władze chilijskie nie przyznały się, że Gwendelman i Robotamo zostali aresztowani. Nie poinformowały także o ich uwolnieniu lub ucieczce. Do złudzenia przypomina to metody hitlerowskich oprawców.

Tymczasem, kilka miesięcy temu, władze oficjalnie potwierdziły aresztowanie niektórych spośród owych 119 „ekstremistów", którzy, zgodnie z urzędową wersją, zostali zabici poza granicami Chile. Wśród nich figuruje na przykład nazwisko 22-letniego Edvina Van Yurika Altamirano i jego żony Barbary Uribe Tamblay. Prasa stołeczna wymienia ich nazwiska obok nazwisk osób, które rzekomo zostały zabite lub zaginęły bez wieści poza granicami Chile. Jednakże w piśmie sygnowanym przez ministra spraw zagranicznych Chile i przesłanym do ambasady brytyjskiej w Santiago 18 września tego roku, utrzymuje się, iż wspomniana para małżeńska „przebywa w areszcie prewencyjnym w związku z toczącym się śledztwem i stan jej zdrowia jest zupełnie zadowalający". Ambasada brytyjska zażądała oficjalnego wyjaśnienia w tej sprawie, bowiem krewni obojga małżonków mieszkają w Anglii.

Rząd i prasa chilijska, w informacjach o Chilijczykach „zabitych za granicą", opierają się na informacji, opublikowanej rzekomo w brazylijskim piśmie „O Dia of Curitiba". Na łamach tego pisma, jak twierdzą rząd i prasa chilijska, wspomniano, że 59 chilijskich „ekstremistów" zostało zabitych, ranionych lub zaginęło bez śladu po starciu z policją brazylijską w dniu 24 lipca br. w północno-zachodniej prowincji kraju — Salta. Jednakże władze brazylijskie oświadczyły, że takiego incydentu w ogóle nie zanotowano. Ponadto, jak wynika z doniesień prasy brazylijskiej ani w Kurytybie, ani w całym stanie Parana, w ogóle nie istnieje pismo pod nazwą „O Dia of Curitiba".

Chilijskie władze i prasa powołują się na jeszcze jedno źródło — dziennik argentyński „Li", w którym zamieszczono artykuł nadesłany 15 lipca z Mexico. Podano w nim rzekomo, że ciała 60 zabitych chilijskich „ekstremistów" zostały znalezione w Argentynie, Kolumbii, Wenezueli, Panamie, Meksyku i Francji. Jednak w doniesieniach z tych krajów na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy, brak jakichkolwiek informacji na ten temat.

24 lipca, jak podaje korespondent „New York Times", chilijska gazeta urzędowa „La Patria" zamieściła oświadczenie naczelnika wydziału praw człowieka w min. spraw zagranicznych Chile, majora Enrico Sida, w którym twierdzi, iż „argentyński dziennik „Li" nie ma wyraźnej linii politycznej i redaguje go duża grupa osób". Sid podał przy tym dokładny adres tej redakcji. Jednakże redakcji pod tym adresem nie odnaleziono. Widocznie ów domniemany dziennik wyraża poglądy grupki argentyńskich faszystów.

I tak rządowa wersja o losie 119 rzekomych „ekstremistów" chilijskich w obliczu niezbitych faktów, okazała się cynicznym kłamstwem oprawców. Tragiczny los tych ludzi, bezprawie, morderstwa, dyskryminacja — to zaledwie znikoma część dowodów oskarżających wojskową juntę chilijską o gwałcenie elementarnych praw człowieka.

JERZY CZECH

■ Z MYŚLĄ O POKOJOWYM ROZWOJU
■ CZY DYKTATOR ODDA WŁADZĘ?
■ DLACZEGO OCHŁODZENIE?

„Sejm, stwierdzając zgodność uchwał konferencji z żywotnymi interesami naszego państwa i narodu, potwierdza wolę Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej przestrzegania tych uchwał i konsekwentnego działania na rzecz pełnego wprowadzenia ich w życie. Tak, jak dotychczas międzynarodowa działalność naszego państwa sprzyjać będzie pokojowemu rozwojowi Polski, Europy i świata, umacnianiu pokojowych stosunków i międzynarodowej współpracy".

Przytoczyliśmy fragment **uchwały Sejmu w sprawie wyników Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie**. Podjęto ją w ub. tygodniu — w czasie 29 plenarnego posiedzenia Sejmu, po oświadczeniu premiera Piotra Jaroszewicza i dyskusji. W ten sposób posłowie wyrazili wolę swych wyborców wykonania w pełni postanowień helsinskiego szczytu, zawartych w Akcie Końcowym.

Jak wiadomo, Polska ma istotny udział w ukształtowaniu i pogłębianiu polityki odprężeniowej. Domagaliśmy się i stwarzaliśmy po temu warunki, aby współżycie państw opierało się na uznaniu rzeczywistości terytorialnej i politycznej. Wnieśliśmy ważki wkład do normalizacji stosunków w Europie środkowej. Rozwijaliśmy dwustronne stosunki, podpisując szereg deklaracji i zawierając liczne porozumienia. Zbliżaniu państw służyły wizyty i spotkania w Warszawie i wielu stolicach świata. Można więc stwierdzić, że zadania, jakie nakreśliliśmy sobie na VI Zjeździe PZPR, szczególnie w rezolucji na temat bezpieczeństwa i współpracy w Europie, zostały wypełnione. Teraz chodzi o to, aby postanowienia z Helsinek całkowicie wprowadzone zostały w życie. Będziemy przyczyniać się do tego swoją polityką i praktyką międzynarodową.

W toku obrad Sejmu podkreślano, że nigdy nie rozważaliśmy spraw europejskich w oderwaniu od problemów światowych. Doświadczenia naszego kontynentu — dotychczasowe i przyszłe — mogą być przydatne również poza Europą — wszędzie tam, gdzie czynić się będzie wysiłki na rzecz tworzenia regionalnych systemów bezpieczeństwa. Jesteśmy bowiem przekonani, że zadaniem obecnych pokoleń jest ustanowienie sprawiedliwego i niepodzielnego pokoju na całym globie ziemskim.

Polska utrzymuje stosunki dyplomatyczne i handlowe ze 150 krajami świata. Właśnie wtedy, kiedy obradował Sejm, **w Bagdadzie kończył wizytę przewodniczący Rady Państwa — H. Jabłoński.** Przyczyniła się ona do dalszego zacieśnienia stosunków przyjaźni i współpracy między Polską a Irakiem. Oba kraje stwierdziły możliwość pełniejszego współdziałania we wszystkich dziedzinach, a zwłaszcza na polu gospodarczym.

Zmieńmy teraz temat i skierujmy uwagę Czytelników na daleki zachód Europy — **Hiszpanię.** Skłaniają nas do tego **komunikaty o ciężkiej chorobie 82-letniego Franco i w związku z tym liczne spekulacje na temat przejęcia władzy.** Rozważa się, czy wnuk dyktatora, desygnowany jeszcze przed sześciu laty na jego następcę, przejmie władzę tymczasowo, czy też uzyska już na stałe prerogatywy szefa państwa. Przypomina się, że parlament hiszpański może uznać gen Franco za niezdolnego do sprawowania urzędu dwiema trzecimi głosów. Wtedy Juan Carlos zostałby następcą generała automatycznie.

Dla wielu madryckich polityków byłoby to rozwiązanie zbawienne, pozwalające otrząsnąć się z głębokiego kryzysu, w jaki wpadła Hiszpania, w stosunkach wewnętrznych i zagranicznych. Przypomnijmy, iż do pogłębienia owego kryzysu przyczyniła się egzekucja pięciu bojowników antyfaszystowskich, dokonana mimo powszechnych protestów. Z całą pewnością jednak książe Carlos nie byłby akceptowany przez przywódców opozycji, którzy po blisko 40 latach autorytatywnych rządów domagają się reform demokratycznych.

Na najbliższej przyszłości Hiszpanii ważyć mogą wydarzenia w sąsiadującej Portugalii.

Przegląd wydarzeń międzynarodowych kończymy kilku zdaniami komentarza **na temat wizyty sekretarza stanu USA — H. Kissingera w Pekinie.** Jego rozmowy miały na celu przygotowanie przyjazdu prez. Forda. O tej przyszłej prezydenckiej wizycie wiemy jednak niewiele, nie sprecyzowano bowiem jej daty, zadowalając się ustaleniem ogólniejszym, że będzie miała miejsce pod koniec listopada. Stało się tak dlatego, ponieważ Pekin „nie jest zadowolony" z Waszyngtonu. Obserwatorzy polityczni wyjaśniają, że chodzi tutaj o udział Stanów Zjednoczonych w procesie odprężenia, który maoistyczne kierownictwo uznaje za niebezpieczny dla siebie.

W. SŁAWSKI

TEATR

„PIGMALION" „LITOŚĆ BOGA" I CO DALEJ?

I oto sezon w **Teatrze im. S. Jaracza** został otwarty. Duża Scena zaprezentowała romans Georga Bernarda Shawa **„Pigmalion"** w reżyserii **Czesława Wołłejki**, natomiast na Małą Scenę zaproszono widzów do dyskusji nad problemem egzystencji ludzkiej w ujęciu adaptatorów powieści Jean Cau **„Litość Boga"** w reżyserii **Jana Maciejowskiego**.

Podczas, gdy **„Rozenkranz i Guildernstern"** T. Stopparda i **„Dom"** D. Storeya na Małej Scenie stanowią doskonały kontekst dla powieści Jean Cau, tak repertuar Dużej Sceny w ubiegłym sezonie nie daje takiego kontekstu dla **„Pigmaliona"** G. B. Shawa. A oto pozycje, które wystawiono tu w sezonie 1974/1975: S. Mrożek **„Tango"**, J. Janczarski **„Kopeć"**, K. Makuszyński **„Szaleństwa panny Ewy"**, W. Szekspir **„Burza"**, St. Grochowiak **„Okapi"**, St. Tym **„Kochany panie Ionesco"**.

Natomiast propozycje, które teatr ma zamiar wystawić w nadchodzącym sezonie pozwalają **„Pigmaliona"** zobaczyć w zasadniczo odmiennej sytuacji. Na Dużej Scenie przeważać będzie repertuar klasyczny, a więc M. Meeterlinck **„Wnętrze"**, W. Szekspir **„Koriolan"**, Molier **„Mizantrop"**, A. Strindberg **„Sonata widm"** Z. Krasiński **„Nieboska komedia"**. Profil repertuarowy Małej Sceny pozostanie bez zmian: **„Gra miłosna"** wg Strindberga i de Sade'a, M. de Guelderode **„Szkoła błaznów"**.

To jednak tylko propozycje repertuarowe. Trudno powiedzieć, jaki kształt artystyczny otrzymają, jakie wartości każdy z twórców będzie chciał przekazać poprzez ten repertuar. Jedno natomiast jest pewne, że nie może on otrzymać takiego kształtu artystycznego, jak **„Pigmalion"** i **„Litość Boga"**. Oba spektakle bowiem symbolizują trudności, jakie przeżywa Teatr im. S. Jaracza. Widać je i w **„Pigmalionie"** i w **„Litości Boga"**. W sztuce G. B. Shawa winą za taki stan rzeczy obarczyć należy reżysera, który po prostu nie ustalił zasadniczej, nadrzędnej stylistyki spektaklu i pozwolił na kalejdoskopowość propozycji aktorskich. A przecież wydaje się, że pewna skrótowa umowność kompozycji scenicznej sugerowała styl, który w Teatrze im. S. Jaracza zawsze był czysty i jednolicie formułowany. Podobnie w **„Litości Boga"**, wydaje się, że zabrakło jedności formy między adaptacją a realizacją sceniczną (analogia struktur), zabrakło także jasności ideowej i filozoficznej postawy. Zwłaszcza, że u Jean Cau jest ona tak przewrotna a jednocześnie tak przejrzysta i jednolita.

Założeniem Teresy Worono i Jana Maciejowskiego adaptatorów **„Litości Boga"** było maksymalne „obciążenie" aktora, było stworzenie aktorskiej sztuki. Kameralizująca powieść Jean Cau sprzyja temu zabiegowi. Nakłada to na realizatorów ogromne zadania, aby w sposób czytelny przekazać środkami aktorskimi ciężar filozoficzny powieści, która w latach sześćdziesiątych stała się bestsellerem na skalę europejską i zajmuje do dziś niebagatelne miejsce w literaturze światowej.

Czy jednak owe trudności, które przeżywa teatr, tak silnie związany z historią naszego miasta, są symptomem niepokojącym? Wydaje się, że aż tak źle nie jest, albowiem kierownictwo i zespół Teatru im. S. Jaracza posiada świadomość swoich wielkich możliwości artystycznych, którym już niejednokrotnie dał wyraz.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

Teatr im. S. Jaracza, Duża Scena. G. B. Shaw „Pigmalion". przekład: Kazimierz Piotrowski. reżyseria: Czesław Wołłejko, scenografia: Elżbieta Iwona Dietrych. 21. IX. 1975. Mała Scena. Jean Cau „Litość Boga", przekład: Krystyna Dolatowska, adaptacja: Teresa Worono i Jan Maciejowski, reżyseria: Jan Maciejowski, scenografia: Barbara Krawczyk-Szajdzińska. 4. X. 1975.

OBYCZAJE

Dzwony w Zakopanem

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Dalszy ciąg ze str. 1

się tylko pięć minut, ale kaplica była już pusta. Żadnych tłumów, żadnych samochodów; gdzieś w oddali, pod parkanem kilkanaście osób pochylało się nad dołem. Kiedy dobrnąłem tam błotną ścieżynką, ksiądz i jego pomocnicy kończyli już rutyniarski lament śpiewany i do dzieła przystąpili grabarze.

Zapytałem na wszelki wypadek, czyj to pogrzeb. Zażywny jegomość potwierdził:

— **JEJ.**

— Przemawiał ktoś?

— **Nie.**

— Jest może ktoś z Warszawy, albo z Krakowa?

— **O rodzinę panu chodzi?**

— Raczej o tak zwane władze kulturalne.

— **Panie,** — Puknął się dyskretnie w czoło. — **Do lepszych nie przyjeżdżali.**

Delikatność zabrania opisywać dalszy ciąg ceremonii, która zresztą skończyła się szybko. Rodzina, przyjaciele i nieliczni gapie ruszyli błotną ścieżynką do wyjścia. Przy świeżej mogile pozostał tylko drobny, dostatnio ubrany człowieczyna w ortalionowym płaszczu, włochatym szaliku i płaskiej czapeczce. Człeczyna ten, śledzący do niedawna z wytężoną uwagą twarze żałobników, wciąż zmieniający kąt widzenia, aby przypadkiem nie uronić jakiegoś gestu czy uśmiechu, teraz zabrał się bez żenady do podglądania wieńców. Wyciągał spod kwiatów fioletowe wstęgi, czytał napisy. Nie musiałem go nawet zagadywać — sam zwrócił się do mnie z pierwszą uwagą:

— **Matka nie przyjechała.**

— Stara już pewnie — powiedziałem.

Przytaknął głową:

— **Dziewięćdziesiąt lat. Ale nie przyjechała także trzecia siostra.**

— A druga?

— **Druga tak. To ta w karakułach, z biżuterią. Widziałeś pan?**

— Widziałem.

— **W Londynie mieszka, wie pan... w samolot i sprawa załatwiona. Robiłem ją kiedyś na Gubałówce...**

Spojrzałem na niego zdziwiony.

— Pan jest fotografem?

— **Nie.** — uśmiechnął się. — **Kelnerem.** — Wycelował palcem w świeżą mogiłę — **JĄ też robiłem. W „Watrze" ją robiłem, wierzy mi pan?**

— Jak najbardziej.

— **Trzech jej mężów także samo robiłem. Pamiętam raz u „Karpowicza"...**

Rozplotkował się. „Karpowicz" był tam, gdzie dzisiaj jest „Koktail". To były czasy! Ludzie mieli gest, potrafili zabawić się, popić, zjeść inteligentnie; człowiek wyszedł przy nich na swoje...

— Ale popatrz pan — mówię. — Taka sława, a pogrzeb cichutki, mało kto przyszedł.

— **Sława jest krótka** — powiedział kelner. — **Nie starcza jej na życie, to co dopiero na śmierć. Zaraz dam panu przykład... Robiłem w „Watrze" aktorkę, co grała w filmie „Biały kieł", czy coś takiego. Z Holoubkiem w tym filmie grała i panie, jak ona przychodziła do „Watry", to wszystkie chłopy stawały na głowie, żeby z nią zatańczyć. Wierzy mi pan?**

— Obowiązkowo!

— **Ładna laleczka, panie, dwadzieścia parę lat. Robiłem ją zawsze przy tym samym stoliku i ona nie raz do mnie mówiła: — Panie Kaziku, ja tych mężczyzn bardzo szanuję i poważam, ale nie mam już siły tańczyć, zrób pan coś, żebym nie musiała tańczyć?**

— Jak ona się nazywała?

Fot. Archiwum

— **Zaraz... chyba jakoś na „de"... Ale czy to ważne? Jak mówię panu, że to była sława, to możesz mi pan zaufać. Nie było w kraju człowieka, żeby jej nie znał, a góralki, panie, to składały do niej ręce z drugiej strony chodnika. I wyobraź pan sobie, minęło parę lat... Nie robiłem już wtedy w „Watrze", tylko u „Jędrusia". Wracam kiedyś do domu nad ranem i co widzę: gość niesie tę laleczkę na rękach, ona, że tak powiem, w sztok pijana, popuszczająca z ust, to on się zdenerwował, cisnął ją na chodnik i odszedł, i nie było, panie, chłopa, żeby ją zaholował do domu, wierzysz mi pan?**

— Absolutnie.

— **No to widzisz pan, co znaczy sława.**

Zerknął na mogiłę artystki. Pochylając się, zaczął poprawiać kwiaty i wieńce, rozprostował potargane wiatrem wstęgi, odrzucił na bok kilka kamieni, tu i ówdzie przyklepał gołą ręką ziemię.

— Pan — mówię — całkiem jak ktoś z rodziny...

— **Robiłem ją, panie** — odparł, wycierając ręce w płaszcz. — **Jak się kogoś robi, to się pamięta... Wchodzę kiedyś do „Europejskiej", patrzę, stoi tyłem siedemnastoletnia panienka, wcięta w pasie, wiotka i mająca, panie, nogi, jakich pan jeszcze nigdy nie widział i nigdy już pan nie zobaczy. To ja zaszedłem ją z boku, żeby zobaczyć jej twarz, i wiedz pan, kto to był? ONA! Miała już wtedy prawie siedemdziesiąt lat...**

— Klasa.

— **Panie, Poezja! Miło pana widzieć, Kaziczku — powiedziała, to ja żem się prawie popłakał. Panie, ona miała znajomych! Literatów, artystów, bogaczy. Wiesz pan co? Powinni zrobić wyjątek i pochować ją na tym drugim cmentarzu. Dla niektórych, to się wyjątki robiło... Wcale nie byli tacy sławni, ani zasłużeni, ale, o!... ecie-pecie, i leżą teraz pod najlepszym granitem...**

— Zgadza się — powiedziałem.

— **A obok, panie, skromniutko, Makuszyński, Orkan, Witkiewicz, Marusarzówna.**

— Robił pan Makuszyńskiego?

Zastanowił się chwilę. I powiedział:

— **Chyba nie. Młodzieżowy jeszcze wtenczas byłem. Ale wiesz pan co... robiłem Niemena.**

— Przyjemny gość?

— **Mruczący. Na scenie się wydziera, a w lokalu ponury jak zaraza.**

— Da zarobić?

— **Eeee** — machnął ręką. Osłonił kołnierzem twarz przed deszczem, który ciął z podmuchami wiatru. Jakiś czas wpatrywał się bez słowa w kondukt żałobny, przemierzający błotną ścieżkę za kaplicą. Potem podjął: — **Ja tam, panie, w sławę nie wierzę. Kiedyś, jak byłem młodzieżowy i pokazali mi jakiegoś sławnego człowieka, to aż mnie ciary po krzyżu biegały. Ale później żem się przekonał, że wszyscy ludzie są jednacy: po gorzałce każdy biega, tyle że za różnymi potrzebami, każdy panie, bełkoce, ślini się, płacze, weźmy dla przykładu...**

Wymienił nazwiska trzech osobistości, które oczywiście robił. Opisał ich zachowanie.

— Człowiek jest człowiekiem — powiedziałem.

— **Tak jest. Ale niech się nikomu nie zdaje, że jak ma trochę więcej pieniędzy i znane nazwisko, to ludzie muszą kochać nawet jego brudy. Łapiesz pan, o co mnie chodzi?**

— Łapię.

— **Niech się takiemu nic zdaje, że jak umrze, to ludzie będą szaleć na jego pogrzebie. O!** — wystawił figę. — **Pies z kulawą nogą nie przyjdzie. A z drugiej strony... umrze nieraz zwykły gość i całe miasto wali na cmentarz. Weźmy na przykład Wojtka Sabkę. Słyszał pan o nim?**

— Nie.

— **No, widzi pan. On miał tylko sąsiedzką sławę, charakterniak, prostucha, ale trzeba było zobaczyć pogrzeb. We łzach, to można było się wykąpać, wierzysz mi pan?**

— Dlaczego nie...

— **Nawet, panie, ksiądz płakał. Nie to, co tu: odklepał swoje i do domu.**

— Pan, widzę, zna się na życiu — powiedziałem.

— **Panie...** zawiesił głos, wykrzywił usta. — **Ja już w życiu takie rzeczy widziałem, że nie byle czym się zdziwię. Weźmy dla przykładu** (wymienił nazwisko). **Znał go pan?**

— Niestety.

— **A on, panie, rządził Zakopanem. A jak przestał rządzić Zakopanem, to zaczął rządzić sportem. Kto u niego nie bywał, to ja już panu lepiej nie powiem, ale znał nawet prezydenta Finlandii. I wiesz pan, co?... Wchodzę kiedyś do prywatnej restauracji, a on za ladą w fartuchu kucharza.**

— Źle nie ma — wtrąciłem.

— **Pewnie, że nie. Ale wiesz pan: byle kto krzyczy teraz do niego: — Panie szefie, daj pan dwie kiełbaski z rożna, tylko, wiesz pan, żeby były takie inteligentne. — Nie lubiłem człowieka. Żem kiedyś sam do niego poszedł i zgadnij pan, co się stało?**

— Nie wiem.

— **Usiadłem przy stoliku, a on musiał mnie robić.**

— Prawidłowo.

— **Bo ja wiem? Coś mi się zdaje, że jak umrzę i nie będzie pogody, to będzie miał pusty pogrzeb.**

— A jak będzie pogoda?

— **Przyjdzie parę osób z ciekawości...**

Wzdrygnął się.

— Zimno — powiedziałem.

— **W sam raz.**

— Do widzenia panu. — Podałem mu rękę.

— **Idzie pan do miasta?** — zapytał.

— Tak.

— **No to idziemy razem.**

Poczłapaliśmy błotną ścieżką do bramy i potem, na oświetlonej ulicy, zrobiło się jakoś lżej.

— **Dzisiaj mam wolne** — powiedział — **ale jutro, jakby pan wpadł** (wymienił nazwę restauracji), **moglibyśmy jeszcze pogadać. Usiadł by pan przy służbowym stoliku...**

— A pan by mnie robił.

— **He, he!** — zaśmiał się, bo miał poczucie humoru. — **To jak, przyjdzie pan? Znajdzie się dla pana coś specjalnego.**

Fot. Archiwum

JOYCE

Pierwsze wydanie „Utworów poetyckich" Jamesa Joyce'a w przekładzie Macieja Słomczyńskiego wydano w 8 tys. egzemplarzy po 80 zł. Oczywiście książka rozeszła się błyskawicznie, co, rzecz prosta, nie tyle świadczy o popularności tego hermetycznego poety, co o legendzie Joyce'a. Po prostu Joyce'a wypada mieć, nawet go nie czytając.

Dlatego też w krótkim czasie Wydawnictwo Literackie wypuściło na rynek księgarski drugie wydanie „Utworów poetyckich". Niezłomny tłumacz Joyce'a — Maciej Słomczyński pisze, że „James Joyce był zapewne jednym z największych poetów, jacy kiedykolwiek żyli na naszym (...) globie, lecz w ogóle nie liczył się z koniecznością tworzenia w takim lub innym gatunku literackim" (...) Pisze tłumacz dalej, że Joyce wszystko podporządkowywał „jednemu nadrzędnemu celowi, jakim był najdoskonalszy zapis tego, co chciał powiedzieć".

A chciał powiedzieć na przykład to: „Mieliśmy che chle chleby, chusty, chodaki, chorobykur i chochle chińskie..." To cytat z dzieła życia Joyce'a „Finnegans Wake". Czytając ten pokrętny tekst, odkrywamy w nim znamiona szaleństwa lub — geniuszu. Dlatego skłonni jesteśmy wierzyć Maciejowi Słomczyńskiemu, który pisze, że „Finnegans Wake" będzie zapewne szeroko czytane w przyszłym stuleciu dopiero, a lekturą szkolną stanie się w połowie wieku XXII. Póki co jednak, będziemy czytać wiersze, może nieco mniej genialne, ale za to takie, które można mniej więcej zrozumieć. Ale „Utwory poetyckie" kupić warto. Dla poprawnuczka na lekturę szkolną jak znalazł.

James Joyce „Utwory poetyckie", Wyd. Literackie, cena 50 zł.

ŚWIAT CONRADA

Norman Sherry opisał zachodni świat Conrada. Za przedmiot swej pracy obrał utwory wielkiego pisarza powstałe w latach 1896—1906. Niektóre z nich („Jądro ciemności" i „Placówka postępu") nawiązują do osobistych przeżyć Conrada, mianowicie do jego pobytu w Kongu w latach 1890—1891.

Normanowi Sherry udało się wprawdzie wprowadzić pewne uzupełnienia do biografii Conrada, chociaż życie jego jest dobrze udokumentowane i z wyjątkiem pewnych specjalnych okoliczności nie dostarczało materiału do analizowanych dzieł.

Książka Sherry'ego, mówiąca o wielkim pisarzu polskiego pochodzenia, ukazała się w Polsce w nakładzie... pięciuset egzemplarzy i to dzięki Zarządowi Głównemu Związku Zawodowego Marynarzy i Portowców. Żadne Ministerstwo Kultury, żaden Związek Literatów, żaden Instytut Badań Literackich nie przyłożyli ręki do wydania tomu analiz literackich znanego badacza twórczości Conrada. Warto dodać, że Norman Sherry napisał również książkę „Wschodni świat Conrada", w której odtworzył świat, który pisarz znał jako marynarz, pływając po wodach Dalekiego Wschodu. Myślę, że obie te książki warte są wydania, nie w charakterze skryptu dla kilkuset osób, ale tak jak na to zasługuje pisarstwo Conrada.

Nawiasem mówiąc — piękny cykl filmów wg powieści Conrada nakręcili nie Polacy i nie Anglicy, lecz Francuzi. Dobrze, że przynajmniej telewizja polska filmy te kupiła.

Norman Sherry „Zachodni świat Conrada", Wyd. Morskie, cena 70 zł.

NARODZINY DNIA

Słynna Colette urodziła się w 1873 roku w małym miasteczku w Burgundii, zmarła zaś w 1954 roku w Paryżu. Życie jej więc było długie, ale też bardzo intensywne. W swoim czasie głośny był jej cykl o Klaudynie, zawierający cztery powieści — „Klaudyna w szkole", „Klaudyna w Paryżu", „Małżeństwo Klaudyny" i „Klaudyna odchodzi". Pisała je Colette wspólnie z mężem w latach 1900—1905. Fakt, że w rok po wydaniu powieści „Klaudyna odchodzi" rozeszła się z mężem, nie jest przypadkowy. Wszystkie jej powieści zawierają bowiem wiele elementów autobiograficznych.

Ale nie tylko literatura była żywiołem Colette. Zajmowała się również masą innych rzeczy, była mimem, aktorką kabaretową i teatralną, dziennikarką, krytykiem teatralnym, a nawet ... właścicielką wytwórni kosmetyków. W roku 1935 wybrano ją do Królewskiej Akademii Belgijskiej, a w roku 1945 do Akademii Goncourtów. Była niezrównana portrecistką ludzi, zwierząt, roślin, przenikliwym psychologiem, doskonała pejzażystką.

Wydana w serii „Klubu Interesującej Książki" — powieść Colette „Narodziny dnia" jest mniej znaną książką tej pisarki. Powstała w roku 1927 — jest owocem dojrzałych lat Colette, która wiele w niej mówi o sobie, opisuje piękno Prowansji, kreśli wizerunki przyjaciół i żegna się z młodością.

Colette „Narodziny dnia", Wyd. PIW, cena 15 zł.

EUROPA IN FLAGRANTI

Zmarły w 1966 roku Stanisław Mackiewicz-Cat, znany był szeroko z licznych, pełnych polemicznej werwy publikacji także literackich, ale głównie polityczno-historycznych. A jakże wielki kryl się za tym paradoks. Tak bardzo umiłowana przez Mackiewicza historia u schyłku jego życia wyłączna już dziedzina pisarskich dokonań, jakże się srogo z nim obeszła.

Od zarania jego działalności publicznej historia nie spełniła chyba większości oczekiwań Autora, a mimo to on jej nie przestał darzyć zainteresowaniami i uczuciem. Czynnie w niej uczestniczył i odkrywczo objaśniał, na pewno nieraz się myląc, bolał nad dziejami, które nie po jego myśli się potoczyły, polemizował z profesjonalnymi historykami, złościł się na głupotę osób historycznego dramatu.

W tomie „Europa in flagranti". Mackiewicz w felietonowej formie przedstawia na przykładzie ślepoty jednostek i rządów jak Europa w pierwszych latach XX wieku nieuchronnie brnęła do tragicznej I wojny światowej.

Kto nie znosi nudy, a uwielbia zadziorność przetkaną mgiełką zadumy nad przemijaniem w książce tej znajdzie wiele i dla własnych przemyśleń.

Stanisław Mackiewicz-Cat „Europa in flagranti", Wyd. PAX, cena 45 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

Kourouma Ahmadou „Fama Dumbuya najprawdziwszy", PIW, cena zł 25.

George Meredith „Jaśnie pani i generał", PIW, cena zł 15.
Artur Oppman (Or-Ot) „Moja Warszawa", Czytelnik, cena zł 17.

Przemysław Mroczkowski „Dżentelmeni i poeci", WL, cena zł 45.

Jean Tournoux-Raymond „Po raz pierwszy ujawnione", KiW cena zł 50.

Jerzy Harasymowicz „Barokowe czasy", WL, cena zł 18.
Ludwik Głowacki „Obrona Warszawy i Modlina na tle kampanii wrześniowej 1939". MON, cena zł 50.

Zdzisław Adamczyk „Żeromski. Z dziejów recepcji twórczości 1895—1964", PWN, cena zł 74.

Zygmunt Markiewicz „Spotkania polsko-francuskie", WL, cena zł 55.

Norman Sherry „Zachodni świat Conrada", WM, cena zł 76.
Józef Barbag „Geografia świata", WSiP, cena zł 124.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

CYTATY

Przed paroma laty w zbożnym zamiarze wykpienia autorów nadużywających obcych wyrazów, postanowiłem napisać felieton, posługując się prawie wyłącznie przebogatym zasobem słownika wyrazów obcych.

Napisałem wówczas w tym stylu: „enigmatyczne konfiguracje stylistyczne powodują efektywną ewaporacje sensu. Alearują i deranżują istotne treści..." i tak dalej w tym guście. Druga połowa felietonu zawierała przepisy wyjaśniające obce słowa. Nie trzeba dodawać, że na wymyślenie i napisanie tego felietonu straciłem kilkakrotnie więcej czasu niż na normalny felieton z głowy, „czyli z niczego".

„Odgłosy" drukowały się jeszcze w starej drukarni przy Żwirki i nawet były kłopoty ze złożeniem mojego tekstu. Prawie co drugie słowo musiało mieć u góry numerek z odsyłaczem.

Był to niewątpliwie mój felieton, choć przecież w całości został przepisany — słowo po słowie — z opasłego Słownika Wyrazów Obcych. Dlaczego o tym wspominam?

Otóż niedawno pisałem ciepło i pozytywnie o pewnej książce, która w siedemdziesięciu procentach składała się z cytatów. I niektórzy ludzie mieli to autorce za złe. Ba, nawet Prawo Autorskie przewiduje niższe stawki za cytaty niż za tekst oryginalny. To akurat nie dotyczyło autorki wspomnianej książki, ponieważ dla niej zrobiono wyjątek. Ale reguła Prawa Autorskiego jest właśnie taka.

Czy słusznie? Myślę, że nie bardzo. Autor, który opracowuje tekst na podstawie publikowanych źródeł, dokonuje ogromnej pracy i wcale sobie roboty nie ułatwia. Trzeba się przecież „przekopać" przez dziesiątki (czasem setki) książek, trzeba zgromadzić i posegregować właściwe fragmenty, aby potem powiązać je w zupełnie nową i zupełnie oryginalną całość.

Najczęściej — choć oczywiście nie zawsze — powstaje w ten sposób tekst całkowicie oryginalny, zupełnie nowa jakość literacka czy naukowa.

Przywołajmy tu dla przykładu choćby rewelacyjną książkę dra Janusza Dunina „Papierowy bandyta". Spis literatury potrzebnej do napisania tej nowatorskiej publikacji sięga trzystu pozycji bibliograficznych. A przecież była to tylko tzw. literatura przedmiotu. Dunin nie umieścił w spisie setek pozycji, które stanowiły ilustracje jego rozprawy, tych wszystkich powieści zeszytowych, kalendarzy, śpiewników, czasopism. Razem ów materiał bibliograficzny przekracza zapewne pół tysiąca pozycji.

Albo inny przykład. Urokliwa książka Ludwika B. Grzeniewskiego „Drobiazgów duch wspaniały i powietrzny...", zawierająca niezliczoną ilość szczegółów, informacji, ciekawostek z dziedziny literatury — także bogato operuje cytatem. I w tym właśnie jej uroda, jej sens i urok i — co tu kryć — jej niepowtarzalność.

Na koniec przywołam klasyka, Melchiora Wańkowicza. „Wojna i pióro" składa się prawie wyłącznie z cytatów, podobnie „Karafka La Fontaine'a"... A przecież są to dzieła w polskiej literaturze niepowtarzalne, absolutnie oryginalne. O ileż byłoby uboższe nasze piśmiennictwo, gdyby takich, jak powyższe, książek zabrakło.

Dlatego dziwi mnie rygorystyczne stanowisko twórców Prawa Autorskiego, którzy tak lekceważąco potraktowali cytaty w książkach. Jak gdyby nie rozumieli, że wyszukiwanie, gromadzenie i komponowanie setek cytatów jest tak samo twórczą pracą — czasem daleko trudniejszą — niż napisanie tekstu za podszeptem Muzy jedynie.

WIDOK

LEWYM OKIEM

PODZIEMNA SIELANKA

Wśród fantastycznych wizji Juliusza Verne jest też i taka: kilku śmiałków wchodzi w głąb niezbadanych jaskiń. Idą całymi tygodniami przez coraz to inne strefy geologiczne, aż wychodzą na cały podziemny świat, z podziemnym słońcem, lasem, zwierzyną, jeziorem i ptactwem: kawałek przedpotopowej ziemi zapadł się kiedyś nagle, sklepiły się nad nim skały i tak zostało.

Z naszej epoki nic się nie będzie musiało zapadać, bo sami, świadomie i w pocie czoła, przenosimy coraz większą część naszych spraw pod ziemię. Czy to zostanie — nie wiemy, ale jeśli zostanie to proszę bardzo: mamy już podziemne ptactwo, wcale nie w klatkach. Po peronach warszawskiego dworca Śródmieście spacerują setki gołębi, gnieżdżą się w górnych wiązaniach tunelu, niepotrzebne im słońce, śnieg, letni świt i zimowy wieczór. Kiedyś gołąb był ptakiem wędrownym, koczowniczym, jak ludy Azji Środkowej. Dziś jest ptakiem tunelowym, związanym na śmierć i życie z tym czy innym węzłem komunikacyjnym.

Sprzedawcy w kioskach i sklepach, zlokalizowanych w podziemnych przejściach dla pieszych, a także wszyscy pracownicy metra, nie mówiąc o babkach z szaletów miejskich, są ludźmi nie mniej podziemnymi niż górnicy. Patrząc na olbrzymie rozkopy pod jedno z takich przejść, na gigantyczny groźny lej wypełniony błotem i gliną, myślałem sobie: tam właśnie na dnie będzie sprzedawać kwiatki panna Tosia. A tam obok ja sam siądę przy kawie w małym bistro i oboje wcale nie zauważymy, że siedzimy w lochu, żeśmy wpełzli w dziurę wygrzebaną wśród kamieni i błota jak krety, których gustu do więcznych ciemności i ciasnoty jako dziecko nie mogłem zrozumieć.

Funkcjonują pod ziemią kwiaciarnie, rosną tam i kwitną w donicach pyszne rośliny. A więc mogą — jak ludzie — obejść się bez słońca, deszczu, rosy i wiatru. Jeśli mogą w doniczce, to dajmy więcej swobody ich korzeniom, wypełnijmy ziemią skrzynię, potem większą skrzynię, potem tak wielką jak trawnik, jak skwer przy pomniku Moniuszki. Będzie podziemny ogród, żadna fantazja, zwyczajna rzecz. Czujecie całą grozę takiej zwyczajności?

W tym ogrodzie mogą w kryształowym basenie pływać łabędzie, po trawnikach niech chodzą pawie, na brzegu może siąść listonosz z wędką i łowić podziemne karpie. Łatwo też będzie urządzić malowniczy wodospad: zrobimy małą dziurkę w rurze wodociągowej nad głową i jest. Mogą być ciepłe gejzery rodem z elektrociepłowni. Gorzej z poszumem lasu. Przeciąg jakiś można by zrobić, ale drzewa co większe rosnąć pod ziemią nie chcą. Na grzyby chodzilibyśmy zatem do pieczarkarni, przynajmniej nikt nigdy na trującego sromotnika by się nie nadział.

No i mamy podziemną wilegiaturę. Po co? Jak to po co? Skoro na wierzchu wszystko zabetonujemy na fest, tylko gdzie niegdzie wśród pustyni sterczeć będą łańcuchy żużlowych hałd i piramidy puszek, podmywane zmydlonymi strumieniami stężonego roztworu tysiąca kwasów...

ĆWIEK

PROPOZYCJE

KIEDY NAD PIOTRKOWSKĄ SUSZY SIĘ BIELIZNA

Każde miasto, a przede wszystkim każde większe miasto dąży do tego, aby zaznaczyć swoją pozycję na mapie kraju. Jest to dążenie naturalne. Podstawę dla niego stanowi potencjał gospodarczy i społeczny. Ten pierwszy objawia się udziałem w krajowej produkcji, powiązaniami kooperacyjnymi, możliwościami wytwórczymi sprzyjającymi do częstego prezentowania na krajowym rynku interesujących i prawdziwych nowości, a także atrakcyjnością produkcji mogącą zainteresować krajowych i zagranicznych odbiorców. Ten drugi potencjał — społeczny, objawia się umiejętnościami organizacyjnymi mogącymi być przykładem dla innych, jak i interesującymi, atrakcyjnymi inicjatywami, w czym nie bez znaczenia są inicjatywy kulturalne i turystyczne.

Jednym ze sposobów na popularność są festiwale. Zieloną Górę zna się na ogół z produkcji win, winiaków i wódek, maszyn włókienniczych oraz z tego, że dawno temu młodzież polska gościła tam Jurija Gagarina. Teraz wszyscy lub niemal wszyscy pamiętają i znają Zieloną Górę z festiwali piosenki radzieckiej. Opole swoją popularność zawdzięcza nie tyle „pasztetowi opolskiemu" ile festiwalowi opolskiemu. I choć wielu krytykuje tę imprezę, kręci na nią nosem, to przecież ogląda ją w telewizji, słucha później w radio opolskich przeboi. Sopot... Z Sopotem jest sprawa trochę inna, choć bez wątpienia festiwal sopocki przyczynia się do wzrostu popularności tego kurortu. Nawet uroczy Łagów był mało znaną miejscowością, nim nie zaczęli spotykać się tam filmowcy.

Łódź długo nie miała szczęścia do festiwali, choć miała instytucje i ludzi, którzy byli gotowi podjąć taką inicjatywę. Przez długie lata panowało jednak przekonanie, że miasto nie posiada właściwych hoteli, restauracji, kin, sal i całej reszty, aby mogło kusić się o posiadanie własnego festiwalu. Dziś chwała bogu kilka z tych argumentów już odpadło, no i mamy kilka cyklicznych imprez, które trudno wprawdzie nazwać festiwalami, ale które pełnią taką funkcję. Mamy przeglądy filmów: dydaktycznych i społeczno-politycznych, mamy targi estradowe, imprezy plastyczne. Teraz właśnie I Międzynarodowe Triennale Tkaniny.

Nie stałem się nagle zagorzałym zwolennikiem festiwali i nie uważam, że jest to jedyny sposób na podniesienie rangi miasta. Jeśli w kulturze miasta nic się nie dzieje, to nie pomoże żaden festiwal, nawet najbardziej międzynarodowy. A jeśli wre tu praca, to nie zawsze festiwal będzie tej pracy miarą. Ale to nie znaczy, że festiwale, przeglądy, spotkania międzynarodowe i wystawy nie są potrzebne. Tylko jeżeli już się je organizuje, to niech one w jakiś sposób odbiją się na codziennym życiu miasta, niech przechodnie w swej codziennej wędrówce zatrzymają się na chwilę i pomyślą: „co to jest to triennale?" i „jakiej tkaniny?"

Właśnie zjechali do Łodzi studenci i wykładowcy 19 szkół filmowych świata, aby dokonać II Międzynarodowego Przeglądu Filmów Studenckich. Jak słyszę, przegląd ten odbył się w Łodzi przez... przypadek. Miał bowiem być zorganizowany w... Krakowie, choć tam przecież nie ma szkoły filmowej, ale jest sława miasta festiwalowego i to miasta, które „specjalizuje się" w festiwalach filmów krótkiego metrażu. Nie wyszło jednak i trzeba było siłą rzeczy organizować festiwal w Łodzi. A powinno być odwrotnie. Miastu powinno zależeć na tym, aby taka impreza odbyła się właśnie w Łodzi, bo tu jest szkoła filmowa, bo tu jest pewien potencjał krajowego przemysłu filmowego i to wcale niebagatelny. I powinno również zależeć na tym, aby to studenckie spotkanie było widać.

Kiedy widzę na ulicy Piotrkowskiej ludzi z barwnymi plakietkami w klapach lub kiedy widzę, że rozwiesza się nad tą ulicą kolorowe szmaty, z miejsca się domyślam, że albo odbywa się jakieś międzynarodowe sympozjum lub szykuje się inna impreza czy nawet tydzień kultury na jezdni, tydzień zdrowia lub tydzień przyjaciół strażaków. Teraz, gdy to piszę, wiszą nad ulicą Piotrkowską żółte płachty w czerwone zygzaki. Jak one wiszą? Jak brudne, źle uprane szmaty. Długo zastanawiałem się, co one znaczą, aż zobaczyłem transparent: „I Międzynarodowe Triennale Tkaniny".

Susząca się bielizna nad ulicą jest ozdobą starych miast z południa Europy. Październik nie jest najlepszym miesiącem do suszenia bielizny w Polsce, a poza tym w ogóle nie ma u nas tego zwyczaju. Mniejsza zresztą o zwyczaj. Najsmutniejsze jest to, że jest to impreza plastyczna i że plastyków nie stać było na bardziej pomysłowe zaakcentowanie w życiu miasta swojej, międzynarodowej przecież inicjatywy. Przypominam sobie, że wiosną tego roku też z okazji plastycznej imprezy rozwieszono nad ulicą Piotrkowską podobnie nieestetyczne szmaty.

Nie jest moją sprawą dawać recepty na dekorację miasta. Wydaje mi się jednak, że skoro już wymyślono sensowną imprezę, której ranga i znaczenie w życiu kulturalnym kraju są wielkie, to warto było również trochę dłużej „pogłówkować", aby wymyślić również atrakcyjną formę zaakcentowania tej imprezy w społecznym życiu miasta. Szczerze zachęcam do myślenia, teraz i na przyszłość.

MARCIN RODAK

ŚWIAT NIE STOI W MIEJSCU

W Niemieckiej Republice Demokratycznej prowadzi się intensywne prace badawcze poświęcone problemowi produkcji koksu formowanego z węgla brunatnego oraz z mieszaniny węgla brunatnego z kamiennym. Nadrenskie Zakłady Węgla Brunatnego przewidują, iż produkcja ta już wkrotce będzie opłacalna. Obecnie doskonali się technologię, według której zakłady te zamierzają w roku 1978 wyprodukować 500 tys. ton koksu formowanego.

Wysokotemperaturowy koks z węgla brunatnego charakteryzują właściwosci, które pozwalają zastosować go jako czynnik redukcyjny w procesach elektrometalurgicznych i elektrochemicznych, a także do spiekania rud żelaza, do hartowania stali. Koksu tego można również użyć jako adsorbenta do oczyszczania gazów przemysłowych i wód ściekowych.

TELEWIZOR JAK OBRAZ

Telewizor ten zupełnie przypomina obraz wiszący na ścianie. Japońskiej firmie „SONY" udało się opracować probny telewizor płaski z kolorowym obrazem. Grubość jego ekranu wynosi 6,35 mm. Składa się z dwóch płyt szklanych, a przestrzeń między nimi wypełnia mieszanina argonu i par rtęci. Na jednej z płyt znajduje się 210 poziomych elektrod, na drugiej zaś 280 pionowych. W punktach krzyżowania się elektrod powstają ładunki elektryczne, pobudzające luminofor — wielokolorową substancję emitującą światło.

Obraz telewizyjny otrzymuje się z 60 tys. punktów, powstających w wyniku krzyżowania się poziomych i pionowych elektrod. Wyjątkowej cienkości telewizora (6.35 mm), odpowiada jego wielkość — jest tak mały, jak pudełko papierosów.

CZUJNIK DO WYKRYWANIA ZANIECZYSZCZEŃ

W zakładach Volvo skonstruowano i produkuje się mini-urządzenie służące do wykrywania i sygnalizowania zanieczyszczeń powietrza takich jak: metan, tlenek węgla, benzen i pary alkoholu. Średnica czujnika wynosi 11 mm, a jego długość około 25 mm.

W czujniku elementem wrażliwym na skład chemiczny otaczającej atmosfery jest „koralik" z półprzewodzącej ceramiki z wtopionym w środek platynowym drucikiem grzejnym.

Mechanizm „czucia" sprowadza się do zmian oporności czujnika pod wpływem chemicznych zanieczyszczeń. Prosty układ zasilająco-pomiarowy przystosowany jest do sygnalizowania zmian, stosownie do rodzaju zanieczyszczenia, metodą optyczną lub akustyczną.

MIKROB, KTÓRY POŻERA ROPĘ

W laboratorium amerykańskiego koncernu „General Electric Co", drogą rozlicznych krzyżówek udało się wychodować nowy rodzaj bakterii, które być może zapobiegną powodziom ropy naftowej powstającym na powierzchniach mórz i oceanów, w wyniku jakże licznych uszkodzeń tankowców.

Uzyskany w laboratorium nowy mikroorganizm jest zdolny do absorbowania 2/3 ilości węglowodorów zawartych w ropie naftowej. W wypadku awarii tankowca mógłby zostać dodany do proszku rozsiewanego w strefie zanieczyszczonej, gdzie dokonałby rozkładu części ropy, a reszta, w postaci dość dużych gruzełków, zostałaby zebrana w sposób mechaniczny.

Wychodowana przez dr Anandę Chakrabarty'ego bakteria posiada poza tym właściwość przetwarzania absorbowanych materii na substancję odżywczą dla fauny morskiej, a nawet dla człowieka.

Zdaniem szefa wydziału badań naukowych tegoż koncernu, dr Arthura Bueche, jest obecnie możliwe wychodowanie również innych mikroorganizmów w celu przetwarzania ropy naftowej na karmę dla zwierząt, a także na żywność dla człowieka.

POMPY DO CZYSZCZENIA I SKRAWANIA

Woda tłoczona pod znacznym ciśnieniem, przemieniona w strumień o dużej prędkości, może być stosowana nie tylko do oczyszczania powierzchni, ale również do skrawania. Zastosowanie jednak tych metod ograniczone jest na razie wysokim kosztem produkcji potrzebnych do tego urządzeń. Prace badawcze i doskonalące w tej dziedzinie prowadzi brytyjska firma Vickers. Podstawą tych urządzeń są pompy „Harben". Oto przykładowo jedna z nich, typu S. Przepływ wody w strumieniu — 18—50 l/min., ciśnienie — 141—351 kG/cm kw., silnik elektryczny trzyfazowy, 50 Hz, na prąd 400/440. Jako wyposażenie pomocnicze używane są między innymi dysze o strumieniu zbieżnym o dużych prędkościach oraz dysze wachlarzowe.

NOWY TYP SUPERTRAWLERA

Stocznia Północna w Gdańsku przygotowuje się do produkcji nowego supertrawlera B-418. Będzie to unowocześniona wersja jednostki już budowanej. Długość statku — 88,8 m, szerokość — 15 m, nośność eksploatacyjna — 1400 DWT. Novum również będzie nadbudówka z podwyższoną sterówką, co zapewni widoczność do 360 stopni.

Urządzenie trałowe pozwoli na operowanie dwoma włókami. Prototypowa fabryka mączki rybnej będzie miała wydajność 50 ton na dobę; inne niż dotychczas będzie urządzenie do tzw. glazurowania bloków ryb mrożonych. Zastosowany zostanie również nowy — próżniowy system ładowania worków. Statki tego typu przeznaczone są do połowów na łowiskach Oceanu Spokojnego.

Przyroda dała zwierzętom, owadom i roślinom możliwość przygotowania się na niespodzianki nie tylko atmosferyczne. Człowiek takich możliwości nie posiada. W prognozach pogody zdarzają się pomyłki. Nie potrafi przewidzieć trzęsienia ziemi czy wybuchu wulkanu. Ale człowiek może, badając zwierzęta i rośliny, poznać mechanizmy, jakie powodują zdolności „przewidywania najbliższej przyszłości". Zajmuje się tym bionika. Ciekawe przykłady zainteresowania tej nauki mechanizmami przyrody podaje Izot B. Lityniecki w książce „SPOTKANIE Z BIONIKĄ".

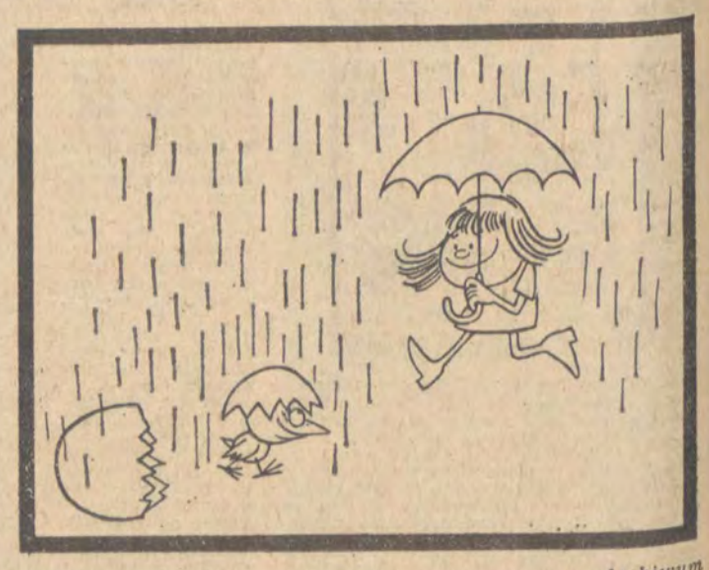

Archiwum

KTO WIE, JAKĄ BĘDZIEMY MIELI ZIMĘ?

Przewidywanie pogody jest chyba tak stare jak sama ludzkość. Przejście do życia osiadłego, uprawa roli i hodowla zwierząt bardzo uzależniły człowieka i jego gospodarkę od zmian pogody. Susze i powodzie, niszczące burze i morskie sztormy sprawiały wiele kłopotów. Trzeba było nauczyć się przewidywać zarówno niepogodę, jak i pogodę sprzyjającą pracy.

W rezultacie wielowiekowych obserwacji już w bardzo dawnych czasach odkryto szereg związków przyczynowych między rozmaitymi zjawiskami atmosferycznymi. Nauczono się rozpoznawać symptomy pogody (...)

Dziś prognozowanie pogody opiera się na mocnej naukowej podstawie. O tym, czego możemy oczekiwać od pogody jutro i w najbliższych dniach, dowiadujemy się zwykle wieczorem

Fot.: Archiwum

siedząc przed telewizorem lub słuchając przez radio komunikatu o pogodzie. Jeśli z jakiegoś powodu nie wysłuchamy komunikatu, znajdziemy go w porannej prasie (...)

W sobotni wieczór TV zapewnia, że nazajutrz możemy oczekiwać ciepłego, pogodnego dnia, pogoda będzie wietrzna, ale bez opadów. A w niedzielę mokniemy na wycieczce, prognoza okazała się chybiona. Pewien angielski meteorolog wyliczył, że z 445 prognoz pogody podawanych w okresie 6 miesięcy tylko 127 okazało się poprawnymi. Jeden z amerykańskich dzienników opublikował wywiad, jaki reporter tej gazety przeprowadził z jedną z mieszkanek San Francisco. Na pytanie, co najbardziej lubi w telewizji, pani ta odpowiedziała: „Prognozę pogody. Trzymam z mężem zakład o dolara, czy pogoda będzie zgodna z przewidywaniami, a ponieważ zawsze mam wątpliwości, w ostatnim miesiącu wygrałam 25 dolarów". A jednak ogromna większość ludzi na świecie wierzy synoptykom rozumiejąc, że w ciągu ostatnich 30 lat zrobili oni bardzo wiele i nadal wytrwale pracują nad osiągnięciem większej dokładności prognoz (...)

Dlaczego więc, mimo tak wspaniałych osiągnięć meteorologii, mamy tyle nieudanych prognoz pogody? Jednym z głównych źródeł pomyłek jest brak pełnych obserwacji meteorologicznych ze wszystkich warstw atmosfery i z trudno dostępnych rejonów Ziemi. Inną grupę błędów stanowią skutki niedostatecznej wiedzy o przyczynach i konsekwencjach szeregu zjawisk atmosferycznych, nieuchwytności niektórych czynników mogących wpływać na pogodę i kapryśnie ją zmieniać. Świadczy o tym choćby taki przykład. Między dwoma punktami oberwacyjnymi powstał maleńki wir, który nie został ujawniony. Nie wpłynął też bezpośrednio na zmianę aktualnej pogody, ale odegrał znaczną rolę w dalszym rozwoju zjawisk atmosferycznych. Zadziałał bowiem jak zapalnik, zapoczątkowując proces, który w wyniku dał zaburzenia i zmiany pogody w wielkiej skali. I choć takich przypadków nie należy uważać za regułę (stanowią raczej wyjątek), to jednak właśnie one bywają powodem błędnej prognozy. Jest jeszcze jedna okoliczność, o której nie należy zapominać. Pewna część błędów w prognozach wynika z istoty samych metod prognozowania. Rzecz w tym, że metoda przepowiadania pogody na podstawie map synoptycznych, choć oparta na naukowych podstawach, jest niedokładna z samej swojej natury. Trudno porównywać ją np. z niesłychanie dokładną metodą przewidywania zjawisk astronomicznych. Astronomowie na długo wcześniej i z dowolną dokładnością potrafią powiedzieć, kiedy nastąpi zaćmienie Słońca lub Księżyca, jakie będzie położenie innych planet. Te przewidywania opierają się na skomplikowanych obliczeniach matematycznych i błędy są tu zredukowane do minimum. Zupełnie innymi metodami posługują się synoptycy przewidując pogodę: ich wnioski oparte są prawie wyłącznie na jakościowej ocenie zjawisk i procesów. Synoptycy analizują mapę, określają położenie cyklonów, antycyklonów i frontów, w przybliżeniu określają prędkość ich przemieszczania się. Na tej podstawie i w pewnym stopniu subiektywnie ustalają, jakim zmianom ulegnie kierunek i szybkość ich ruchu. Przy tej metodzie, nawet znając przyczyny zjawiska i rozporządzając mnóstwem danych o czynnikach pogody, synoptycy nie mogą przepowiedzieć pogody z absolutną dokładnością i muszą ograniczać się do przybliżonego jej przewidywania (...)

Bionicy twierdzą, że nadszedł czas, by zmienić ten stan. Aby podnieść dokładność prognozowania pogody, należy ich zdaniem dokładniej badać fizykę atmosfery w powiązaniu z wiedzą o procesach biologicznych zachodzących w organizmach pod wpływem zmian środowiska. I oto mamy już pierwszy rezultat tego nowego kierunku w pracy bioników.

Jak podają statystyki całego świata, w morzach i oceanach każdego roku giną tysiące ludzi. Najwięcej ofiar pochłaniają huragany i sztormy powodujące uszkodzenia statków. Powstrzymać sztormu ani skierować go na inną drogę ludzie jeszcze nie potrafią. Można go jednak ominąć i schronić się w najbliższym porcie, wiedząc odpowiednio wcześnie o jego zbliżaniu się. Niestety, zwykły barometr morski „czuje" sztorm zaledwie na dwie godziny przed jego nadejściem. Jest to stanowczo za późno, nawet dla nowoczesnego, szybko płynącego liniowca. W znacznie lepszej sytuacji są morskie zwierzęta. Potrafią one, o czym od dawna wiedzą rybacy i mieszkańcy morskich wybrzeży, zawczasu wyczuć zbliżający się sztorm. Delfiny np. na długo przed nadejściem grożącego żywiołu, kiedy wskazówka barometru znajduje się jeszcze wysoko i nie ma żadnych zewnętrznych oznak szybkiej zmiany pogody, chowają się między podwodne skały, wieloryby odpływają daleko na otwarte morze, a małe skorupiaki zmieraczki, które w pogodny dzień żwawo skaczą po gładkich kamieniach tuż przy brzegu, przed nadchodzącym sztormem wychodzą dalej na brzeg. Zbliżanie się sztormu czują rekiny, mewy, pingwiny. Te ostatnie kładą się wówczas na śniegu i wyciągają dzioby w kierunku, z którego nadejdzie burza lub zamieć (...)

Spośród licznych zwierząt władających nie znanymi nam sposobami przewidywania pogody bionicy wybrali na pierwszy doświadczalny obiekt... meduzę, która — jak wykazują liczne obserwacje — na długo przed nadejściem sztormu kryje się w bezpiecznych miejscach strefy przybrzeżnej. To zwierzę o bardzo prostej budowie posiada swego rodzaju „infraucho", które pozwala jej łowić niedostępne dla ludzkiego słuchu, infradźwiękowe drgania o częstotliwości 8—13 Hz. Fale te dobrze rozchodzą się w wodzie, a pojawiają się na 10—15 godzin przed sztormem. „Infraucho" meduzy jest właściwie bardzo subtelnym narządem równowagi o stosunkowo prostej budowie. Stanowi go wypełniony płynem pęcherzyk, którego ścianki wysłane są komórkami zmysłowymi, a każda z nich ma długi włosek czuciowy. Wewnątrz pęcherzyka znajdują się drobniutkie ziarenka wapienne. Subtelne, ultradźwiękowe fale wprawiają w drganie znajdujący się w pęcherzyku płyn. Powoduje to przemieszczanie się wapiennych ziarenek, które drażnią czuciowe włoski komórek zmysłowych, przekazujących ten bodziec do układu nerwowego. Wykorzystując zasadę działania „ucha" meduzy, pracownicy katedry biofizyki Uniwersytetu Moskiewskiego zbudowali elektroniczny przyrząd, który można nazwać automatycznym „przepowiadaczem" burz (...)

Dużą nadzieją dla meteorologii instrumentalnej są prowadzone przez bioników badania swoistych „barometrów", w które wyposażone są niektóre ryby. Tak np. trzymający się dna samotnik sum przed burzą wypływa w górę ku powierzchni wody. Inna ryba — śliz — przy pięknej pogodzie potrafi leżeć na dnie akwarium tak nieruchomo, że wygląda jak eksponat w muzeum zoologicznym. Ale oto śliz ożywia się. Wyginając długie ciało, sunie wzdłuż ściany akwarium... a po pewnym czasie niebo zasnuwają ciężkie chmury. A kiedy ryba zaczyna miotać się w górę i w dół, w prawo i w lewo, tak że wydaje się, jakby cały kłąb długich, ciemnych stworów wypełnił akwarium — możemy być pewni, że za chwilę ciężkie krople deszczu uderzą w okienne szyby. Takimi żywymi „barometrami" posługiwali się wieśniacy w niektórych rejonach Chin. Trzeba przyznać, że „przewidywania" śliza są bardziej dokładne niż prognozy synoptyków — myli się on tylko w 3—5 przypadkach na 100! Bardzo wrażliwy na zmiany ciśnienia atmosferycznego jest również piskorz. Przed nadejściem słoty ryba ta wypływa pod powierzchnię. Znakomitym, wprost idealnym barometrem są maleńkie, urodziwe rybki zamieszkujące głębiny wód u wybrzeży Japonii. Wyczuwają one najlżejsze zmiany pogody, a ich zachowanie się w akwarium uważnie obserwują kapitanowie wielkich liniowców wypływających w dalekie rejsy, rybacy i mieszkańcy przybrzeżnych wiosek Krainy Wschodzącego Słońca, której sady i uprawy są niszczone przez sztormy.

Sekret maleńkich rybek, tak dokładnie przewidujących pogodę, tkwi w oryginalnej budowie ich pęcherza pławnego. Narząd ten poza funkcją hydrostatyczną (ryba utrzymuje się na dowolnej głębokości przemieszczając się pionowo w wodzie) pełni jeszcze dodatkowo bardzo istotną funkcję, potrafi on odbierać najlżejsze nawet zmiany ciśnienia, rzędu milionowych części ciśnienia początkowego. Czułość taka znajduje się już na granicy możliwości systemów technicznych. To właśnie sprawia, że japońskie rybki są niedoścignionymi synoptykami i tak cennymi pomocnikami człowieka (...)

Wspaniałymi synoptykami okazują się liczne ptaki. Przebywając stale w powietrzu i bezpośrednio odczuwając wszelkie zachodzące w powietrznym oceanie zmiany, ptaki zdobyły w ciągu milionów lat ewolucji wielką wrażliwość na zmiany ciśnienia atmosferycznego, zmiany oświetlenia (delikatne, przeźroczyste obłoki osłabiające światło słoneczne są zwiastunami niepogody), na występujące przed burzą naelektryzowanie powietrza i inne tego typu zjawiska. Na wszelkie zmiany meteorologiczne ptaki reagują przed ich nadejściem. Znajduje to wyraz w ich śpiewie oraz innych głosach, np. krzyku, w ich zachowaniu się i corocznych porach przylotów (...)

Zbliżanie się deszczu sygnalizują również mrówki i pszczoły. Mrówki zamykają wtedy starannie wejścia do mrowiska, a pszczoły siedzą w ulach i brzęczą. Muchy i osy przed deszczem usiłują dostać się do pomieszczeń, wpadają przez okna do pokoju, wlatują do wnętrza samochodu. Bezbłędnie przeczuwa nadejście burzy motyl rusałka pokrzywnik. Jeśli przy pięknej pogodzie szuka on schronienia w osłonietych od wiatru miejscach, w dziuplach drzew, w kupach suchych gałęzi, oznacza to, że za kilka godzin można oczekiwać burzy. Natomiast głośne wieczorne granie koników polnych zwiastuje pogodny dzień. Zawieszony w powietrzu potężny słup kłębiących się komarów i drobniutkich muszek także wróży pogodę. Z zachowania się niektórych owadów można wróżyć pogodę również i na dłuższe okresy. Im wyższe stają się jesienią mrowiska, tym surowsza będzie zima. Na ciężką zimę pszczoły zalepiają wejście do ula, zostawiając w nim ledwie dostrzegalny otwór, przed łagodną zimą pozostaje ono całkowicie otwarte (...)

LISTY

TEATR FAKTU?

We wrześniowym numerze „Studenta" ukazał się reportaż omawiający przebieg zebrania, na którym zespołowi teatru studenckiego PSTRĄG w Łodzi władze młodzieżowe narzuciły komisarycznego (?) kierownika.

„ODGŁOSY" w „Powiększeniach" zapytały czy to żart, czy tragifarsa?

Na pewno nie jest to żart, choć na taki może wyglądać. Fakty, które zaistniały budzą bowiem niewesołe refleksje co do odpowiedzialności i uczciwości niektórych działaczy z Rady Uczelnianej SZSP Uniwersytetu Łódzkiego. Zechciejcie zresztą ocenic sami:

Wrzesień 1974 r. Na ogólnym zebraniu członków Studenckiego Teatru PSTRĄG wybrany został nowy kierownik teatru — **Krzysztof Rutkowski.** Zawiadomione o tym fakcie Prezydium Rady Uczelnianej SZSP Uniwersytetu uznało ten wybór i zatwierdziło go.

Październik. W wyniku naboru, zespół powiększył się o 15 młodych, pełnych zapału osób. Rozpoczyna się realizacja nowego spektaklu.

Marzec 1975 r. Staraniem młodego zespołu i przy pomocy „starych pstrągów" zostaje zorganizowany jubileusz dwudziestolecia teatru. W ramach jubileuszu odbyła się premiera nowego spektaklu „Jaźni Parowej".

Kwiecień. Działacze RU SZSP pozytywnie oceniają pracę zespołu i poziom spektaklu. Potwierdzeniem tej oceny jest wysłanie teatru na Węgry, gdzie prezentujemy dwa spektakle. Rozumiemy to jako wyróżnienie — uznanie, a jednocześnie jako zachętę do dalszej pracy. Jesteśmy pełni optymizmu. Znacznie odmłodzony zespół okazał się grupą spójną, chętną do pracy. Coraz wyraźniej zarysowywała się wytworzona w trakcie pracy nad spektaklem, wspólna koncepcja teatru. Wiele obiecujemy sobie po nadchodzących miesiącach...

W maju zespół otrzymuje z Rady Uczelnianej SZSP UŁ pismo informujące o zawieszeniu kierownictwa teatru na mocy decyzji Uczelnianej Komisji Rewizyjnej. Decyzja motywowana jest **„faktem nieformalnego istnienia władz zespołu nie wybieranych jak dotychczas na drodze demokratycznych wyborów".** Jednocześnie UKR zobowiązuje Prezydium Rady Uczelnianej do mianowania komisarycznego kierownika zespołu.

Finał wydaje się zaskakujący. Ogarnia nas zdziwienie. Skąd zarzut **„nieformalnych wyborów"** i jak Komisja Rewizyjna stwierdziła, że przebiegały one na drodze niedemokratycznej? Nasze wybory przeprowadzone były zgodnie z prawem zwyczajowym respektowanym we wszystkich teatrach studenckich. W podobny sposób odbywały się wybory w naszym teatrze w latach poprzednich. Dlaczego zarzut ten postawiony został dopiero po upływie **dziewięciu miesięcy** od daty wyborów, tym bardziej, że RU była o nich od razu powiadomiona i akceptowała ich wynik? Dlaczego RU stawia nas wobec faktów dokonanych, nie dając nam możliwości wyjaśnienia sytuacji?

Nasze odwołanie do Zarządu Łódzkiego SZSP zostaje skierowane ponownie do rozpatrzenia w ręce tych, którzy wydali decyzję o zawieszeniu. Trudno ocenić to inaczej niż jako unik instancji wyższej, która automatycznie pozbywa się sprawy, nie próbując jej wyjaśnić. Podejmujemy usilne starania w celu doprowadzenia do spotkania działaczy RU z zespołem. Mamy nadzieję na wyjaśnienie sytuacji i cofnięcie decyzji, gdyż zawieszenie kierownictwa jest równoznaczne z zawieszeniem zespołu — odebraniem mu możliwości pracy.

Po kilkunastu dniach nalegań, gdy działaczom zabrakło już wykrętów odraczających spotkanie dochodzi wreszcie do konfrontacji. W sali teatru zjawiają się: przewodniczący Komisji rewizyjnej — **K. Polański,** nowo mianowany kierownik komisaryczny — **K. Piaseczna** oraz przedstawiciel K.U. PZPR d.s. młodzieży — **dr K. Michalewski.** Reportaż z tego to właśnie zebrania, zamieszczony w 18 numerze STUDENTA zadziwił redakcję „ODGŁOSÓW".

Zebranie ujawniło, że decyzje Rady Uczelnianej nie wypływały bynajmniej z troski o działalność zespołu. Wręcz przeciwnie. Miały one na celu usunięcie całego, ponad dwudziestoosobowego zespołu działającego w sali PSTRĄGA i oddanie tej sali w ręce „trzydziestoletniej działaczki — weteranki teatrów studenckich" oraz „trzydziestokilkuletniego zawodowca — Bułgara. Wszystko to pod szyldem „odnowy teatru".

Pierwszą decyzją nowego kierownika jest wyrzucenie z teatru trzech najbardziej aktywnych i zasłużonych jego członków, na czele z poprzednim kierownikiem. Jako powód podaję różnicę zdań. K. Piaseczna jest zgodnie z wolą działaczy kierownikiem komisarycznym. Oznacza to, że w teatrze posiada władzę absolutną. Może wyrzucić kogo tylko chce — więc wyrzuca. Ma także monopol na poglądy. Nic dziwnego — ma bowiem za zadanie uzdrowić (?) atmosferę w teatrze i przywrócić (?!) w nim demokratyczne stosunki. **Dr K. Michalewski** tłumaczy nam, że nie mamy pojęcia o demokracji, że nie polega ona na wspólnym podejmowaniu decyzji, wspólnym działaniu, równouprawnieniu. Że do istoty demokracji należy nie dialog, ale eliminacja przeciwników. My jesteśmy naiwni, a „demokracja jest gdzie indziej". Usiłujemy dowiedzieć się g d z i e? Bezskutecznie. Okazało się także, że motywowanie decyzji Rady faktem **„nieformalnego istnienia władz"** było tylko wybiegiem formalnym. Prawdziwe zarzuty są inne: **„niska moc przerobowa teatru"** (!!!), **„niewykorzystanie rezerw studenckich"** (!!!). Są to oryginalne sformułowania K. Polańskiego. Zarzuca się też niski poziom spektaklu.

Wyrażamy zdziwienie, iż RU w swoim działaniu ucieka się do pretekstów i wybiegów formalnych, ukrywając prawdziwe powody decyzji. Wskazujemy także na fałszywość trzeciego zarzutu. Jest on jawnie sprzeczny z dotychczasową, pozytywną oceną spektaklu przez tych samych działaczy (nie pozwoliliby oni chyba na wysłanie za granicę złego spektaklu). Zarzut ten jest sprzeczny również z opinią Przewodniczącego Komisji Kultury Zarządu Łódzkiego SZSP — **Andrzeja Podgórskiego** — osoby, która ma z pewnością większe kompetencje do oceniania pracy teatrów studenckich niż rewizor **K. Polański.**

Po zebraniu **„wyjaśniającym"** sytuacja zespołu zaciemniła się jeszcze bardziej. Wokół zespołu zaczęła narastać atmosfera napięcia. Zaczęło się od plotek, półsłówek, niedomówień. Potem — pogróżki, próby zastraszenia: szantaże. Młodzi i zdolni działacze mają bogate metody. Mimo wszystko wciąż czujemy się członkami teatru — jesteśmy związani z nim emocjonalnie, wrośnięci w jego salę. Nic dziwnego — niektórzy z nas od kilku lat poświęcają mu większość swego wolnego czasu. Usiłujemy walczyć o nasze prawo do niego, o prawo do działania, pracy. Leje się struga atramentu, pisma krążą w ilościach niesamowitych, jak na stosunki studenckie. Walka nasza jest o tyle trudna, że otoczeni jesteśmy nie twardym murem, a ścianą waty — niedomówień, pretekstów, uników. Ciosy wchodzą gładko i głęboko, sama ściana pozostaje jednak nieskruszona...

W połowie czerwca Rada Uczelniania montuje naprędce nabór do teatru, gdyż sytuacja jest żenująca: cały zespół „odnowionego" teatru składa się z jednej osoby — kierownika. Zwyczajem jest, że każdy kto ma ochotę może w czasie naboru przyjść do teatru, popatrzeć jak się to odbywa. Chcieliśmy skorzystać z tego przywileju, ale okazało się, że i tego nam nie wolno. **Dr K. Michalewski** (który tym razem pełni funkcję członka komisji poborowej) na nasz widok podrywa się i wyrzuca nas z sali jak chuliganów, mimo że zachowanie nasze nie mogło budzić żadnych zastrzeżeń. Wtedy to po raz pierwszy zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy przegrani. Że bezradni jesteśmy wobec metod, które są w stosunku do nas stosowane. Czujemy się coraz bardziej niepewni. Przemykamy pod murami i patrzymy, który z nas pierwszy dostanie w mordę... Takimi to prostymi a skutecznymi metodami sala teatru została uprzątnięta z niepotrzebnych lokatorów. I o to chodziło.

Sprawa staje się tymczasem coraz bardziej paradoskalna: bezpośredni zwierzchnik Rady Uczelnianej — Zarząd Łódzki SZSP okazuje się całkowicie bezradny. Działacze wyższego szczebla, mimo dobrej woli i oburzenia na postępowanie RU, nie potrafią (nie chcą?) przeciwstawić się jej decyzjom. Czyżby niemoc organizacji?

Po wakacjach — we wrześniu, nowy pomysł działaczy z RU dodaje całej sprawie pikanterii. Okazuje się, że osoby które wyrzuciły **Krzysztofa Rutkowskiego** ze stanowiska kierownika PSTRĄGA, w dalszym ciągu żywią uznanie dla jego dotychczasowej pracy i jego „wizji teatru". W dowód tego uznania przewodniczący RU — **Marek Król** i wiceprzew. **Henryk Wieczorek** proponują, aby kontynuował działalność (oczywiście jako kierownik), tyle tylko, że w innej sali. To nic, że „salę" ta nie nadaje się do działań teatralnych. Liczą się przecież w tym wypadku same intencje działaczy. Są one zresztą bardzo jasne! — potocznie nazywa się to zamykaniem komuś gęby.

Jakże fałszywie brzmią, w świetle powyższych faktów, oficjalne głosy o ideowo-wychowawczej roli kultury studenckiej, o tym, że teatr studencki wychowuje, nie znosi fałszu, tworzy nowe wartości, wzmaga poczucie obowiązku i współodpowiedzialności...

Rozziew pomiędzy sloganami a czynami świadczy, że dwulicowość staje się coraz bardziej nagminną metodą działania tych, od których chcielibyśmy oczekiwać szczerości i spontaniczności działaczy studenckich. Metody takie są same w sobie godne potępienia, bardziej jednak powinny zwrócić naszą uwagę ich niebagatelne skutki. Nieodpowiedzialne poczynania niektórych młodych działaczy z pewnością przyczyniają się do pogłębienia kryzysu kultury studenckiej, dającego się zauważyć od pewnego czasu w Łodzi i chyba nie tylko w Łodzi). Poczuwamy się do obowiązku przeciwstawiać się takim poczynaniom. Dlatego chcielibyśmy, aby wypowiedź nasza — ludzi biorących od wielu lat udział w tworzeniu kultury studenckiej — traktowana była nie jako wylewanie żalów i łez, ale jako troska o autentyczny charakter tej kultury. Z tego też powodu wdzięczni bylibyśmy Redakcji za udostępnienie łam swego tygodnika ewentualnym wypowiedziom przedstawicieli środowiska studenckiego.

Łódź, 18. X. 1975 r.

ANTONI BANKOWSKI
JERZY DYSZKIEWICZ
KRZYSZTOF RUTKOWSKI
JACEK WESOŁEK

OD REDAKCJI:

Przed kilkoma tygodniami wyraziliśmy w „Powiększeniach" zdziwienie, czy opublikowany przez „STUDENTA" zapis magnetofonowy studenckiego zebrania jest dowcipem czy tragifarsą? Po tej notatce z „Powiększeń" zgłosili się studenci, byli członkowie zespołu „Pstrąg", proponując wyjaśnienie całej sprawy. W wyniku rozmowy odbytej w redakcji zrodził się list studentów, który publikujemy, z nadzieją, że wywoła on żywą reakcję środowiska studenckiego.

PYTANIA

DO REDAKCJI: Czytelnicy zwracają się do nas z różnymi pytaniami na interesujący ich temat, a przeważnie dotyczący programu przyszłej pięciolatki w Łodzi oraz spraw związanych z realizacją zadań bieżącej pięciolatki. Pytania także przekazujemy specjalistom, prosząc o krótką i konkretną odpowiedź, a także w miarę naszych możliwości będziemy odpowiadać na nie sami.

L. WERASZKIEWICZ z Łodzi: — Wiele u nas mówiło się i pisało o niedoskonałości układu komunikacyjnego. Budowa nowych dzielnic mieszkaniowych, konieczność dojazdu do pracy z jednego końca miasta na drugi jeszcze silniej uwydatnia przestarzałość sieci komunikacyjnej w mieście. Wiele miało się zmienić pod tym względem i sporo się zmienia, ale prace drogowe i przy modernizacji układu komunikacyjnego z zasady trwają długo, a poza tym są prowadzone fragmentarycznie i w rezultacie żadna z tras nie jest doprowadzona do końca. Dlaczego tak się dzieje?

Dr Ksawery KRASSOWSKI, dyrektor Zjednoczenia Przedsiębiorstw Gospodarki Komunalnej w Łodzi: — W dobiegającym końca pięcioleciu wprowadzone zostały, poza pierwotnymi ustaleniami w programie przebudowy układu komunikacyjnego miasta, zadania dodatkowe: ukończenie ciągu komunikacyjnego na ulicach Kopcińskiego — Promińskiego, a więc stworzenie wewnętrznej obwodnicy po wschodniej stronie miasta, dalej przebudowa ulicy Mickiewicza — Główna oraz stworzenie ciągu komunikacyjnego po zachodniej stronie miasta, a więc wzdłuż ulic Letnia — Towarowa. Przebudowa układu komunikacyjnego miasta jest sprawą najżywiej interesującą łodzian, gdyż każdy musi korzystać z różnego rodzaju środków komunikacji, a wszelkie zakłócenia w sprawnym funkcjonowaniu komunikacji miejskiej irytują ludzi i utrudniają im życie. Powszechnie słyszy się postulat: skoncentrujcie się na jednym odcinku, nie rozgrzebujcie miasta, nie komplikujcie nam życia. I to jest postulat słuszny. My również stoimy na stanowisku, że należy dążyć do koncentracji prac, aby móc szybko i sprawnie realizować przebudowę układu komunikacyjnego.

W tym roku rozpoczęliśmy na przykład przebudowę ciągu komunikacyjnego biegnącego wzdłuż ulic Mickiewicza — Główna, a więc na osi wschód — zachód. Obecnie trwają prace przy skrzyżowaniu ulicy Mickiewicza z ulicą Żeromskiego, reszta tej trasy nie jest wyłączona jeszcze z ruchu miejskiego. Większość prac przy budowie „łódzkiej trasy W—Z" przypadnie na nadchodzącą pięciolatkę. Chcielibyśmy te prace zakończyć jak najszybciej, gdyż zdajemy sobie sprawę, że budowa „łódzkiej trasy W—Z" przepołowi miasto, przetnie trasy komunikacyjne łączące dzielnice południowe z północnymi. Będzie to ogromnym utrudnieniem dla ruchu w mieście. Utrudnienie to nie powinno trwać długo. Istnieją jednak liczne powody, które komplikują nasze zamierzenia.

Sprawa pierwsza — aby móc sprawnie przeprowadzić budowę szlaku komunikacyjnego, trzeba przedtem przygotować teren, a więc wykonać wszystkie niezbędne prace wstępne oraz przeprowadzić tzw. roboty kolizyjne. Co to są roboty kolizyjne? Są to prace związane z przekładaniem sieci wodociągowej, elektrycznej, gazowej, sieci ciepła, przebudowa studzienek, zakładanie oświetlenia ulic. Wygląda to pozornie prosto. Wystarczy przygotować plan, zgromadzić materiał oraz ustalić harmonogram prac. Ale dotychczasowa praktyka potwierdza, że my ciągle nie wiemy, co posiadamy pod ziemią. Robiono już wiele prób ustalenia planu sieci podziemnej, ale trzeba pamiętać, że miasto rozwijało się żywiołowo, że wiele razy zmieniano i przebudowywano tę sieć i dlatego ciągle przy każdej budowie zdarzają się niespodzianki, które komplikują harmonogram prac i przedłużają czas budowy trasy komunikacyjnej.

Sprawa druga — obfity program przebudowy układu komunikacyjnego wymaga nagromadzenia sporych zapasów materiałów i urządzeń. A tu występują liczne zahamowania, dostawy przychodzą nieregularnie, występują braki. Niektórzy postulują pod naszym adresem, abysmy nie rozpoczynali prac ulicznych nim nie zgromadzimy niezbędnego materiału. Tylko, że takie postępowanie jeszcze bardziej wydłużałoby czas tych prac. A nam chodzi głównie o to, aby jak najszybciej zmierzać do przebudowy sieci komunikacyjnej w mieście. Kiedy prace już są rozpoczęte, to świadomość tego staje się czynnikiem mobilizującym, opinia publiczna zmusza wykonawców do przyśpieszania tempa robót, do szukania sposobów na pokonanie trudności. I w rezultacie — w naszym przekonaniu — robimy szybciej niż robilibyśmy gdybysmy spokojnie czekali, aż wszystkie materiały zostaną zgromadzone.

Sprawa trzecia — wyburzenia. Sprawa ta w ogóle wywołuje kontrowersje. Jedni uważają, że wyburza się mało, inni — że dużo. Ale jakże często brak zgody kogoś z budynku przeznaczonego do wyburzenia hamuje postęp robót. Władze miasta dysponują pewnymi uprawnieniami pozwalającymi im na przeprowadzenie planu wyburzeń zgodnie z interesem miasta. Z prawa tego jednak nie korzysta się w sposób bezwzględny. Ze szczególną uwagą traktuje się interes i życzenia ludzi, którzy mieszkają w domach przeznaczonych do wyburzenia. A ludzie, jak to ludzie, czasem z przekory, czasem z wyrachowania domagają się rzeczy których miasto nie jest im w stanie zapewnić. Trwa więc spór, w którym czasem więcej się liczy interes jednego człowieka niż interes miasta. To są oczywiście rzadkie wypadki, gdyż na ogół obie strony szybko dochodzą do porozumienia, ale zdarzają się też nieprzewidziane zahamowania, które przyczyniają się do opóźnień w planie przebudowy układu komunikacyjnego miasta.

W każdym razie do końca tego roku, a więc i bieżącej pięciolatki ukończony zostanie ciąg komunikacyjny we wschodniej części miasta, dając połączenie trasy z Warszawy z trasami na Katowice i Wrocław. W przyszłej pięciolatce natomiast będziemy budowali wyjście z miasta na Wrocław z pominięciem ulicy Pabianickiej, tak że stanie się ona ulicą o charakterze wewnętrznym. Zbudujemy połączenie trasy biegnącej po zachodniej stronie miasta (Letnia — Towarowa) z trasą na Zgierz i Ozorków. A także będziemy budowali trasę wschód — zachód oraz wyjście z miasta na Katowice — dalszy ciąg ulicy Rzgowskiej. Myślę, że doświadczenia tego roku, jak i poprawa zaopatrzenia w materiały i maszyny pozwolą nam szybciej i sprawniej realizować czekające nas zadania.

Jerzy OTECKI z Łodzi: — Jakiego postępu można spodziewać się w gospodarce komunalnej miasta?

Dr Ksawery KRASSOWSKI, dyrektor Zjednoczenia Przedsiębiorstw Gospodarki Komunalnej w Łodzi: — Główne kierunki inwestowania w gospodarkę komunalną w przyszłym pięcioleciu to przede wszystkim rozbudowa sieci wodociągowo-kanalizacyjnej, dróg, komunikacji i zieleni w mieście. W tej pięciolatce wybudowaliśmy na przykład 33 km sieci wodociągowej, a w przyszłej będziemy chcieli wybudować 50 km. Tak samo z siecią kanalizacyjną, planujemy wybudowanie jej około 88 km, to jest o 33 km więcej niż w tej pięciolatce. Przewidujemy też wzrost prawie o 100 proc. w porównaniu do mijającej pięciolatki sieci tramwajowej. Będziemy dążyli do porządkowania układu tramwajowego w mieście. Jednym z zadań jest wyłączenie z ruchu tramwajowego ulicy Nowomiejskiej a skierowanie ruchu tramwajowego na ulicę Franciszkańską po jej zmodernizowaniu.

W nadchodzącym pięcioleciu powstaną też dwie nowe zajezdnie: tramwajowa na ulicy Brzezińskiej i autobusowa w Helenówku oraz wybudujemy kilka podstacji trakcyjnych. Na lata przyszłej pięciolatki przewidujemy dostawę 135 dużych wozów tramwajowych i 425 autobusów. Nie będzie to bezwzględny wzrost taboru MPK, gdyż część wozów zużytych trzeba będzie wycofać z ruchu. Szacujemy, że liczba pasażerów przewiezionych w ciągu nadchodzącego pięciolecia wzrośnie o około 20 proc., ale — jak wynika z praktyki tej pięciolatki — może być ona znacznie wyższa.

OPINIE

ZAMIAR: TEATR LITERATURY

Tam, gdzie rodzi się wielka sztuka, tam zazwyczaj rozwijają się antagonistyczne jej odmiany, współżyją ze sobą naturalizm i abstrakcja, realizm i bezprzedmiotowość. Teatr rzeźby i malarstwa Szajny, pantomimy Tomaszewskiego, teatr tańca Drzewieckiego, teatr absolutu Grotowskiego.

To zaś, z czego wyrodziły się bardzo pobieżnie wyliczone odmiany: teatr literatury, teatr słowa, zdaje się być w Polsce odsunięte na daleki plan. Bezkrytyczne uleganie modzie dowodziło zawsze braku kultury własnej!!! Czyżby nam jej zabrakło?

W tej sytuacji, na coraz to nowe prowokacje i barbaryzmy, jeden Kazimierz Dejmek z uporem maniaka odwołuje się do wielkiej spuścizny arystofanejskiej, przypomina o tym, co każdy wiedzieć powinien, przypomina o naszym rodowodzie i czyni to z godną naśladowania dumą! Nigdzie, gdzie choć odrobina drzemie rozsądku, nie dopuszcza się, by jedno kochane dziecko zjadło drugie!

Dlatego też postanowiliśmy otworzyć teatr pod egidą Związku Literatów Polskich, gdzie będziemy dążyć do tego, by dać cztery, pięć prapremier utworów łódzkich pisarzy. Chcemy i będziemy pełnić rolę służebną, asystować, pomagać, ułatwiać narodziny nowych polskich sztuk współczesnych. Jeśli choć jedna z nich sprawdzi się na scenie, będziemy to uważać za sukces!

Teatry komercjalne zalewane przez tandetne adaptacje nabijają wprawdzie kabzę co niektórym, ale przez to właśnie rozwojowi współczesnej dramaturgii szkodzą.

Stało się więc koniecznością utworzenie teatru o charakterze studyjnym, nie obarczonym planem usługowym, który by współczesnemu pisarzowi umożliwił nie tylko odniesienie sukcesu, ale, co równie ważne, poniesienia klęski.

KAROL OBIDNIAK

ŁADNIE CZY PRAKTYCZNIE

Mam duże uznanie dla budowlanych, którzy w ostatnich latach przyczynili się do wielkiej przebudowy miasta. Wyrosło wiele nowych osiedli, buduje się dalsze. Zarówno ja, jak i wielu moich kolegów z fabryki, gdzie pracuję jako tkacz, otrzymało nowe mieszkania. Ładniejsze, lepiej zaprojektowane, choć może jeszcze nie najlepiej wykończone. Jest to znaczne osiągnięcie, gdyż poprawiają się stale warunki życia łodzian i mam nadzieję, że przy utrzymaniu takiego tempa budowy już w niedługim czasie, znacznie złagodzi się w mieście sytuacja mieszkaniowa.

Ale warunki życia to nie tylko samo nowe mieszkanie. Liczy się tu też zagospodarowanie osiedla: sklepy, punkty usługowe, żłobki, przedszkola. A z tym — jak wiadomo — nie wszędzie jest najlepiej. Liczy się tu również wygląd osiedla. Są w Łodzi piękne, ładnie zagospodarowane osiedla, ale i są takie, gdzie bardziej dba się o ładne trawniki niż o wygodę mieszkańców.

Buduje się teraz w Łodzi coraz więcej domów wysokich. Jest to niewątpliwy postęp, gdyż dzięki temu i osiedla nabierają innego wyglądu, są urozmaicone, nie tak podobne do siebie, jak również dzięki temu buduje się szybciej i więcej mieszkań. Buduje się też wielkie domy, które nazywa się „łamańcami" lub „mrówkowcami". Nazwy może nie są najszczęśliwsze, ale sam pomysł niewątpliwie godny uwagi, gdyż — jak już powiedziałem — pozwala szybciej budować.

Lubię sobie w niedzielę pojeździć po mieście, popatrzeć, co i gdzie się buduje i jak się buduje? Ale z tych wędrówek, jak i z obserwacji we własnym osiedlu wynoszę różne wrażenia. Pierwszym jest to, że projektanci nie potrafili przewidzieć szybko postępującego rozwoju motoryzacji. Właśnie w niedzielę, kiedy nie ma ładnej pogody, kiedy wszyscy są najczęściej w domu, widać ile ludzie posiadają już w Łodzi samochodów i gdzie je parkują. Z moich obserwacji wynika, że coraz trudniej dziś znaleźć miejsce na zaparkowanie samochodu, a stawianie go pod oknem sąsiada nie zawsze jest mile widziane. Zdarzyło mi się już widzieć porozjeżdżane kołami zieleńce, powyrywane słupki, które miały chronić zieleń przed zakusami samochodziarzy.

Myślę, że w tym szybkim postępie budownictwa, które znacznie wyprzedza tempo organizacji życia w osiedlach, można poszukać takich rozwiązań, które nie stawiałyby naprzeciw siebie estetykę i praktyczność. Ludzie chcą nie tylko mieszkać w ładnych mieszkaniach, ale chcą, aby i wokół ich bloku było ładnie, cicho i przyjemnie. A do wielu klatek schodowych nie ma żadnego dojazdu. Przyjedzie pogotowie i musi jechać po chodniku lub trawniku. A przecież można zamiast wąskich chodników budować drogi dojazdowe i oznaczać je zakazem parkowania. Można też bardziej praktycznie planować drogi w osiedlach, nie rezygnując z miejsc na parkowanie samochodów. Ludzie bardzo często w czynie społecznym troszczą się o estetyczny wygląd osiedla, a później mają żal, że ich pracę psują niepraktyczne rozwiązania planistów.

Myślę, że ładne nie musi być przeciwieństwem praktycznego, że można osiedla planować i ładnie i praktycznie.

HENRYK DEJMA

MAGAZYN ODGŁOSY

KARIN STANEK

Foto: Witold W. Borowicz

Jeśli ktoś po latach będzie pisał encyklopedię piosenki Polski Ludowej, hasło: „KARIN STANEK" zajmie mu na pewno sporo miejsca. Jest to bowiem jedna z najbardziej bulwersujących karier piosenkarskich naszego trzydziestolecia. Młodziutka dziewczyna z Bytomia startuje na Festiwalu Młodych Talentów w roku 1962, wkrótce potem porywa widownię Festiwalu Opolskiego i... rusza w świat.

Koncerty, płyty, nagrania, festiwale... Niezmiennie — do dziś zresztą — towarzyszą jej: aplauz publiczności i zajadłe ataki publicystów. Dlaczego? Nikt tego nie zgadnie.

A Karin jest po prostu sobą. W książce „Z muzycznej międzyepoki" czytamy: „Z tą Karin, to też wyrabia się rzeczy absurdalne: młoda, żywa jak iskra dziewczyna, świetnie śpiewająca polskie, bezpretensjonalne, rzeczowe, żywiołowo rytmiczne melodie, stała się celem bombardowania dla wszelkiego rodzaju pomylonych prasowych filozofów, którzy wciąż mają jej za złe, że nie jest tym, czym nie jest i nie będzie tym, czym nie będzie. Nie święci garnki lepią — ani Chaplin, ani Chevalier, ani Aznavour, ani Armstrong nie chodzili do konserwatorium, za to ja chodziłem, no i co z tego" — kończy autor książki.

Teraz mamy rok 1975 — od czerwca ub. roku Karin Stanek śpiewa przeważnie na terenie NRD, ciesząc się tam niesłabnącym powodzeniem. Obecnie przygotowuje się do nagrania swoich trzech kompozycji (z niemieckimi tekstami) dla radia w Berlinie. Jeszcze w tym roku weźmie udział w programach rozrywkowych Telewizji Berlińskiej.

Karin Stanek — o czym nie wszyscy wiedzą, od paru lat mieszkanka Łodzi — właśnie zakończyła 16-dniowy cykl międzynarodowych imprez w Halle i Neustrelitz.

— Co dalej? — pytamy.

— W listopadzie jadę na 14-dniowe tournée po RFN. Będę występować z tamtejszym zespołem. Listopad mam zresztą pracowity, bo jeszcze czeka mnie cykl koncertów w Dreźnie.

— Jakie nagrania w planie?

— Jeszcze w tym roku mini-recital telewizyjny...

— Warszawa?

— Niestety, Wiedeń.

— To dziwne, do Warszawy bliżej...

— Ja też tak uważam, ale Warszawa widać myśli inaczej.

Karin Stanek na przyszły rok otrzymała propozycje koncertowe w NRD, zamykając się mniej więcej sumą 120 występów. W planie ma jeszcze dalsze nagrania dla Radia i Telewizji w Berlinie. A w kraju?

Na to pytanie ani my, ani Karin nie potrafimy odpowiedzieć.

Fot.: Archiwum

PŁYTY

„SREBRNE DZWONY"
ORATORIUM NA DZIEŃ ZWYCIĘSTWA

Z okazji 30-lecia zwycięstwa nad faszyzmem — z inicjatywy Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej — 4 maja odbyła się w stolicy prapremiera rock—oratorium „Zagrajcie nam dzisiaj wszystkie srebrne dzwony". Muzykę do poetyckich tekstów Ernesta Brylla skomponowała Katarzyna Gärtner. Wykonawcami tego niezwykłego spektaklu byli piosenkarze i aktorzy scen warszawskich: D. Olbrychski, E. Żakowska, S. Borys, Cz. Niemen, M. Rodowicz, M. Grechuta, H. Frąckowiak, J. Grunwald, E. Grochowiecka oraz akademicki chór Politechniki Szczecińskiej i grupa wokalna „Alibabki".

Wkrótce dokonano nagrań z Orkiestrą Polskiego Radia i Telewizji p.d. Stefana Rachonia i tak dzisiaj już każdy może wysłuchać, u siebie w domu, płyty, na której zamieszczono 10 pieśni z oratorium (niestety, bez udziału Czesława Niemena).

Pocieszające jest, że tym razem Polskie Nagrania zdążyły w tak krótkim czasie wydać long-playa. Niemała w tym zasługa Rady Głównej FSZMP, dlatego też obawiam się, że wydawanie płyt w ekspresowych terminach nie stanie się zasadą tej szacownej skądinąd instytucji.

Słuchając „Srebrnych dzwonów" starałam się uściślić, co spełnia ważniejszą rolę w budowaniu dramaturgii widowiska — poezja Ernesta Brylla, czy muzyka Katarzyny Gärtner... Twórczość tych dwojga autorów raz jeszcze (jak pamiętamy, przed kilku laty napisali wystawiany z powodzeniem na scenach krajowych i europejskich musical „Na szkle malowane") okazała się rzadkim przykładem zespolenia tekstu o głębokich walorach patriotycznych z muzyką o konwencji rozrywkowej. W muzyce Katarzyny Gärtner uderza nowoczesna, ale niezbyt skomplikowana harmonia, bogactwo zmian rytmicznych oraz wysublimowana liryka i choć w aranżacji momentami cierpi na brak pomysłu nie rzutuje to w zdecydowany sposób na całość płyty. Moim zdaniem muzyka widowiska znakomicie spełnia swoje zadanie, jeśli odsłuchuje fragmentami, a wiele pieśni z oratorium już w tej chwili można uznać za przeboje, jak na przykład „Kołysankę matki" znaną z wielu wykonań, „Wróca chłopcy z wojny" w wykonaniu Maryli Rodowicz i Daniela Olbrychskiego czy „Poleńko, pole" w interpretacji Stana Borysa. Niektóre same w sobie są spektaklami, ze wstępem, rozwinięciem i finałem. Jest w nich ogromny ładunek emocji: tragedia, miłość, śmiertelna rozpacz i radość zwycięstwa.

* * *

I jeszcze kilka informacji o dwóch polskich płytach, które ukazały się ostatnio na rynku. Niestety, treść muzyczna tych płyt, nie będzie dla państwa nowością; czasami może przykrym zaskoczeniem, bo słabsze to i gorzej się słucha, niż — powiedzmy — przed dwoma laty.

Każdy z solistów marzy o nagraniu swojego long-playa. I tak, pani Jadwidze Strzeleckiej obiecywano wydanie płyty na „Gwiazdkę 74", potem na Dzień Kobiet, następnie na Festiwal Opolski, aż wreszcie niespodziewanie znalazła się na półkach księgarskich... Tyle tylko, że piosenki w międzyczasie bardzo się zestarzały. Jedynie dwie z nich: „Miłość to jest raz" i „Przed nami świat", zadaptowano na krążek ze studyjnych nagrań radiowych. Pozostałe nagrano powtórnie z zespołami instrumentalnymi Ryszarda Poznakowskiego i Włodzimierza Korcza. Chyba źle się stało. Mimo iż doboru piosenek dokonano w sposób prawidłowy (trochę retro i rytmicznie, trochę lirycznie) całość w warstwie muzycznej jest bardzo monotonna i niezbyt ciekawa. Wiele do życzenia pozostawia również dźwięk. A szkoda, bo skoro już tak długo się czeka...

Bardzo interesującą pozycją edytorską Polskich Nagrań (Muza, SHL 1141) jest natomiast płyta Studia Jazzowego Polskiego Radia zatytułowana „Sprzedawcy głonów", opatrzona oryginalną, znakomitą pod względem graficznym okładką Czuby—Kacewicza. Long-play zawiera sześć kompozycji Jana Ptaszyna Wróblewskiego, Zbigniewa Namysłowskiego, Tomasza Stańko i Andrzeja Trzaskowskiego, nagranych w Polskim Radiu w latach 73—75.

Interpretują je najlepsi polscy jazzmani, tacy jak: między innymi — Michał Urbaniak — skrzypce, Tomasz Szukalski — saksofon, Adam Makowicz — elektryczne pianino Fendera, Wojciech Karolak — organy, Włodzimierz Nahorny — flet, Zbigniew Seifert — skrzypce.

Precyzja, ciekawa, poszerzona tonalność, kontemplacyjny charakter oraz swoboda w operowaniu materiałem dźwiękowym płynąca ze wzajemnego zrozumienia się i wysokich umiejętności warsztatowych, oto główne cechy i zalety muzyki Polskiego Studia Jazzowego. Czysta piękna barwa big-bandu, niewiele ma wspólnego z tradycyjnym brzmieniem zespołów o podobnym składzie. Jego muzykę bardziej można chyba przyrównać do impresjonistycznego pastelowego malarstwa dźwiękowego. Mimo że muzycy występują tu w różnych ugrupowaniach, całość utrzymana jest w jednolitym, niepowtarzalnym klimacie. Nie sposób wymienić wszystkich, co bardziej szokujących popisów solowych. Szczególnie imponujące są pełne koncentracji zmagania z dźwiękiem Tomasza Stańko w utworze — „Bez wyciszenia". Michała Urbaniaka w tytułowej kompozycji long-playa — „Sprzedaż głonów" oraz Włodzimierza Nahornego w „Magmie". Wydanie płyty Polskiego Studia Jazzowego, prowadzonego przez wytrawnego leadera — Jana Ptaszyna Wróblewskiego, jest rzeczywiście miłym wydarzeniem w naszym przemyśle fonograficznym. Oby więcej tego rodzaju edycji!

KRYSTYNA PIETRANEK

LISTY DO „MAGAZYNU"

PRZESTROGA

Szanowny Panie Redaktorze. Pisałem już w tej sprawie do „Przyjaciółki", do „Kobiety i Życia", ale zbyto mnie niczym. Poradzono mi na przykład, żebym wieczorami kąpał się w chłodnej wodzie. Sami niech się kąpią. Piszę teraz do Pana, bo wydaje mi się, że właśnie w Pana piśmie znajdę najrozsądniejsze podpowiedzi, rady, wskazówki...

Otóż, po czteromiesięcznym pobycie w klinice wróciłem do domu z nowym, przeszczepionym sercem. Nie trwało długo, a obawy, które kiełkowały we mnie już w czasie pobytu w szpitalu, odżyły na nowo. Mam prawie sześćdziesiąt pięć lat, i przed operacją sądziłem, że pewne sprawy są już dla mnie, w jakimś sensie, rozdziałem zamkniętym, zakończonym. Tymczasem...

Tymczasem już w klinice, w kilka dni po najbardziej krytycznym dla mnie okresie, przyłapałem się na tym, że jedna z pielęgniarek, Marta, wzbudziła we mnie nowe doznania. Przez pierwsze dwa tygodnie pełniła w moim pokoju nocne dyżury. Do godziny dwunastej w nocy lubiła siedzieć w fotelu z książką w ręku. Przechylałem trochę głowę i przypatrywałem się jej postaci oświetlonej nocną lampą. Była piękna. Z niecierpliwością oczekiwałem na moment, kiedy Marta sadowiąc się wygodniej w fotelu, zakłada nogę na nogę. Przy mini spódniczce, jaka nosiła, moment ten dostarczał mi niebywałych emocji. Czasem udawało mi się zobaczyć skrawek różowego ciała ponad ciemną pończoszką, często widziałem czarną haleczkę. Karciłem się w myślach i nazywałem się starym idiotą, ale bez skutku. Moje serce biło nowym, innym, nie znanym mi dotąd rytmem. Całymi godzinami mogłem patrzeć na zgrabne nogi Marty, na jej sposób poruszania się. Kiedy zasypiałem — nogi Marty prześladowały mnie nawet we śnie. Jednocześnie zacząłem marzyć i wyobrażać sobie, co by to było gdyby...

Broniąc się przed tymi uczuciami, myślałem o żonie. Kochałem ją przecież od lat czterdziestu — nigdy dotąd nie wyobrażałem sobie życia bez niej. Po powrocie do domu wydała mi się stara kobietą. Gimnastykowałem więc swój umysł, swój mózg, o którym wiedziałem, że przecież on, a nie moje serce jest ośrodkiem centralnym moich doznań, uczuć, całego mojego psychicznego życia — dręczyłem mózg, chcąc skłonić go do podporządkowania się moim starym zasadom, zobowiązaniom, ale bezskutecznie. Potem, kiedy zacząłem już pracować i udzielać się towarzysko, narastało we mnie przerażenie. W pracy faworyzowałem urzędniczki o zgrabnej postaci i wyraźnie zarysowanym biuście. Na ulicy, niewolny, jakaś siła, oglądałem się za każdą zgrabną dziewczyną. W dwa lata po operacji było jeszcze gorzej. Zacząłem uczęszczać do młodzieżowych kawiarni. Wpiłałem się wzrokiem w dziewczęce sylwetki, i, o Boże, zacząłem puszczać do dziewcząt perskie oczka. W tym samym czasie kupiłem sobie silną, wojskową lornetę. Kiedy żona zasypiała, stawałem z lornetą w oknie i przez szerokość podwórza śledziłem wnętrza mieszkań sąsiadów. Po miesiącu takich obserwacji wiedziałem już dokładnie, gdzie na co mogę liczyć. Wiedziałem na przykład, że dziewczyna w oknie na trzecim piętrze wraca do domu późno i przed przebraniem się do snu, paraduje po mieszkaniu w stroju Ewy. Ostatnio biegam po antykwariatach i kupuję książki, do których kiedyś bym nie zajrzał. Zaczytuję się w nich jak sztubak. W czasie pracy trzymam je w nie domkniętej szufladzie biurka. Zacząłem również miewać erotyczne sny. Nie pomaga strofowanie się, próby powrotu do dawnego spokoju czuję z przerażeniem, że staczam się na samo dno. Stało się bowiem najgorsze. Doszło do skandali. Najpierw, w czasie nieobecności żony, zacząłem podskubywać dziewczynę, która w naszym domu pełniła obowiązki pomocy domowej. Wstydziłem się, ale szczypałem, dopóki żona nie przyłapała mnie na tych figlach. Dziewczyna Bogu ducha winna, straciła posadę. W pracy zapałałem miłością do pani Elżbiety, matki dwojga małych dzieci. Pisałem do niej płomienne, anonimowe listy i podrzucałem je różnymi sposobami. Nie powiem, że bez skutku, pani Elżbieta zaczęła się staranniej ubierać, miała lepiej zrobiony makijaż, ale zrobiła się trochę nerwowa, strach przyznać się do tych listów...

Wczoraj, późnym wieczorem, w słabym świetle ulicznych lamp, zaczepiłem dziewczynę, za którą szedłem kawał drogi i która wreszcie okazała się koleżanką mojej najmłodszej córki. Błagałem ją na kolanach, żeby cała sprawę zatrzymała w tajemnicy. Ulitowała się nade mną.

Czuję, Panie Redaktorze, że staczam się po równi pochyłej, że gdzieś na końcu tej drogi czeka mnie proces o zgwałcenie, lub inne paskudztwo. Analizując swoją sytuację dochodzę do wniosku, że musiano mi przeszczepić serce jakiegoś Casanovy, jakiegoś wściekłego podrywacza, czy nawet serce faceta z kompleksami, a może — licho nigdy nie śpi — serce szympansa z dzikiej dżungli. Chwilami nachodzą mnie również inne myśli, zastanawiam się, czy warto się bronić, może pójść na całego, dać spokój wszystkim hamulcom, niech się dzieje co chce. Co Pan o tym myśli, Panie Redaktorze. Bardzo proszę o szczerą radę.

Z poważaniem

EDWARD KOPCZYŃSKI

Zawsze modnie
— w dobrym stylu
w golfie (z „LIDO") z elastilu

— ZAPAMIĘTAJ TO HASŁO — TO NIE SŁOGAN — GOLFY DAMSKIE I MĘSKIE Z CIENKIEGO ELASTILU, PRODUKOWANE PRZEZ

Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego

«LIDO»

SĄ MODNE I PRAKTYCZNE. W SZEROKIEJ GAMIE KOLORÓW. SŁUŻĄ JAKO UBIÓR SPORTOWY LUB CAŁODZIENNY — NADAJĄ SYLWETCE CHARAKTER MŁODZIEŃCZY, NIE WYMAGAJĄ PRASOWANIA. SĄ TANIE — SĄ IDEALNYM UZUPEŁNIENIEM STROJU.

A więc golf z „Lido".

3878-k

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Od głosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Zam. 2187. U-3. Nr indeksu 37006/26762.